

WOJCIECH CEJROWSKI BEZ OGRÓDEK:

Nawet bogatej Ameryki nie stać
na nagłe przyjęcie 2 mln imigrantów



Prezydent Zełenski
a ukraińscy oligarchowie

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)
NR 17-18/473-474 25 KWIETNIA-8 MAJA 2022



KRZYŻACY, PRUSACY, SOWIECI
- PASJONUJĄCA HISTORIA KRÓLEWCA

Sędziowie Gersdorf i Zdziennicki
i tragiczny wypadek motocyklisty

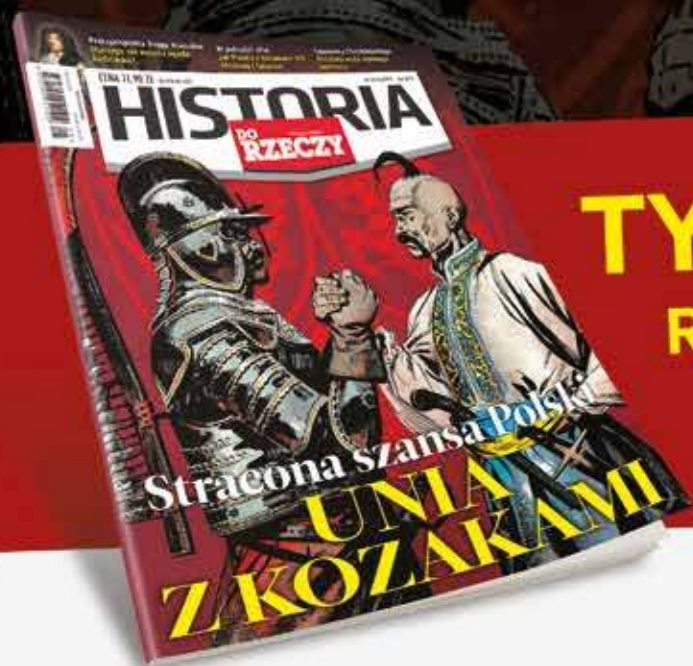


COVID-19

Co w cieniu wojny szykują nam globaliści

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Rozmowa z więźniem
sowieckiego łagru!

Piotr Zychowicz – Rzeczpospolita Trojga Narodów

Tomasz Stańczyk – Kozacy u boku Polaków

Maciej Rosalak – Tajemnica hetmana Chmielnickiego

Grzegorz Motyka – Ukraina między Polską a Rosją

Mikołaj Iwanow – Hiszpański komunista na Łubiance

Arkadiusz Karbowski – Terror IRA

Piotr Włoczyk – DNA mamutów z Syberii

Jakub Ostromięcki – PRL atakuje Czechosłowację

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

Dwuznaczne **wykluczenia**



PAWEŁ LISICKI

Organizatorzy tenisowego turnieju Wimbledon – jednego z najstarszych i najbardziej prestiżowych na świecie – postanowili wykluczyć z udziału w grze zawodników z Rosji i Białorusi. Powodem, jak wskazali organizatorzy, była agresja Rosji na Ukrainę. Przyznali też, że istotny wpływ na decyzję miał rząd brytyjski, który chciał pokazać, że Rosja traci globalne wpływy. Rosyjscy zawodnicy mają ponosić konsekwencje działań przywódców moskiewskiego reżimu – uzasadniali organizatorzy. Informacja ta została w Polsce przyjęta co najmniej ze zrozumieniem. Ba, pojawiły się wręcz opinie, że to wzór właściwego postępowania i że tylko w ten sposób można przyczynić się do osłabienia władzy Putina. Wreszcie ktoś pokazał Moskwie siłę – słyszałem. Bardzo w to wątpię.

Najpierw garść faktów. Podjęta w środę decyzja oznacza, że w Wimbledonie zabraknie drugiego w rankingu ATP Daniła Miedwediewa i ósmego Andrieja Rublowa. Najwyżej notowaną Rosjaną na liście WTA jest 15. Anastazja Pawliucenkowa. Na czwartym miejscu jest sklasyfikowana Białorusinka Aryna Sabalenka. Wcześniej, od razu po inwazji na Ukrainę, władze tenisa zabroniły Rosji i Białorusi udziału w międzynarodowych rozgrywkach drużynowych. Gracze z tych krajów mogli jednak – tak jak do tej pory – brać udział w turniejach, chociaż bez flagi przy nazwisku. Wydawało się to rozsądnym posunięciem, sprawiało bowiem, że zawodnicy grali niejako dla siebie, a nie dla swojego państwa. Brytyjczykom to rozwiązanie najwyraźniej nie wystarczyło.

Komentatorzy wskazują, że w podobny sposób, uniemożliwiając start sportowców z tych krajów w zawodach,

zachowała się Wielka Brytania podczas drugiej wojny światowej w stosunku do Niemiec i Japonii. Jednak analogia ta jest, sędzę, chybiona. O ile w przypadku drugiej wojny światowej Brytyjczycy faktycznie toczyli wojnę z Trzecią Rzeszą i Japonią, o tyle dziś wojny z Rosją nie toczą, poza zapewne wojną propagandową czy medialną. Dlatego to, co było rzeczą oczywistą w stosunku do zawodników reprezentujących wroga wojennego, równie jasne nie jest. Tym bardziej trudno to zrozumieć, że w tym samym czasie premier Boris Johnson zwrócił się do władz rosyjskich z prośbą o łagodne potraktowanie dwóch Brytyjczyków pojmanych przez rosyjską armię.

Pierwsza wątpliwość dotyczy, sformułuję to tak, zasad. Czy wykluczając z udziału w turnieju sportowców jedynie ze względu na ich narodowość, Londyn nie posłużył się kategorią odpowiedzialności zbiorowej? Czy walka z reżimem Putina ma polegać na tym, że Zachód kopiuje najgorsze wschodnie wzorce? Nie bardzo rozumiem, co, poza upokorzeniem zawodników, można tym gestem osiągnąć. Rosyjskich i białoruskich sportowców ukarano za to, kim byli, a nie za to, co mówili czy robili.

Po drugie, są kwestie praktyczne. Jak rozumiem, rosyjscy i białoruscy tenisiści mogliby zagrać, gdyby np. publicznie zaatakowali reżim Putina lub zmienili obywatelstwo. Nawet jeśli faktycznie by tego chcieli, to przecież taki gest naraziłby na niebezpieczeństwo ich rodziny i najbliższych. Nie wydaje się on zatem czymś prawdopodobnym.

Po trzecie zaś, i być może to jest najważniejszy zarzut, tego typu posunięcia jak usunięcie Rosjan i Białorusinów z Wimbledonu zamiast osłabiać poparcie dla reżimu w Moskwie, tylko je wzmacniają.

Wykluczenie z zawodów sportowców ze względu na narodowość zawiera jasny przekaz: nie potępiamy samego Putina, ale również naród. Efektem zatem nie jest osłabienie poparcia dla rosyjskiego dyktatora, ale, przeciwnie, wzmocnienie. Tym samym największy problem Putina – niechęć do udziału w wojnie zwykłych żołnierzy, dezercja i niskie morale armii – zostaje rozwiązany. Rosjanie bowiem uznają, że chodzi już nie o odrzucenie reżimu, ale o zagrożenie egzystencjalne dla nich. Analogiczne są, niestety, skutki innych podobnych z ducha aktów solidarności z Ukrainą, kiedy to masowo odwołuje się koncerty z rosyjską muzyką, opery lub przedstawienia teatralne albo neguje się wartość rosyjskiej literatury. Nie ma przy tym nawet znaczenia to, że chodzi o dzieła autorów XIX-wiecznych.

Wszystkie takie posunięcia wydają mi się dwuznaczne. Zachód, który nie jest gotowy, by wysłać na Ukrainę żołnierzy, bo kieruje się słusznymi obawami o rozlanie konfliktu, kompensuje sobie to symbolicznymi aktami wojennymi. Jednak podejmując takie decyzje, jedynie wzmacnia zaciekleść rosyjskiej armii w stosunku do Ukraińców. O ile właściwą formą odpowiedzi na agresję były sankcje i kary nakładane na rosyjskich zwoleńników Putina, na polityków, propagandzistów czy oligarchów, bo jasno pokazywały, kogo i za co się potępia, o tyle posługiwanie się kategorią odpowiedzialności zbiorowej jest drogą donikąd. Symboliczne akty poniżania Rosjan mogą zaspokajać poczucie zemsty tych, którzy ich dokonują, nie są jednak przez to ani czymś słusznym same w sobie, ani czymś politycznie roztropnym. Nic tak nie spaja wspólnoty jak urażona duma narodowa, a tego typu posunięcia jedynie mogą ją wzmacniać. ©©

TEMAT TYGODNIA

18 JERZY KARWELIS

**COVID-19,
CZYLI EKSPERYMENT NA LUDZKOŚCI**
Pandemia w cieniu wojny na Ukrainie

22 PIOTR WŁOCZYK
CZERWONY ARESZT



KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKI SPISEK PIS
Paranoja opanowuje świat

28 JAN FIEDORCZUK
WODZIREJ ANTY-PIS

32 ROZMOWA Z DR. MARCINEM ROMANOWSKIM
**MAMY RZADKĄ OKAZJĘ,
BY NIE BYĆ MĄDRYM PO SZKODZIE**

34 KAMILA BARANOWSKA
TRAFIĆ W SWÓJ CZAS

36 ŁUKASZ WARZECHA
JAKOŚ TO BĘDZIE?

38 ZUZANNA DĄBROWSKA
JAWNOŚCIĄ W KREML

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
LOKATOR PO ROSYJSKU

42 TOMASZ ROWIŃSKI
„MŁOT NA KSIĘŻY” Z ZARZUTAMI

44 ŁUKASZ ZBORALSKI
**CO SIĘ STAŁO
NA DRODZE SĘDZIÓW**

KULTURA

46 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BURATINO, WON!
Zakłamana kultura rosyjska

50 PIOTR GOCIEK
ŻYCIE W KAWAŁKACH



52 GRZEGORZ BRZOWICZ
ODNALEZIONY DIAMENT

NIE PRZEGAP

56 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

62 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TOROWANE KLĘSKI KOŚCIOŁA
Papieska ofensywa poparcia LGBT

64 JAN BOGATKO
GRAMATYKA I POLITYKA

HISTORIA



66 GRZEGORZ KUCHARCZYK
**W KRÓLEWCU (PRAWIE) WSZYSTKO
SIĘ ZACZĘŁO**
Królewiec – Krzyżacy, Prusacy i Sowiet

70 PIOTR SEMKA
MAŁE RADYJKO – WIELKA REWOLUCJA

ŚWIAT

74 MACIEJ PIECZYŃSKI
WOJNA OLIGARCHÓW
Silni gracze z Ukrainy

78 RYSZARD GROMADZKI
PRZEBACZENIA NIE BĘDZIE

80 TERESA STYLIŃSKA
**NARKOTYKI, CZYLI HAŃBA NARODOWA
PO SZKOCKU**

EKONOMIA

82 JACEK PRZYBYLSKI
MYŚLI ZA MILION DOLARÓW
Nowe marzenia ekscentrycznego miliardera

84 JAKUB WOZINSKI
RYKOSZETEM W POLSKĄ TURYSTYKĘ

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
BIZNES JAK ZWYKLE
Sprzedawcy marzeń a kolejne kryzysy

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. MACIEJEM KRZAKOWSKIM
**SZANSA NA WYLECZENIE CHORYCH
NA RAKA PŁUCA**
Badania wykazały ogromną korzyść ze stosowania takiego leczenia

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (73), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WŁOCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)



KOSZULKA TRENINGOWA TERMOAKTYWNA - HUSARIA - DŁUGI RĘKAW

KULTOWA MARKA ODZIEŻY PATRIOTYCZNEJ I TOŻSAMOŚCIOWEJ

 W PEŁNI POLSKA
PRODUKCJA

ZAMÓWIENIA INTERNETOWE
www.redisbad.pl

ZAMÓWIENIA TELEFONICZNE
506 184 306

eprasa.pl 4397f64803

SKLEPY STACJONARNE

Warszawa

• ul. Jagiellońska 88/24
• Plac Piotra Szembeka 4

RED IS BAD™

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzczy.pl.

„Gdzie pędzisz, kozacz?” Krzysztof Masłoń, „DRz” 15/2022

Szanowna Redakcjo, chciałbym odnieść się do artykułu pt. „Gdzie pędzisz, kozacz?” [...].

W swoim tekście Pan redaktor skupił się głównie na tzw. trudnych momentach z historii polsko-ukraińskiej. Choć co do zasady nie zamierzam polemizować z treścią artykułu, bo z faktami polemizować nie sposób, to jednak warto byłoby o naszych relacjach opowiadać w szerszym kontekście.

Zmierzam do tego, że stosunki polsko-ukraińskie trwają w zasadzie od początku państwowości polskiej i ukraińskiej. Już w czasach Piastów i Rurkowiczów relacje były bardzo intensywne i choć z racji bliskiego sąsiedztwa nie udało się uniknąć sporów terytorialnych i wojen, to także wtedy zawiązywały się pierwsze nici porozumienia. Nie wiadomo, czy powiodłaby się pierwsza odbudowa państwa polskiego, dokonana przez Kazimierza Odnowiciela, gdyby nie sojusz z księciem Jarosławem Mądrym i pomoc ruskich posiłków. Sojusz z ruskim księstwem był także jednym z filarów polityki zagranicznej jednego ze znaczących bardziej znanych władców Polski, czyli Władysława Łokietka. Nie sposób pominąć udziału bojarów i wojsk ruskich w późniejszych

działaniach zbrojnych, prowadzonych w ramach państwa polsko-litewskiego, wliczając w to zwycięstwo pod Grunwaldem. Wreszcie dzieje Kozaków zaporoskich nie ograniczają się tylko do buntów przeciw władzy Rzeczypospolitej. Zaporozcy niejednokrotnie stawali w jednym szeregu z wojskami polskimi i litewskimi, czego najsłynniejszym przykładem jest obrona Chocimia w 1621 r.

Oczywiście nie można zapominać o morzu przelanej krwi. Nie można jednak pominąć epizodów pozytywnych i budujących. [...] W obecnych czasach jest to szczególnie istotne.

Załączam wyrazy uznania i pozdrowienia dla całej redakcji.

Bartłomiej Wójcik

Szanowna Redakcjo!

Dziękując za bardzo trafny i ciekawy ze względu na przytoczone przez autora mało znane fakty historyczne (np. o hetmanie Czarnieckim) artykuł red. Krzysztofa Masłonia pt. „Gdzie pędzisz, kozacz?”, chciałbym zwrócić uwagę na pewien rzadko poruszany aspekt kwestii historii Rzplitej i jej ziem ukraińskich.

Otóż liczni polscy hetmani, polska szlachta na wschodzie, Polacy-Lachy, to byli w większości ludzie z tamtych ziem. Koniecpolscy, Żółkiewscy, Wiśniowieccy, bracia Michał i Jan Sobiescy po kądzieli i wiele innych słynnych rodów magnackich, tak jak większość szlachty z ruskich województw, mieli pochodzenie ukraińskie. Być może tym się tłumaczy okrucieństwo „polskich

panów” w tłumieniu kozackich powstań i buntów. Bo w Polsce centralnej nie było ono praktykowane.

Jeszcze jedna uwaga – autor czyni znów typowy błąd historyczny, myląc etniczną Litwę (czyli Żmudź) z Litwą Adama Mickiewicza, czyli terenami Wielkiego Księstwa Litewskiego, będącego w rzeczywistości etnicznie Białorusią. To właśnie dlatego panowie ukraińscy zagłosowali za wyjściem z Wielkiego Księstwa Litewskiego i przystąpieniem do Korony, czyli Królestwa



Polskiego. W ten sposób Ukraina dobrowolnie stała się częścią Polski, a jej elita, przechodząc na katolicyzm, całkowicie się spolonizowała. Ukraińcami pozostali wtedy praktycznie tylko chłopci i wolni chłopci – Kozacy zaporoscy.

**Z wyrazami szacunku
Piotr Sorokin Jankowski,
Wiedeń**

Wyjaśnienie

W dodatku specjalnym „Wielkie postacie polskiej nauki” („DRz” 15/2022) błędnie podpisaliśmy dwie ilustracje (s. IX i X). Rysunek radiomikroskopu jest autorstwa dr. Pawła Tomaszkowskiego, a fotografia J. Czocharalskiego została pokolorowana przez Romana Tadycha. Za brak odpowiednich opisów przepraszamy.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Żychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniański, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Kulemnik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,

Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Toraniński, Sewach Weiss, Piotr Włoczek,
Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyński, Jakub Woźniński, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadlo**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik), **Marta Michałowska,**
Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmgp.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmgp.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wyborczy zegar tyka, choć zagłusza go wojna

Dwa najnowsze sondaże poparcia dla partii politycznych, badania dla tygodników „Do Rzeczy” i „Sieci”, pokazują, że na krajowych wodach polityki panuje flauta. PiS utrzymuje pozycję lidera z wynikami – odpowiednio 39 proc. i 36 proc. Stoi w miejscu jak zakłęta Koalicja Obywatelska, na którą głosować chce 26,4 proc. i 26 proc. Różne, choć w szerszym planie podobne wyniki otrzymuje Polska 2050 Szymona Hołowni – 9,1 proc. według „Do Rzeczy” i 11 proc. według „Sieci”. Różny jest w obu sondażach układ dolnych trzech mniejszych partii. Według sondażu na zlecenie „Do Rzeczy” Lewica ma 8,55 proc., Konfederacja – 8,3 proc. i wreszcie PSL – 6,6 proc. W rankingu na zlecenie „Sieci” kolejność jest inna: Konfederacja 11 proc., Lewica 10 proc. i PSL z 2 proc. skazującymi ludowców na czteroletni odwyk od Sejmu i wykopsanie na polityczną zieloną trawę.

Nic się nie zmienia od dobrego pół roku. PiS utrzymuje się u wła-

dzy, ale wciąż nie potrafi przebić się do wyników ponad 40 proc. Platforma ma swoje ok. 26 proc., ale mimo 10 miesięcy starań Donalda Tuska notowania nie chcą rosnąć. A zmiany w poparciu dla partii Hołowni, Lewicy, Konfederacji i PSL wciąż są niewielkie. Przerazenie wojną na Ukrainie stępiło wyczulenie wyborców na politykę krajową. Rządząca partia w sumie dość dobrze radzi sobie z uchodźcami i pomocą wojskową dla Kijowa, może jej to zatem zagwarantować przyszłe zwycięstwo. Czy ponownie jednak da większość sejmową? To już nie jest jasne. Niedawne wybory na Węgrzech też nie odbyły się po fali sukcesów Viktora Orbána, ale węgierski polityk wykorzystał dodatkowo zjawisko skupiania się wokół partii władzy w niepewnych czasach. Platforma nadal nie ma pomysłu na samodzielne odzyskanie władzy. Okres wzmożonego zainteresowania Donaldem Tuskiem to już przeszłość, a Rafał Trzaskowski nie robi niczego, by wykorzystać słabą passę Tuska i przejąć władzę

w PO. Hołownia drecze w miejscu – efekt świeżości już wyparował. Podobnie jak Lewica i Konfederacja, które jak zakłęte tkwią w okolicach 9–11 proc. PSL wciąż musi się bać znalezienia się pod progiem wyborczym.

Dotkliwy wydaje się brak nowych twarzy w polskiej polityce. W PiS hierarchia starszeństwa jest sztywna i skostniała jak na chińskim dworze. Owszem, PiS radzi sobie dobrze z pomocą dla Ukrainy, ale to już wszystko. Morawiecki cieszy się, że zapomniano o perturbacjach wokół Polskiego Ładu, ale żaden nowy cel w to miejsce nie został proklamowany. Na kampanię PiS w 2023 r. nie widać na razie pomysłu. Pieniądzy z funduszu na odbudowę nadal nie ma, a polityka Brukseli nie rezygnuje z „czołgania” Polski.

Nasza opozycja przekonała się na przykładzie Węgier, że koncepcja jednej listy wcale nie gwarantuje zwycięstwa. Do wyborów już tylko półtora roku. W sumie wszyscy poruszają się po omacku. ©



SUKCES „DO RZECZY” I DORZECZY.PL

Według danych Polskich Badań Czytelnictwa sprzedaż tygodnika „Do Rzeczy” za grudzień 2021 r. była wyższa od grudnia 2020 r. o 4,6 proc. Tygodnik „Do Rzeczy” jako jedyny wśród tygodników opinii odnotował wzrost sprzedaży rok do roku. W porównywalnym okresie o 53 proc. wzrosła sprzedaż subskrypcji cyfrowych oraz wydań i był to największy wzrost wśród tygodników opinii. DoRzeczy.pl jest najchętniej odwiedzany przez czytelników portalem wśród mediów konserwatywnych. Dziękujemy, że są Państwo z nami! ©

Czy warto inwestować w fotowoltaikę?

Energa Obrót SA, spółka z Grupy ORLEN, wychodzi naprzeciw oczekiwaniom klientów poprzez poszerzenie oferty o instalacje fotowoltaiczne. Jako jedna z czterech największych spółek energetycznych w Polsce, mając na względzie odpowiedzialność, która na niej spoczywa, rozwija się w kierunku odnawialnych źródeł energii. Jej oferta stanowi ciekawą alternatywę na rynku energetycznym. Co zyskują klienci korzystający z nowej oferty Energi Obrótu i dlaczego warto ją rozważyć? Na te pytania odpowiadają menedżerowie spółki – Marcin Dawidowski, dyrektor zarządzający sprzedażą, oraz Remigiusz Markizański, kierownik wydziału sprzedaży paneli fotowoltaicznych

WYWIADOWCA: Oferta fotowoltaiki od Energa Obrót jest jedną z wielu dostępnych na rynku. Co ją wyróżnia od ofert konkurencyjnych?

MARCIN DAWIDOWSKI: Nasza oferta jest szyta na miarę potrzeb każdego klienta i warunków technicznych, jakie posiada. Pracujemy na wysokiej jakości komponentach, przykładamy uwagę do najmniejszych detali. Stale rozszerzamy naszą ofertę o różnego rodzaju nowinki techniczne. Zależy nam, aby nasi klienci czuli się zaopiekowani



Marcin Dawidowski, dyrektor zarządzający sprzedażą, Energa Obrót SA

FOT. ŹRÓDŁO WŁASNE

na każdym etapie inwestycji i eksploatacji instalacji fotowoltaicznej.

REMIGIUSZ MARKIZAŃSKI: Swoje działania opieramy na pięciu podstawowych filarach – stabilności, ekologii, nowoczesności, profesjonalizmie oraz wygodzie. Jako część Grupy ORLEN i jedna z czterech największych krajowych spółek energetycznych mamy ugruntowaną pozycję na rynku. Zapewniamy inteligentne, energooszczędne i ekonomiczne rozwiązania. Wybieramy nowoczesne technologie, zapewniające długoletnią pracę i bezawaryjność, mamy także fachowe ekipy monterskie. Co jednak najważniejsze, jesteśmy z klientem na każdym etapie inwestycji – od przygotowania i przedstawienia oferty, przez montaż, do przyłączenia instalacji do sieci dystrybucyjnej. Wszystkie formalności bierzemy na siebie.

Podczas podejmowania decyzji o zainstalowaniu fotowoltaiki oprócz pytań o ofertę pojawiają się także dylematy związane z zaletami tego rozwiązania i opłacalnością inwestycji. Czy warto inwestować w fotowoltaikę?

R.M.: Odpowiedź brzmi – zdecydowanie tak. Instalując panele fotowoltaiczne, w pewien sposób uniezależniamy się od zmieniających się cen na rynku energii elektrycznej. To zielona energia. Podczas 25-letniej pracy instalacji może się pojawić konieczność opłacenia usługi czyszczenia paneli czy serwisowania, ale poza tym instalacja jest w tym czasie w zasadzie bezkosztowa. Średni zwrot z inwestycji z przeznaczeniem na własny użytek (domowy) wynosi pięć-siedem lat.

M.D.: Ważną zaletą instalacji fotowoltaicznej jest także jej aspekt ekologiczny. Instalacja jest rozwiązaniem ekologicznym ze względu na bezpośredni brak emisji dwutlenku

węgla czy siarczanów. Nie produkuje spalin zanieczyszczających środowisko. Dodatkowo przy instalacjach stawianych na gruncie, a w szczególności większych farmach gruntowych, panele, pochłaniając promieniowanie słoneczne, chronią w znacznym stopniu ziemię przed erozją i odparowywaniem wody, co również pozwala pozytywnie wpływać na środowisko. Zamiana promieni słonecznych w energię elektryczną to milowy krok w ochronie środowiska.

Choć fotowoltaika jest rozwiązaniem popularnym i coraz bardziej powszechnym, to wiele osób wciąż się zastanawia, jak działają instalacje fotowoltaiczne. Jak dokładnie funkcjonuje zatem system fotowoltaiczny od Energa Obrót?

R.M.: Instalacja fotowoltaiczna w oferowanym przez Energa Obrót systemie on-grid składa się z paneli fotowoltaicznych, inwertera (falownika) oraz dodatkowego osprzętu. Sposób działania tego systemu jest w zasadzie bardzo prosty i opiera się na przetwarzaniu światła słonecznego na energię elektryczną, zasilającą cały dom. Za przetwarzanie energii słonecznej odpowiadają ogniwa fotowoltaiczne, umieszczone w panelach. W wyniku zjawiska fotowoltaicznego światło słoneczne jest przekształcane w prąd stały. Sprawność tego zjawiska zależy od kilku czynników: struktury ogniwa, umiejscowienia paneli oraz warunków atmosferycznych. Inwerter zamienia prąd stały na prąd zmienny, który płynie w gniazdkach i zasilą domowe urządzenia.

Z roku na rok liczba firm oferujących instalacje paneli fotowoltaicznych rośnie. Wraz z nimi rośnie liczba osób szukających oszczędności i próbujących zamontować cały system samodzielnie. Czy takie działanie ma sens?

M.D.: Moim zdaniem takie działania mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. W Internecie można znaleźć wiele filmików z instruktażem, jak samodzielnie zamontować instalację fotowoltaiczną. Jednak dla osoby, która nie ma doświadczenia, to zadanie będzie bardzo trudne. Nie bez powodu do odbioru instalacji wymagane jest posiadanie odpowiednich uprawnień. Warto zaufać sprawdzonemu partnerowi, ponieważ zyskujemy pewność, że instalacja zostanie wykonana dobrze. Pewny partner to bezpieczeń-



Remigiusz Markizański, kierownik
wydziału sprzedaży paneli
fotowoltaicznych, Energa Obrót SA

FOT. ZRÓDŁO WŁASNE

stwo na każdym etapie inwestycji oraz podczas długoletniej eksploatacji instalacji.

Zamawiając panele fotowoltaiczne od niesprawdzonego dostawcy, klient ryzykuje, że firma zniknie z rynku, a on pozostanie bez możliwości zamówienia serwisu lub zgłoszenia awarii. W przypadku naszych komponentów sprowadzamy je od zaufanych i spraw-

dzonych dostawców, którzy oferują gwarancję na produkty nawet do 25 lat.

Oferta fotowoltaiki od Energa Obrót to oprócz bezpieczeństwa, profesjonalizmu i stabilności także wiele dodatkowych korzyści, takich jak specjalna aplikacja mobilna, dostęp do preferencyjnego finansowania oraz pełne wsparcie w całym procesie instalacyjnym. Na co jeszcze mogą liczyć klienci?

M.D.: To prawda – zadowolenie klientów stawiamy na pierwszym miejscu. Posiadamy infolinię dla klientów, którzy chcą się umówić na bezpłatną wizję lokalną, oraz dla klientów, którzy zakupili już instalacje od nas. Szczegóły dotyczące montażu instalacji fotowoltaicznej przedstawiane są podczas spotkania w domu klienta lub telefonicznie. Dla nowych klientów mamy także ofertę kredytu na zakup instalacji fotowoltaicznej. Zawarcie umowy kredytowej odbywa się całkowicie on-line, a decyzja podejmowana jest nawet w ciągu godziny. Wynegocjowane warunki pozwalają na sfinansowanie inwestycji bez angażowania środków własnych. Dla klientów to duży komfort, ponieważ wszelkie formalności związane z instalacją fotowoltaiczną, w tym jej finansowanie, można załatwić podczas jednego spotkania z handlowcem.

Dodatkową korzyścią dla klientów jest możliwość skorzystania z dedykowanej oferty energii elektrycznej połączonej z ubezpieczeniem instalacji. Zakres ubezpieczenia jest bardzo szeroki. Ubezpieczenie obejmuje uszkodzenie instalacji oraz ewentualne odszkodowanie w przypadku, gdy instalacja nie będzie produkować energii. Co ważne, z oferty mogą skorzystać nie tylko nowi prosumenci, lecz także ci, którzy założyli panele fotowoltaiczne już wcześniej.

Produkt Energa Obrót z Grupy ORLEN skierowany jest nie tylko do klientów indywidualnych mieszkających w domach jednorodzinnych. Z oferty mogą skorzystać również gospodarstwa rolne, a także małe i duże firmy chcące zainstalować u siebie mikroinstalacje do 50 kWp.

Aby skorzystać z oferty Energa Obrót i umówić się na bezpłatną wizję lokalną, należy wypełnić formularz dostępny na stronie: www.energa.pl/fotowoltaika lub zadzwonić pod numer telefonu: 555 555 505.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone


 RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Idiotki Putina

Cicho było od pewnego czasu o feministkach – kampania „pomagajmy Ukrainie, zapewniając uciekinierkom aborcję na życzenie” jakoś słabo się przebiła nawet w liberalnych mediach, więc postanowiły o sobie przypomnieć happenin-gem pod rosyjskim konsulem w Gdańsku. Happening polegał na zbiorowym zadzieraniu kiecek i pokazywaniu majtek. Niby że taki protest przeciwko gwałtom ruskich żołdaków na Ukrainie.

Zawsze w takich sytuacjach trudno odpowiedzieć: głupota czy sabotaż? Z jednej strony, feministki słyną z zachowań, które promowanym przez nich sprawom bardziej szkodzą, niż pomagają; ich walka z „przemocą seksualną” jest tego doskonałym przykładem. Na jej symbol kreowana jest jakaś

działaczka, która oznajmia, że została rok temu „zgwałcona”, i żąda, aby „gwałciciela” wyrzuceno z pracy i w ogóle zniszczono. A dlaczego nie zgłosiła gwałtu, gdy miał on miejsce? No bo potem przez rok ze sobą mieszkali i dopiero kiedy ten ją rzucił, a w dodatku przeszedł do konkurencyjnej organizacji, to jednak uznała, że toto wtedy to było „przemocowe”. Ile już mieliśmy takich medialnych kampanii? Trzeba tłumaczyć, że ich efektem jest relatywizowanie i ośmieszanie problemu, z wielką szkodą dla prawdziwych ofiar przemocy? A „marsze szmat”, czyli jakieś orgiastyczne pochody lewicowych wariatek i wariatów poprzebieranych za prostytutki? Bóg jeden wie, o co w takich „protestach” chodzi, a kto wie, czy i On nie ma z tym problemu.

Tak, hipoteza zwykłej głupoty ma w wypadku feministek mocne podstawy, ale ja jednak wybieram sabotaż. Bo nie wierzę, żeby niby-opozycyjna ukraińska organizacja Femen i inne hołubione na lewicy „działaczki”, które zapoczątkowały tam modę na „walkę” przez pokazywanie cycków albo wydawanie z siebie jakichś nieartykułowanych wrzasków, wzięły się same za siebie. Zresztą w wypadku Femenu ukraińskie media dawno już wytropiły, że sponsorował go bliski Putinowi oligarcha. Taka „opozycja” bardzo skutecznie kompromitowała i – jak widać – nadal kompromituje protesty przeciwko wschodnim bandytom, a ofiarom odbiera powagę, dodatkowo je poniżając. ©©

OD POZACZĄTKU

Humanizm demokratyczny



MAREK JUREK

Ciesz się mnie każdy, choćby drobny objaw obiektywizmu w życiu politycznym, bo każdy podtrzymuje elementarną solidarność narodową. Grzegorz Schetyna uznał inwektywę prezydenta Macrona pod adresem premiera Morawieckiego za „nie do obrony”. Wprawdzie rezygnacja z ich „obrony” (Macron uznał Morawieckiego za „skrajnie prawicowego antysemitę”) to nic szczególnego, mimo wszystko jednak korzystnie kontrastuje z codziennym podpisywaniem się opozycji pod najbardziej absurdalnymi atakami zagranicy na nasze państwo.

Nie wiem, czy reakcja Grzegorza Schetyny była odruchowa czy zachęciła go do niej solidarność

starej wrocławskiej opozycji. W każdym razie warta jest odnotowania, ale również analizy, bo miała swój szerszy kontekst. Mateusz Morawiecki, zrywając państwa Europy do ostrych reakcji na masakrę w Buczy, publicznie pytał: „Panie prezydencie Macron, ile razy negocjował pan z Putinem, co pan osiągnął?”. Na to właśnie pytanie Macron zareagował obelgami. Schetyna zaś uznał wypowiedź naszego premiera za „bezrozumną i bezmyślną”, tym bardziej że miała miejsce „tydzień przed wyborami”. We Francji „już jest ogień kampanii wyborczej”, nastąpiła więc „akcja-reakcja”, tym bardziej zrozumiała, że „słowa Macrona zostały powiedziane parę dni przed pierwszą turą”.

Uwagi byłego marszałka warte są analizy, wiele bowiem mówią o ethosie demokratycznej polityki. Schetyna Macrona nie broni, ale trochę jednak rozumie, Morawieckiego zaś nie rozumie w ogóle. Nad emocjami, które wywołują wydarzenia takie jak masakra w Buczy, polityk powinien panować. Trudno jednak wymagać, by panował na emocjami, które rodzi „ogień kampanii wyborczej”. Właśnie ten brak zrozumienia dla demokracji Schetyna ma za złe Morawieckiemu. To ładnie, że premier apeluje w sprawie Buczy, ale nie powinien igrać z ludzkimi uczuciami, a szczególnie ranić tych najdelikatniejszych – wyborczych – i to na dodatek „tydzień przed wyborami”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Milczenie owiec

Planetarny ruch młodo-ekologiczny stracił mowę. Wydawałoby się, że zorganizowana pod sztandarami Strajku Klimatycznego młodzież, ponoć tak wrażliwa na to, co podpowiada serce, ostro zareaguje na hekatombę Ukrainy. Jednak latający cyrk klimatyczny, który z boską Gretą z ogromnym powodzeniem występował w Nowym Jorku, Davos i w Watykanie, w sprawie ukraińskiej tragedii milczy jak grób.

25 marca Greta bla, bla, bla objawiła się milionom idoli z transparentem „Stand with Ukraine”. I co? I nic. Że użyję słów Poetessy, Greto, nie widziałem cię już od miesiąca. Stałaś się bledsza, trochę śpiąca, trochę bardziej milcząca. Najwyraźniej sztab i sponsorzy obwoźnego bóstwa uznali, że cierpienia Ukraińców

w porównaniu z emisją CO₂ to ptak małego lotu.

Wydawałoby się, że na porażającą wieść o zbiorowych gwałtach rosyjskich żołdaków na Ukrainkach ruszą się feministki. Ale siedzą cicho. Eleganckie diwy spod znaku #MeToo też milczą, zapewne bez reszty pochłonięte analizą stanu swojej psychy i konta bankowego.

Pod ambasadami Rosji pacyfistów też nie widać. Nikt nie pali rosyjskich flag. Można śmiało przyjąć, że pacyfiści wszelkiej maści, ateusze i wierzący, z ochotą złożąliby Ukrainę jak baranka ofiarnego na ołtarzu pokoju, by przebłagać boga wojny i śmierci na Kremlu.

Uczeni mężowie, analizując rosyjski stan umysłu, piszą, że pozbawieni wolnych mediów Rosjanie całym sercem wspierają

Putina, a informacje o zbrodniach na Ukrainie wypierają ze świadomości, bo burzyłyby to system absurdałnych wierzeń, które im wtłoczyła do głów propaganda.

To co powiedzieć o pławiących się w demokracji i informacji wszelkiej Włochach?

Z sondaży wynika, że co czwarty (sic!) uważa filmy, wywiady i doniesienia o rosyjskich zbrodniach za ukraińską inscenizację. Natomiast depozytariusze najchlubniejszych włoskich tradycji patriotycznych i demokratycznych, Stowarzyszenie Narodowe Partyzantów (ponad sto biur w całym kraju), bez którego nie może się odbyć żadna ważna oficjalna, twierdzi, że Ukraina jest państwem nazistowskim. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

BEZ INSTA

Celebrytka Maja Bohosiewicz postanowiła zrobić eksperyment, polegający na odstawieniu Instagrama. Na tydzień. O czym poinformowała oczywiście na Instagramie. – Tydzień temu wykasowałam aplikację Instagrama z mojego telefonu, ponieważ spędzałam na nim zdecydowanie za dużo czasu – wyznała. I dodała, że nie potrafiła postawić granicy między czasem wolnym a pracą. – Nie byłam w stanie tego rozgraniczyć. Ponieważ jest to jednak moje narzędzie pracy, mam świetne wytłumaczenie i jest cienka granica pomiędzy tym, kiedy pracuję, a kiedy scrolluję – wyjaśniła. Jak sobie poradziła? Otóż przez tydzień wszystko wysyłała asystentce, by ta w jej imieniu zamieszczała filmiki na Insta. – Przez ten tydzień wysyłałam filmiki mojej asystentce, no i ona je wrzucała na Instagram, więc ja nie miałam zupełnie dostępu do wiadomości, komentarzy, zdjęć, reels, nie obserwowałam nikogo, nie wiedziałam, co się u kogo dzieje. Odciełam sobie też dostęp do innych portali, które mogłyby dawać mi jakieś informacje, co się dzieje w show-biznesie – wytłumaczyła. I jakie są efekty tego eksperymentu? – Nie miałam ani jednej bezsennej nocy. Ani jednego napadu lęku czy paniki. Przez ten tydzień miałam dużo większy kontakt z moimi koleżankami – cieszyła się. I dlatego, że było jej tak wspaniale, postanowiła po tygodniu wrócić na Instagram. Logiczne.

KTO KOGO BAWI

Aktorka Julia Kamińska ostatnio zabawia widzów w programie rozrywkowym „Mask Singer”, w którym, jak czytamy w serwisie Pudelek, „stara się wpaść na trop tożsamości osób występujących w zmyślnych kostiumach”.

Okazuje się jednak, że z tym zabawianiem widzów przez celebrytkę jest pewien problem. Ci bowiem skarżą się, że Julia w programie jest irytująca i mało zabawna, a im bardziej próbuje żartować, zwłaszcza robiąc wtręty polityczne, tym mniej jej to wychodzi. Padły też inne obraźliwe słowa pod jej adresem. – Jak się pani zachowuje jak głupia, to bardzo przepraszam, ale mnie to irytuje. Jak pani tego nie widzi, oglądając siebie w tym programie, to proszę popytać ludzi. Z tego, co widać, to nie tylko mnie to przeszkadza. Ludzie piszą o pani na różnych forach – napisała jej jedna z internutek. Niezrażona Julia postanowiła odpowiedzieć na zarzuty.

– Piszą o mnie nie od dziś, przyzwyczaiłam się. Ma pani prawo się irytować, ma pani również prawo pisać niemiłe i agresywne komentarze, ale to ostatnie świadczy o pani, a nie o mnie – skwitowała Kamińska. Wcześniej stwierdziła jeszcze, że ona sama w programie „tańczy i bawi się dobrze”.



FOT. PAMEŁ GROMADA

Może niech ktoś szepnie pani Julii, że generalnie w programach telewizyjnych nie chodzi o to, by prowadzący bawili się lepiej niż widzowie.

TAKIE PROSTE

Joanna Przetakiewicz, projektantka i była partnerka życiowa Jana Kulczyka, lubi zamieszczać w Internecie pouczające wpisy dotyczące pieniędzy i ich zarabiania. I teraz znów postanowiła udzielić kilku rad w tym temacie. Przede wszystkim mamy nie bać się rozmów o pieniądzach przy świątecznym stole. – Przyzwyczailiśmy się, że przy świątecznym stole padają różne niewygodne, często kłopotliwe pytania. Te o dzieci, partnerów, datę ślubu to playlista, która potrafi zepsuć całą atmosferę. Jedną z Was napisała mi, że doszedł jeszcze temat... pieniędzy i zarobków.

Przetakiewicz przytacza historię internautki, która oznajmiła rodzinie przy stole, że leci na majówkę do Hiszpanii z mężem i dziećmi, i wszyscy uznali, że poprzewracało im się w głowach. – W mentalności wielu ludzi to wciąż tabu – stwierdza Przetakiewicz. – Tak często piszecie mi o dramatach, które na lata konfliktują całe rodziny. O zazdrości. O spirali kłamstw, żeby nikomu „się nie narażać” [...]. A przecież pieniądze to nasza codzienność. Środek płatniczy, wynagrodzenie. Marzenia, które można za nie spełniać. To poczucie bezpieczeństwa. Edukacja dzieci. Pomoc dla innych. Coś, co nie powinno być owiane tajemnicą albo nafaszerowane kłamstwem. Przez lata wmawiane nam brednie wciąż pokutują. Czas to zmienić. Nauczyć się zarabiania pieniędzy. Inwestowania. Oszczędzania. Cieszenia się nimi – apeluje celebrytka. No pewnie, zarabianie, inwestowanie i oszczędzanie to najprostsza rzecz na świecie. Wystarczy nie być biednym, pani Joanna wie coś o tym.

RELACJA Z ZATRUCIA

Muzyk Piotr Rubik z rodziną wyjechał na Święta Wielkanocne na Hawaje, skąd rządy nas zdjęciami i relacjami. Jego żona Agata także nie próżnuje i również ochoczo dokumentuje na Instagramie rodzinny wyjazd. Niestety, ostatnio wydarzyła się tragedia, dramat nie z tej ziemi. Agata po wizycie w superhipernajlepszej restauracji zaniemogła. O czym również, niestety, postanowiła poinformować świat. – Kolejny dzień na rajskich Hawajach spędzony na razie w łóżku. Jest przepiękna pogoda, Piotr z dziewczynkami w basenie, a ja walczę o życie. Dawno się tak nie struliłam i wygląda na to, że coś mi zaszkodziło w jednej z najbardziej wyjątkowych restauracji na świecie – relacjonowała. Od tamtej pory boimy się zajrzeć na jej profil, bo obstawiamy, że kwestią czasu jest, gdy zamieści dramatyczną relację z toalety. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam?
Jakie macie plany na nadchodzący długi weekend majowy?

Na początek podamy wam ciekawostkę: długi weekend nazywa się tak, iż trwa dłużej niż standardowo oraz przypada w weekend.

Musimy was także uwrażliwić na pewne kwestie kulturowe. Ci/te z was, którzy/które studiowali etnografię lub wiedzę o kulturze, mogą to wiedzieć, ale osoby po socjologii już niekoniecznie, a po politologii pewnie wcale, iż tam się mówi o poważniejszych rzeczach.

Otóż jeśli w trakcie pobytu w małym ośrodku zostaniecie zapytani przez osobę płodzącą: „Czy pójdziemy dziś na majówkę?”, to wiedźcie, iż konieczne jest zachowanie szczególnej ostrożności. Wy zapewne mielibyście na myśli jakiś fajny wypad – może nawet za miasto na grilla (z wegańską parówką of kors) albo na jakiś city break do Berlina.

Niestety, w razie wyrażenia zgody zostalibyście zaciągnięci przez osoby płodzące na churching, iż w ich nomenklaturze „majówka” to nabożeństwo w kościele. Jak więc widzicie, wasze kody kulturowe znacząco się różnią i trzeba być naprawdę ostrożnym, iżby nie narazić się na przykrości.

Lol, właśnie zauważyliśmy, iż całkiem przypadkiem stworzyliśmy neutralną formę liczby mnogiej: ci/te z was, któ-



ra chyba – podkreślamy: chyba, bo nigdy nic nie wiadomo do końca – nikogo nie dyskryminuje. W skrócie używajmy więc zapisu „cite” – możecie stosować wśród znajomych i na waszych social mediach.

A zatem, kochani: cite z was, które używają Twittera, być może widzieli w ostatnich dniach dyskusję wobec postu pewnej osoby, iż „życie w demokracji” jest ważniejsze niż pokój z kuchnią.

Of kors odnosi się do tych wszystkich roszczeniowych millennialów, którzy wyżej niż przestrzeganie konstytucji stawiają sobie fakt posiadania dachu nad głową.

Dla nas wybór jest jasny – nie jesteśmy boomerami, ale jednak konstytucja musi być traktowana priorytetowo, jeśli w tym kraju chcemy coś normalnego budować, w tym mieszkania.

A jeśli ktoś wyżej ceni sobie fakt posiadania własnego mieszkania lub choćby nawet mieszkania spółdzielczego niż kwestie związane z nową/starą/średnią KRS, faktem istnienia bądź nieistnienia Izby Dyscyplinarnej lub jej dowolnej formy, to jednak pokazuje, iż nie dorósł do bycia świadomym obywatelem, a wszystkie ofiary KOD poszły na marne.

Ale siara, kochani. Rząd najpierw zamówił szczepionki od Pfizera, a teraz

chce z nich zrezygnować. A wiecie, jak zostało to uargumentowane?

Otóż minister Niedzielski powiedział, iż Polska powiadomiła Unię oraz Pfizera, że chce skorzystać z „klauzuli siły wyższej”. Ręce opadają. Czy naprawdę w relacjach biznesowych w XXI w. musimy sięgać po tego rodzaju argumentację?

I jak my, jako społeczeństwo, mamy to rozumieć? Ministrowi zdrowia objawiła się jakaś siła wyższa i powiedziała, że ma oddać szczepionki? Czy może to jakiś przykład ortodoksji religijnej? Naprawdę, wstyd jak nie wiemy co, ale tam w Europie muszą z nas teraz mieć bekę. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Krowa to krowa

Marcin, ja się pogubiłem trochę. Ty nadal kierujesz tym CPK? Znaczy, przyszłym CPK? Znaczy: CPK w budowie?

Tak, Jacku, ja tylko ministerstwo zmieniłem. Pod Pudą jestem teraz.

A, rozumiem, rozumiem. A dużo ci to czasu zajmuje?

A pytasz jako kto? Wicepremier, wysłannik Naczelnika czy prywatnie?

W zasadzie to prywatnie, ale trochę jako minister. Bo taka sprawa jest, że szukamy z Heniem kogoś na prezesa tego koncernu spożywczego, cośmy zrobili. Nikt jakoś nie chce, że to niby z rolnikami się trzeba będzie wyklócać o ceny i takie tam. Może byś wziął? Ty się o ziemię pod

lotnisko już wyklócałeś z ludźmi, to teraz możesz o cenę kartofli.

A tam się coś trzeba na rolnictwie znać?

No co ty? A na lotnictwie się znasz?

No nie.

No widzisz. A CPK niby budujesz. Krowa to krowa, kura to kura, co tu się trzeba znać. Henio też się nie zna, a ministrem rolnictwa jest. To jak – bierzesz? ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rozmach tej władzy robi wrażenie. Gdy na ziemi zniszczyli, co się da, postanowili zamknąć niebo. Czyli stadniny były tylko nieśmiałą zapowiedzią”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

ZACIĘTA BITWA O HUTĘ AZOWSTAŁ W OBLĘŻONYM PRZEZ ROSJĘ MARIUPOLU

– Czekamy tu na „niespodzianki” z Rosji... trzytonowe z nieba. Powiedzieli, żeby zrównać wszystko z ziemią... Przyjechał podpułkownik i powiedział: „Poczujecie to na sobie i usłyszycie” – tej treści rozmowę telefoniczną rosyjskiego dowódcy plutonu z żoną przechwyciła Służba Bezpieczeństwa Ukrainy. Rosyjski żołnierz mówił wprost, że dowództwo nakazało „zrównać z ziemią” hutę stali Azowstał w Mariupolu.

Informację o potężnych rosyjskich bombardowaniach z użyciem ogromnych bomb, które niemal w całości obróciły w gruzy zakłady metalurgiczne Azowstał, podają także obrońcy z pułku

„Azow”. Wiadomo, że pod gruzami znajduje się wiele osób.

Gdy zamykaliśmy ten numer tygodnika „Do Rzeczy”, obrońcy ostatniego ukraińskiego przyczółka w mieście doszczętnie zniszczonym przez rosyjskich okupantów zdawali sobie sprawę, że ich położenie jest beznadziejne. – Zostało nam kilka dni życia, jeśli nie godzin – przyznał dowódca 36. Samodzielnej Brygady Piechoty Morskiej mjr Serhij Wołyn. Oblężony od marca Mariupol jest jednym z miast, gdzie Rosjanie dokonują zbrodni wojennych na masową skalę. Szacuje się, że rosyjskie bandy mogły zamordować tu co najmniej 20 tys. mieszkańców. Ta

liczba może jeszcze wzrosnąć, ponieważ – jak podaje portal Ukraińska Prawda – na terenie zakładów metalurgicznych Azowstał ukryło się przed rosyjskim ogniem wiele kobiet oraz dzieci.

Zdobycie strategicznego portu nad Morzem Azowskim ma dla Rosjan istotne znaczenie militarne. Odgrywa też ogromną rolę w toczzonej przez Kreml wojnie propagandowej. Jednocześnie w drugiej połowie kwietnia Rosjanie rozpoczęli bitwę o Donbas. – Rosyjska armia w tej wojnie zapisze się na kartach światowej historii jako najbardziej barbarzyńska i nieludzka armia świata – oświadczył prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. **(jap) ©**

FOT. IWA PTALEV/SPUTNIK/AP/FEST NEWS





W Europie Zachodniej też wojna. Poznaliśmy opinie z zamkniętego forum dyskusyjnego europarlamentu. Ulubionym obiektem ataków stał się tam niejaki Olaf Scholz, kanclerz Niemiec. Za brak pomocy Ukrainie. Co ciekawe, jadą po nim nie tylko eurochadecy, lecz także Zieloni, liberałowie oraz – uwaga! – socjaliści z innych krajów niż Niemcy. Pewna ważna była minister od Macrona wali w Scholza najbardziej.

Z Zielonymi w ogóle ciekawa sprawa. Jako jedyna partia w Niemczech mówią właściwie po polsku. Metaforycznie, oczywiście, bo chodzi nam o polski punkt widzenia na sankcje, Putina i Ukrainę, a nie biegłość w posługiwaniu się „ę” i „ś”. Dziwne sojusze bywają na wojnach, trzeba się do tego przyzwyczaić.

A propos sojuszy. Pewien wpływowy przedstawiciel SolPolu miał rzec do wpływowego przedstawiciela PiS: „No to w końcu wolicie rządzić z Solidarną Polską czy z Konfederacją?”. Wszystko to w kontekście sporu o prezydenckie zmiany w Sądzie Najwyższym i ostatnie sondaże. Bo, widzicie, z tych wewnętrznych wynika, że poparcie dla Konfederacji jest jeszcze większe niż z tych oficjalnie publikowanych.

Sprawa sondaży zaprzęta uwagę Nowogrodzkiej z jeszcze jednego powodu. Otóż spodziewano się tam, że efekt skupienia wokół flagi (znaczy rządu) będzie nieco dłuższy, tymczasem sondaże wróciły do rozkładów sprzed wojny na Ukrainie. „Zawsze wykluczaliśmy przedterminowe wybory” – rzekła do nas wiewiórka. „A teraz?” – zapytaliśmy. „Teraz wykluczamy szczególnie” – odparła.

Są rzeczy, o których wiemy od dawna, ale z oczywistych względów musieliśmy dokonywać autocenzury. Choćby sytuacja w Służbie Ochrony Państwa. Tuż przed wybuchem wojny na Ukrainie szefostwo gremialnie złożyło tzw. raporty. Po ludzku: wypowiedzenia z roboty. Szef SOP Paweł Olszewski też rozesłał do bratnich służb list pożegnalny. Wszystko się nagle zmieniło 24 lutego, kiedy orki najechały Ukrainę. Olszewski uznał najwyraźniej, że porzucanie w takiej chwili służby odpowiedzialnej za ochronę



FOT. ROBERT CAROZINSKI

dwaj panowie g

najważniejszych osób w Polsce może jednak zaciążyć na jego opinii. I raport wycofał.

Złe języki mówią, że Olszewski (zwany popularnie Hansem – tajemnicę tego pseudonimu wciąż usiłujemy rozwikłać) był wkurzony, bo jako podpułkownik musiał jako pierwszy salutować szefom innych służb – bo tamci mają stopnie generalskie. Cóż, Krwawy Mario rządzący resortem spraw wewnętrznych w ogóle nie jest wielbicielem wężyków na pagonach. Nawet zakładając CBA, postanowił, że nie będzie tam żadnych generałów, pułkowników czy nawet poruczników i sierżantów. Osobiście uważamy to za błąd. Goebbels mawiał, że Republika Weimarska upadła, bo rozdawała za mało orderów i buław.

Uwaga, trudne pytanie: Kto, do jasnej cholery, wpadł na pomysł, żeby prezydent Andrzej Sebastian nadał krzyż zasługi niejakiemu Leszkowi Sykulskiemu? PAD w kancelarii musi mieć jakiegoś wielbiciela tego internetowego trolla. Sykulski ostatnio ogłosił, że Polska pomaga Ukrainie, bo politycy PiS z Podkarpacia są szantażowani sekstasami, które trafiły w ręce Zełenskigo. A może jest tu drugie dno? Krzyż zasługi dla Sykulskiego był brązowy. Ktoś uznał

go za specjalistę od obrzucania ludzi brązową materią?

Skoro o internetowych trollach. Niejaki Grupiński Rafał, dawniej intelektualista, ogłosił, że PiS doszedł do władzy na rosyjskim węglu i na nim upadnie. Zaiste, tak było, ujawniamy mało znane fakty: gdy „GazWyb” z Tuskiem budowali europejską liberalną demokrację, posłowie PiS fedrowali na przodku za Uralem, śpiewając węgierskie piosenki ludowe przysyłane przez Viktora Orbána na papierowych samolocikach złożonych z listów od Marine Le Pen. Na pewno Grupiński ma jakieś zdjęcia, może niech opublikuje.

Zainteresowaniem przyjęliśmy sugestie brytyjskiej prasy, by sankcjami obłożyć także sojuszników Putina. Na przykład Niemcy. To w sumie rozsądna propozycja. Taka np. Frau Angela mocno w rozwoju maszyny wojennej Wowy dopomogła. Można by też objąć sankcjami sojuszników Angeli. Choćby tych z Sopotu.

Powyższa propozycja oczywiście jest żartem. Żeby objąć sankcjami Donalda z Sopotu, nie trzeba czekać na akty sprawiedliwości dziejowej wobec Niemiec. Przecież on ścisnął się z Wową bezpośrednio. Wiecie, nie od dziś wiadomo, jak bliskie związki łączą Rosję i internetowych trolli.

Donald z Sopotu ujawnił jednak, że tak naprawdę to zawsze był rusofobem i z tego powodu miał pod górkę w Europie. Niestety, w programie wyborczym PeŁo z roku 2011 („Następny krok. Razem”) znaleźliśmy takie oto przechwałki: „Wynegocjowaliśmy długoterminową umowę na dostawy gazu z Rosji” oraz: „Konstruktywne podejście do Rosji wzmacnia naszą pozycję w Europie”. Od razu poczuliśmy się wzmacnieni.

Skoro już mamy w rękach ten program PeŁo sprzed 11 lat, to jeszcze jeden cytacik: „Skutecznie realizować naszą rację stanu można tylko poprzez umiejętne wpisanie naszego interesu w szerszy interes europejski. UE to system stałych negocjacji, w którym liczy się siła argumentów. Nie wystarczy mieć rację, trzeba jeszcze do niej przekonać partnerów”. To tak à propos wezwań Eine Totalopposition, żeby Warszawa wychodziła przed szereg. ©©

*W wojnie między bogami nie będzie zwycięzców,
zostaną tylko zgliszczta ludzkiego świata.*



CYKL MATERIA SECUNDA • TOM II



fabryka słów

Patroni medialni



COVID-19, czyli eksperyment na ludzkości



Jerzy Karwelis

Czy sanitarny globalizm zrobił sobie przerwę na czas wojny i pracuje nad nowym światowym resetem?

Tumult wojenny zagłusza wszystko. Ale widać jasno, że niknie on, im dalej od naszego regionu. Inne kraje się tym tak nie przejmują – dla nich jakaś Ukraina czy Polska to to samo, co dla nas wojna w Syrii czy w jakimś Jemenie. Skomplikowane to, nie wiadomo, o co chodzi i kto tak naprawdę ma rację. I widać po takich krajach to, co nam umyka. Procesy rozpoczęte przez COVID wcale wraz z nim nie zniknęły, ba – niektóre eskalują, inne otorbiają się w formę przetrwalnikową. Ujawnione przez pandemię mechanizmy wciąż stoją na standby, gotowe do uruchomienia przez wyzwalający impuls.

Korzysta na tym przepoczwarzony globalizm, który w COVID osiągnął nowe wymiary, poszerzając znacznie swoje włości. Za dobrze poszło, by taki „dorobek” miał się zmarnować. Zanim spróbuję opisać tę covidową schedę, warto wyjaśnić jedną kwestię. Nie wiem, czy istnieje tzw. rząd światowy, ale ciągotki globalistyczne wyraźnie w pandemii przyśpieszyły. Spekulacje, czy wywołał on pandemię, pozostawiam bytom o większej wyobraźni, wspomaganej brakiem dowodów. Ale globalizm co najmniej wykorzystał okazję, jaką dawał COVID, zamieniony w sumie w światowy reset. Był jak wyłączenie komputera – te-

raz można wgrać nowe oprogramowanie. Do wszystkiego – stosunków społecznych, gospodarczych, politycznych, demograficznych. Bez wojny. Na razie.

Najbardziej mi się podoba wersja dialektyczna, to znaczy, że zaczęli od wirusa Chińczycy, by osłabić swego głównego rywala – USA, w sumie skończyli z pandemią, gdy myśmy zaczęli.

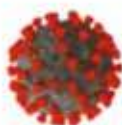
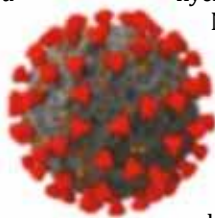
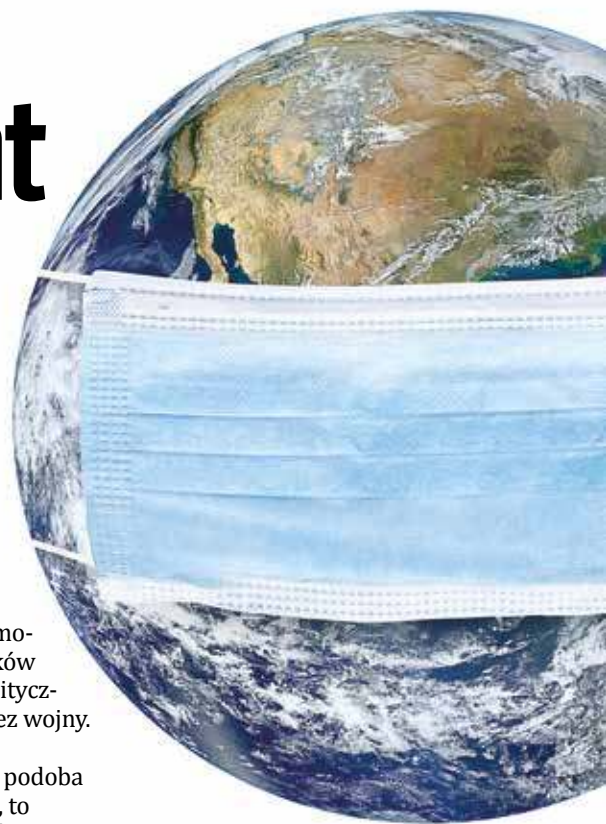
Jakby nam przekazali pałeczkę w covidowej sztafecie. Niestety, wraz z „modelowym” sposobem walki z COVID – koktajlem lockdownów, kwarantann, nefarmaceutycznych środków ochrony, które doprowadziły do kryzysów we wszelkich obszarach: gospodarczym, zdrowotnym, społecznym, w rezultacie politycznym. I globalizm miał nie przegapić tej okazji.

LOKALNE EKSPERYMENTY COVIDOWE

Można prześledzić, jak to szło. Ważny był eksperyment w Lombardii, bo przed nią Europa i świat traktowali COVID jako problem lokalny, którąś tam z orientalnych gryp – bo ci Chińczycy to jedzą wszystko, co się rusza, i się pokazali. Bergamo to był przełom. Nie epidemiczny, ale świadomościowy. Głównie dlatego, że pojechała tam doradzać ekipa

Bergamo to był przełom. Głównie dlatego, że pojechała tam doradzać ekipa z Chin. Rezultaty znamy – ostra kwarantanna, izolacja, starszuskowie pozamykani w swoich domach

z Chin. Rezultaty znamy – ostra kwarantanna, izolacja, starszuskowie pozamykani w swoich domach, przytułkach, ośrodkach. Bez opieki, zestresowani, z chorobami współistniejącymi. Marli jak muchy na swoje choroby, ale wraz z pozytywnymi testami. Na oczach świata, który swoje kamery skierował w tę stronę. Padł strach i okazało się, że koronawirus jest wśród nas, a Chińczycy pokażą drogę, bo sami przez to pierwsi przeszli. A więc pokazali. Wszystko, co później





FOT. AUBREY STOKK

globalny kryzys finansowy i odłożoną wtedy, wracającą dziś, w postaci wstępującej, falę inflacji.

Mieliśmy potem ciąg „eksperymentów covidowych”, tak jakby ktoś skakał konikiem szachowym po globusie. To, że sam wirus robił takie hopsy, to już kwestia epidemiologiczno-medialna, ale zobaczmy, co trenowano, kiedy i gdzie. I – co ważne dla nas, bo to wciąż stoi w blokach startowych – co się udało. Antypody. Australia i Nowa Zelandia praktycznie od początku weszły w „religię Zero COVID”, czyli walczyły z wyeliminowaniem wirusa za wszelką cenę i do końca. Co oznaczało, że w takim Brisbane zamknięto np. 2,6 mln ludzi w lockdownie, bo znaleziono trzy przypadki „chorych na testy”.

I Australia z Nową Zelandią trzymają właściwie do dziś bardzo wysoko sztandar tej religii. Eksperyment się udał, bo społeczeństwo pokornie akceptowało eskalację obostrzeń do rozmiarów absurdalnych. Australia została potraktowana jako wyspa, nie można było do niej wjechać lub z niej wyjechać, ruch wewnętrzny ograniczono maksymalnie, jakby granice administracyjne oddziaływały różne warianty wirusa, rodziny nie widziały się przez prawie dwa lata. Epidemiologicznie wyszło jeszcze gorzej, zwłaszcza na przełomie lat 2021 i 2022, kiedy kraje o szczególnym zamordyzmie szczepionkowym nawiedziła gwałtowna fala zakażeń. Ale lud to łyknął, a więc widać, że można.

Kolejnym obszarem eksperymentu, pochodnym od covidowej pandemii i fundowanym na kredycie strachu, była Kanada. Tu potrenowano rozwinięcie osiągnięć australijskich. Doszliśmy tam do udanych prób zakwestionowania świętości Ameryki – własności. Po prostu, wedle uznania władz, bez żadnych trybów odwoławczych, można było legalnie pracującym (i dodajmy – protestującym) kierowcom ciężarówek odebrać koncesję, ubezpieczenie, wreszcie – zablokować dostęp do własnych pieniędzy. Po prostu władzuchna wytypowała podpadniętych i jednym kliknięciem na komputerze wyrzuciła ich jako pariasów na mielizny życia społecznego. Ale to władza decydowała co do zakresu użycia środków, a także co do tego, kto jej podpadł. Dziś kierowcy, a jutro może mleczarze. I co? I przeszło. Naród nie

pisnął. Coś tam ktoś zaburczał, mieliśmy wzruszające zdjęcia z konwojów wolności i... wszystko wróciło do normy. A więc można.

GLOBALNE EKSPERYMENTY COVIDOWE

To tylko parę miejsc na mapie. A mieliśmy do czynienia z co najmniej trzema „międzynarodowymi” procesami. Pierwszy to media – wszędzie i po równo. Okazało się, że to wcale nie agora do wymiany poglądów, tylko jeden megafon pomalowany w kolory różnych stacji nadawczych i mediów społecznościowych, nadający tę samą wojenną propagandę covidową. Żadnych odstępstw od narracji sanitaryzmu, co najwyżej – eskalacja w pogoni za tym, kto się nim lepiej wykaże. I lud to kupił, nikt nie pisnął o wolnych mediach, większość zaakceptowała tę jednostajną „jednopolówkę”. Dało się? Dało.

Akcja szczepień została użyta – jak widać teraz – nie jako narzędzie walki z koronawirusem, ale przymuszenie ludzkości do totalnej formy kontroli

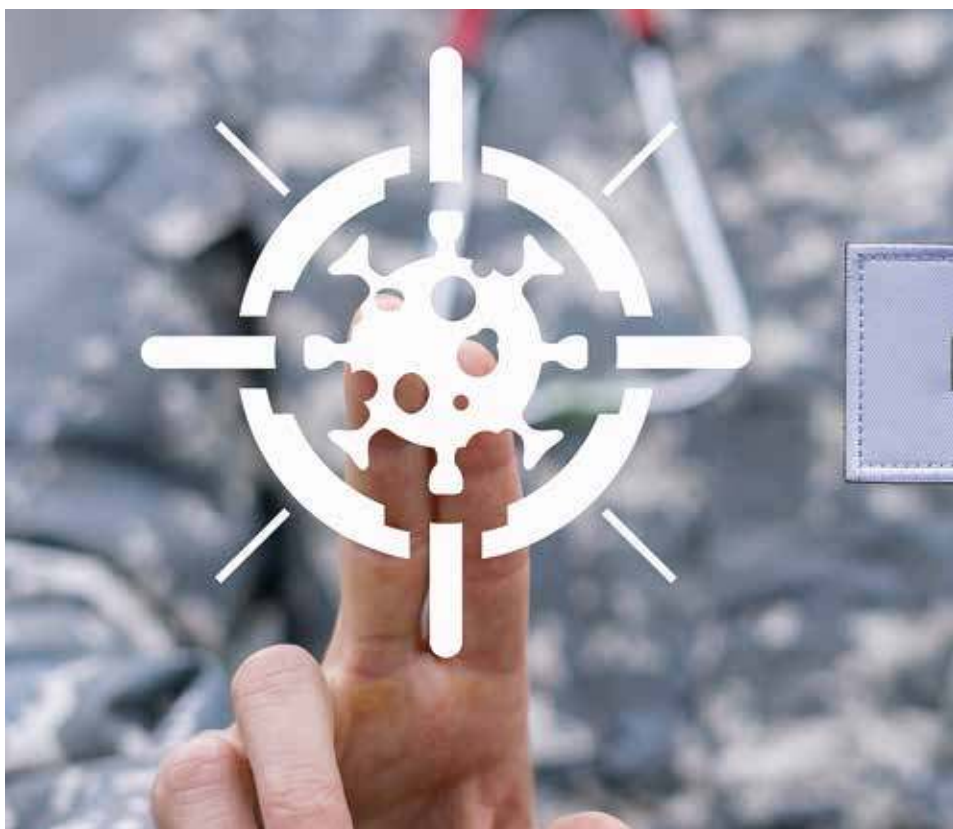
Druga sprawa to szczepienia. Ta akcja została użyta – jak widać teraz – nie jako narzędzie walki z koronawirusem, ale przymuszenie (i przyzwyczajanie) ludzkości do totalnej formy kontroli. Narzędziem był znowu strach, ale umajony „przymusową dobrowolnością”. No bo w sumie nie było nigdzie przymusu szczepień. Państwa nie chciały brać odpowiedzialności za podanie preparatu, a taką by wzięły na siebie, gdyby do szczepienia przymuszały. Zatem trzeba było zastosować inne formy zachęty, które stały się ukierunkującym przymusem, ale na własną odpowiedzialność. Jeszcze wytyczono kolejny kierunek – porządku będą pilnowali sami postrachani. To oni będą, tak jak we wcześniejszej fazie przedszczepionkowej z maseczkami, ganiili innych obywateli. To ważny element, przeciwny znowu z sukcesem i do szybkiego odtworzenia w „Nowym Świecie”. Wszystkich nie upilnujesz – niech się więc pilnują sami.

się stało, z gospodarkami, ze społeczeństwem, a właściwie z ludzkością, zostało postawione na tym cokole strachu.

Potem było już z górki – z takim kredytem „panikarskiego zaufania” całe zdeorientowane narody oddały się w pakt swoim rządów, a właściwie niekonstytucyjnym gremiom, o składzie swoich ciał niepozbowionym podejrzeń o sprzyjanie bardziej interesom mocodawców niż dobru publicznemu, ze zdrowiem publicznym na czele. Kto dotąd słyszał o jakimś Faucim czy – u nas – o Horbanie, którzy z dnia nadziei, wedle niewiadomych do dziś kryteriów (lub ich braku), wyłączali całe gałęzie gospodarki, skazywali branże na zatracenie, a miliony zamykali w domach? Za te pomysły rachunki wracały do państw, powodując

Trzecim elementem „światowego eksperymentu”, trenowanym pod każdą covidową szerokością, była zagłada klasy średniej. To ona głównie padła przez lockdowny. A klasa średnia robiła dotąd „pogodę” na świecie. Zatrudniała, płaciła podatki, generowała realny wzrost, a nie jakieś wirtualne dochody na „instrumentach pochodnych”. W dodatku miała niebagatelne znaczenie w sferze społecznej i w rezultacie – politycznej. Mali przedsiębiorcy „na swoim” są głównym zagrożeniem dla globalizmu – mają swoją autonomię i są w stanie wyraźnie zakreślić jej granice i o nią walczyć. Nie tak jak pracownicy najemni. I te trendy naturalnie wpływały na politykę, były czynnikiem pozytywnych zmian ustrojowych. Klasa średnia wydała z siebie najlepszych prawodawców, ponieważ była dwustronnym buforem pomiędzy oligarchizacją elit i ich merkantylnym wpływem na regulację z jednej strony, a z drugiej roszczeniowością mas, za którą de facto klasa średnia płaciła.

FOT. ADBESTOCK



POWTARZALNY MECHANIZM I NOWE POMYSŁY

Jak widać, dorobek covidowy jest spory i tylko głupi by go zatracił. Po zadziałaniu takich ujawnionych i utrwalonych mechanizmów można się do nich odwołać za pomocą dowolnego bodźca. Trzeba się tylko oprzeć na strachu, który ogarnął ludzkość. Handel wymienny „wolność za bezpieczeństwo” udał się znakomicie. Ale tylko globalistom. Cóż, dzisiejszy człowiek nie znał wartości swej wolności, której coraz częściej nie uprawiał, więc nawet nie za bardzo wiedział, z czego rezygnuje i że w ogóle płaci jakąś walutą. Za to pragnienie bezpieczeństwa i kontynuowania życia na poziomie materialnej egzystencji zdominowało resztki motywacji. Wystarczy więc znów odwołać się do tego mechanizmu, by wrócić do tej wymiany. Wystarczy tylko bodziec.

Najprostsze pomysły prezentuje Bil Gates. Ten mówi po prostu, że czeka nas pandemia nowego, innego patogenu. I tyle. Podmieniamy koronawirusa na innego wirusa. Karuzela strachu wchodzi na znane obroty. Potem jakieś obostrzenia, jako że wszystkim znane – szoku nie będzie. Potem walka naukowców z cząsem, by wymyślić jakąś szczepionkę. No i testy, bo przecież trzeba ściągać wirusa i zawczasu wykrywać, gdzie i jak się rozprzestrzenia. Nihil novi, czyli po staremu. Ale mamy już pączkujące doświadczenia

paszportowe i te zadziałać mogą na wyższym poziomie.

WHO już kombinuje z wprowadzeniem światowego paszportu covidowego. Przypomnijmy: w najłżejszej wersji szczepienia się skompromitowały swoją nieskutecznością. Obecnie zaś przychodzi coraz więcej badań mówiących o tym, że nie tylko nie działają, lecz także szkodzą. A więc uznawanie paszportu covidowego jako dokumentu świadczącego o czymkolwiek jest bez sensu. A tym bardziej uzależnianie od jego posiadania dostępu do dóbr obecnie uznawanych za luksus do niedawna przynależny zaszczepionym, takich jak podróżowanie czy praca. Jeśli nie ma to znaczenia epidemiologicznego, to ma wyłącznie znaczenie kontrolne poprzez wywołanie posłuszeństwa dla niego samego. Szczepionka cię nie chroni, ale musisz ją mieć, bo tak postanowiono.

Naprzeciw temu wychodzą np. Air Canada (nie bez przypadku z naszej wcześniejszej listy krajów przodujących w przemianie COVID w kontrolę) i dwa największe tamtejsze lotniska. Weszły właśnie w partnerstwo z niesławnym Światowym Forum Ekonomicznym, które od dawna nie kryje się z postulatami uwolnienia ludzi od własności i wolności w imię bezpieczeństwa. W tym wypadku chodzi nie tylko o projekt cyfrowej tożsamości, lecz także o powiązanie systemu

kredytów społecznych np. z możliwością podróżowania. Chciałem tylko przypomnieć, że system ten jest dzielnie wprowadzany w Chinach, co kiedyś budziło grozę cywilizowanych społeczeństw. Dziś, po dwóch latach tresury, postulaty te wydają się całkiem racjonalne, a co najmniej akceptowalne przez pogubione społeczeństwo postcovidowe. Dziś system kontroli i identyfikacji wprowadza Unia Europejska. Jeden z bardziej zaawansowanych na świecie.

INSTYTUCJONALIZACJA SANITARNEGO GLOBALIZMU

Zwołuje się (drugi) światowy szczyt covidowy. 12 maja spotkają się ciekawe państwa: Belize, Indonezja, Niemcy, Senegal i USA. W oficjalnych dokumentach jest napisane, że chodzi o podsumowanie dwóch lat pandemii i wyciągnięcie wniosków. To taka przymiarka do wizerunkowego alibi dla kolejnego etapu globalizacji. Mamy wspólne doświadczenia, wirus jest międzynarodowy, trzeba zjednoczyć wysiłki, by dać globalnie odpór globalnej pandemii. Najpełniej ideę szczytu określił Biden: chodzi o zaszczepienie całego świata. Moim zdaniem prędkiej o zafundowanie wszystkim globalnego paszportu, platformy, w której dostęp do podstawowych dóbr i usług będzie warunkowany tym, jak danego osobnika ocenia władza. Czyli będzie to twórcza



implementacja opisanego wyżej udanego eksperymentu kanadyjskiego.

Najdalej zaszedł duet ONZ-WHO. Parka wszczęła procedurę, pod którą podpisały się już 194 kraje, a która dąży do stworzenia superrządu (na razie w kwestiach epidemiologicznych), który będzie „koordynował” działania na skalę światową. A więc skończy się wolnoamerykanka. Mimo że większość krajów szła „modelem chińskim”, to było parę niechlubnych wyjątków: Szwecja, Indie, które to umierały i nie umarły, wreszcie Afryka, która to się nie zaszczepiła, a o obostrzeniach wiedziała tyle, że zamaseczkowanych zachodnich turystów brano tam za ofiary jakiejś kolejnej mody zgniłego Zachodu. Teraz koniec – lockdowny, kwarantanny, kto zaszczepion, kto nie, kto może wejść we wtorek do knajpy – będzie decydowała WHO.

Parę słówek o WHO. Jest to superdziwoląg, jawny dowód na postępy globalizacji i oddanie tak wrażliwej sfery jak zdrowie publiczne na skalę światową w ręce instytucji w większości finansowanej ze środków prywatnych, w dodatku firm farmaceutycznych, które z dobrego serca toż miliardy na tę instytucję. W COVID WHO była jednym ze źródeł problemów, ze swoimi zamordystycznymi rekomendacjami przetłumaczonymi wprost z chińskich broszurek, była głosicielem nowej definicji,

wedle której zwykła sezonowa grypa to już pandemia, a także promowała załóżki „religii Zero COVID” i szczepionkowe szaleństwo. I taka instytucja będzie rządzić światem. Oczywiście bezinteresownie, ku dobru publicznemu na skalę planetarną.

A sprawa jest już ugadana. Ma swoją „mapę drogową”. Główne terminy to sesja ONZ 1 sierpnia 2022 r. Wtedy w mediach (przynajmniej polskich) będziemy mieli spór o wycie lub niewycie syren w rocznicę powstania, a inne kraje będą, proszę mi wierzyć, zajmowały się jakimiś głupstwami. A w tych dniach będzie się decydowała przyszłość świata, bo będzie przygotowany światowy traktat pandemiczny, przekazujący władzę nad państwami niewybieralnej instytucji, w 80 proc. finansowanej z kapitałów prywatnych. Agenda jest ambitna, bo zakłada załatwienie sprawy do końca 2023 r. A interesuje się w ogóle ktoś, jakieś media, tym dziejowym fenomenem? Gdzie tam – wszyscy śpią albo boją się kolejnych wariantów.

SZANGHAJ JAKO PRÓBA POWROTU?

Nie trzeba długo czekać na zwiastuny tego, co szykuje nam przegrupowujący się globalizm. Wystarczy popatrzeć na Szanghaj. Tam wpadnięto w testozę i proporcjonalnie do zwiększającej się liczby testów podskoczyła liczba zakażonych. Dodajmy: ok. 5 proc. jest

żywności. Nie wolno się ruszyć z domu. Nie muszę dodawać, że mówimy o społeczeństwie praktycznie w całości zaszczepionym.

Ostatnio miałem o tym wpis na swoim „Dzienniku zarazy”. Sceny apokaliptyczne – ludzie skaczący z balkonów, popełniający samobójstwa, zamieszki, starcia policji z wygłodniałymi ludźmi. Wycie ludzi z balkonów jednego z najnowocześniejszych miast świata. I drony latające wśród wieżowców by ostrzeżeniami z megafonów, by nie wychodzić na balkony i nie krzyczeć. Wszystko to jak ścieżka dźwiękowa do obrazu „Piekło” Hieronima Boscha. Apokalipsa. Niebywałe. Tak? A czy pamiętają państwo, jak u nas jeździły wozy policyjne z megafonami i nadawały to samo? To przecież tylko różnica w zaawansowaniu technicznym.

To dzieje się teraz, dzisiaj. Kiedy my cali w Ukrainie. Niepokojąca jest niewiadoma, czy to nie jest kolejna demonstracja chińskich sposobów walki z koronawirusem, ale już na wyższym poziomie. „Religii Zero COVID”, która sama się doprowadza do własnego zaprzeczenia. Jak już powiedziano, ideolo zerocovidowe zakłada walkę za wszelką cenę do ostatniego chorego (na testy). A więc nie powinno dziwić, że powyższe obrazki dotyczą miasta, w którym na COVID w tej „fali” zmarły... trzy osoby. Pytanie, czy Zachód odtworzy znowu tę drogę? Przypomnę, że na początku wydawało nam się, że te represyjne obostrzenia to azjatycki mental, potem inkorporowaliśmy większość z nich. Czy jak wróci co nowego, to pójdziemy w tę stracącą strategię walki do końca? COVID albo cywilizacji?

Jedno jest pewne – jak globalizm zechce, to zrobi, co będzie chciał. Postrachana ludzkość ma traumę szoku pourazowego i zachowuje się irracjonalnie. Na tyle, że nie zauważyła demonstracyjnego pokazu fasadowości demokracji, za której dekoracjami podejmuje się prawdziwe decyzje o przyszłości narodów, państw i planety. Suweren nie widzi, że mit o jego sprawczości upadł na jego oczach. A może był mu niepotrzebny od dawna, więc strata mała i prawie niezauważalna. Ludzkość jest już tak ślepa, że nawet głosuje za utrzymaniem przy władzy winnych tego zamieszania. Ale nigdy się przecież nie zdarzyło, by owce wybrały na pasterza którąś spośród siebie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wściekli mieszkańcy luksusowego osiedla zbierają się pod zamkniętą bramą wjazdową i krzyczą w kierunku policjantów, że mają już dość i chcą wyjść. Ubrani w białe kombinezony funkcjonariusze odganiają mieszkańców, a gdy to nie pomaga, strzelają w powietrze.

Mężczyzna chodzi w kółko przy drzwiach do supermarketu i krzyczy, że jest głodny, nie ma skąd wziąć jedzenia i nie może zrozumieć, że supermarket z pełnymi półkami jest zamknięty na trzy spusty. „Doprowadzacie ludzi do śmierci” – słychać na nagraniu.

Mieszkańcy bloku z wielkiej płyty krzyczą z balkonów, że skończyły im się zapasy. Błagają, by służby pozwoliły im wyjść z mieszkań. „Umieramy z głodu. Nie jedliśmy od bardzo dawna” – krzyczą mieszkańcy. Jeden z nich wystawił na balkon łódawkę i otworzył jej drzwi, by pokazać, że jest kompletnie pusta.

W jednym z wielkich centrów izolacyjnych ktoś idzie korytarzem i filmuje kartonowe pudła wyglądające jak trumny, w których ledwo mieszczą się ludzie – w takich „boxach” podejrzani o kontakt z wirusem mają leżeć i czekać, aż przestaną być potencjalnymi nosicielami koronawirusa.

Kilkuletnie dziecko ubrane w kombinezon ochronny dla dorosłego ciągnie rękawami po ziemi i – wyglądając jak stwór z filmu science fiction – idzie pokornie do karetki, która ma je zabrać do centrum izolacyjnego.

To wszystko obrazy z Szanghaju – 26-milionowego megapolis, największego chińskiego centrum technologiczno-financego, które bez przesady można nazwać sercem gospodarki Państwa Środka. Od końca marca to serce ledwo bije. Z powodu wzbierającej fali omikrona mieszkańcy Szanghaju zostali zamknięci w swoich mieszkaniach. Władze obiecały, że każdy zostanie odpowiednio zaopatrzony, ale w praktyce do wielu mieszkańców dostawy jedzenia docierają w bardzo okrojonej formie lub w ogóle do nich nie docierają.

O ile większość państw na świecie po dwóch latach od pojawienia się COVID-19 zrezygnowała z większości restrykcji, o tyle chińskie władze wciąż uparcie trzymają się swojej polityki „Zero COVID”. Nawet pojawienie się wyjątkowo zaraźliwego (choć dużo mniej zjadliwego) wariantu omikron niczego nie zmieniło w podejściu Pekinu.

Jak zwracają uwagę zagraniczni korespondenci pracujący w Szanghaju, mimo



Czerwony areszt



Piotr Włoczyk

Dwa lata po wybuchu pandemii znaczna część świata zapomina o covidowych restrykcjach. Chiny idą w odwrotnym kierunku – wobec wzbierającej fali omikrona zamykają pod kluczem setki milionów obywateli i zamieniają kraj w jeden wielki covidowy areszt



Kolejka do testów na COVID-19
FOT. LIU JIN/AFP/EAST NEWS

że warunki, w jakich od końca marca żyją mieszkańcy miasta, są niepojęte dla mieszkańców Zachodu, to i tak lokalne władze są stosunkowo „liberalne”. Chińczycy komunistycznie doskonale rozumieją, że Szanghaj to w pewnym sensie chińskie okno wystawowe dla świata, więc nie są tak brutalne w egzekwowaniu lockdownu jak gdzie indziej w kraju, szczególnie w mniejszych miastach na prowincji. Przykładem tego „liberalizmu” może być choćby kwestia izolowania małych dzieci od rodziców po wykryciu u nich COVID-19. Na początku władze w Szanghaju bezlitośnie odbierały dzieci rodzicom, jeżeli tylko pojawiło się podejrzenie infekcji. Po tygodniu zmieniły jednak zdanie i – wobec dużego oporu ludności – postanowiły nie rozdzielać rodzin, w których pojawił się koronawirus. Gdzie indziej w Chinach dzieci wciąż są jednak odbierane rodzicom.

POŁOWA PKB W ARESZCIE

Obecnie szacuje się, że ok. 400 mln Chińczyków żyje w lockdownach, czyli

prawie jedna trzecia populacji Chin jest w mniejszym lub większym stopniu uwięziona w swoich czterech ścianach. Niemal 90 spośród 100 największych chińskich miast wprowadziło jakąś wersję lockdownu. Jak wyliczyli ekonomiści z japońskiego banku Nomura, ludność ta wytwarza towary i usługi warte 7,2 bln dol., co stanowi ok. połowy chińskiego PKB.

Weibo, chiński odpowiednik Twittera, dosłownie zalewany jest przykładami covidowych absurdów, które zamieniają życie Chińczyków w piekło. Poza wspomnianymi już mieszkańcami miast, którzy bez jedzenia zostali zamknięci w domach (władze opieczetowują drzwi wejściowe, żeby mieć pewność, że lockdown jest przestrzegany), nie brakuje też scen z dróg, na których wściekli kierowcy ciężarówek, których obostrzenia złapały w trasie, zmuszeni są koczować na poboczach w tragicznych warunkach, czy hal fabrycznych, gdzie pracownicy kluczowych zakładów, które nie mogą pozwolić sobie na przerwę w działalności, musieli zamieszkać.

Sz szczególnie tragiczna jest sytuacja ludzi potrzebujących stałej opieki zdrowotnej. W chińskim Internecie mnóstwo jest historii osób przewlekle chorych, które z powodu lockdownów nie są w stanie uzyskać pomocy. Bardzo głośnym echem odbiła się na Weibo sprawa pielęgniarzki z Szanghaju, która umarła na ostry atak astmy. Jak wielu innych chorych również jej rodzina nie była w stanie doprosić się ratunku.

„To już trzeci rok pandemii. To niewyobrażalne, żeby coś takiego stało się w Szanghaju, który jest w czołówce chińskich miast pod względem prewencji i kontroli. W głowie się nie mieści, że szpital, w którym pracowała ta pielęgniarka, nie zgodził się na jej przyjęcie” – napisał w mediach społecznościowych Fen Wenliang, dziennikarz z Szanghaju, który nagłośnił sprawę.

Czy tak totalitarna polityka względem COVID-19 ma sens w starciu z wariantem omikron? Tym pytaniem żyją dziś Chińczycy. O ile bowiem na początku pandemii, gdy mieliśmy do czynienia z dużo mniej zaraźliwymi wariantami, Pekin był w stanie pokazywać swoją politykę „Zero COVID” jako sukces (oficjalnie na COVID zmarło w ChRL do połowy kwietnia ok. 5 tys. osób), o tyle dziś, wobec zderzenia z omikronem, upieranie się przy tak restrykcyjnych metodach wydaje się być kompletnym absurdem.

Po trzech tygodniach zamknięcia całego Szanghaju władze i tak notowały każdego

dnia ponad 20 tys. przypadków zachorowań. Nawet jeżeli jakimś cudem udałoby się w kolejnych tygodniach zbić tę liczbę do zera, to Szanghaj musiałby pozostać szczelnie zamknięty dla przybyszów z zewnątrz, by uniknąć kolejnego lockdownu w imię zasady „Zero COVID”.

Polityka ta jest znakiem firmowym Xi Jinpinga i na razie trudno sobie wyobrazić, by chiński przywódca przyznał, że w zderzeniu z omikronem „chińska metoda” okazuje się bezużyteczna. Właśnie dlatego lokalne władze w całych Chinach prześcigają się we wprowadzaniu coraz to nowych obostrzeń, chcąc pokazać Pekinowi, że w pełni panują nad sytuacją na swoim terenie.

GOSPODARCZY CIOS

Jak zwracają uwagę eksperci, chińskie władze mogą się przy tym obawiać, że wbrew okrzykniętej wielkim sukcesem kampanii szczepień (w Chinach zaszczepiono ok. 90 proc. populacji) uderzenie omikrona może przynieść gigantyczną liczbę ofiar. Wiele wskazuje bowiem na to, że chińskie szczepionki dają bardzo niewielką ochronę przed tą chorobą, a dodatkowo ok. połowy Chińczyków mających ponad 80 lat nie przyjęło ani jednej dawki. Pekin panicznie boi się więc, że omikron bardzo popsuje oficjalne statystyki śmiertelności na COVID-19, podając tym samym w wątpliwość skuteczność komunistycznych władz.

Jak nietrudno sobie wyobrazić, tak restrykcyjna polityka musi mieć poważne skutki gospodarcze.

Ekspert wskazuje, że zakładane na ten rok przez Pekin 5,5 proc. wzrostu PKB jest już kompletnie nierealistyczne. Tysiące chińskich fabryk stało, transport również został sparaliżowany przez lockdowny. Chiński premier Li Keqiang, zdając sobie sprawę z gospodarczych implikacji tak ostrego zwalczania koronawirusa, apeluje do lokalnych władz o rozsądek we wprowadzaniu obostrzeń, ale na razie ewidentnie górę bierze wśród działaczy w terenie chęć pokazania się przed Pekinem w charakterze bezwzględniego egzekutora polityki „Zero COVID”.

Ten szalony pomysł na zwalczanie koronawirusa będzie miał też wpływ na sytuację gospodarczą w innych częściach świata, m.in. w Polsce. Załamanie produkcji, łańcuchów dostaw i spowolnienie gospodarcze w Chinach spotęguje problemy, z którymi już musimy się mierzyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wielki spisek

Kto jeszcze pamięta, z jaką pasją pomagdańskie elity III RP wyszydzały przed laty „myślenie spiskowe”, wmawiając je swoim kolejnym przeciwnikom? A tymczasem dziś wszystko to, co lewicowo-liberalne salony w swych lepszych czasach uważały za przejaw skrajnego obskurantyzmu, ciemnoty i paranoi, płynącej z rzekomej „prawicowej” frustracji, stało się sposobem rozumowania coraz bardziej w nich powszechnym, wręcz już obowiązkowym.

Historycznie rzecz biorąc, jest to kolejna realizacja starej prawidłowości, dobrze opisanej przez historyków i socjologów zajmujących się konspiracją. To, co nazywali oni „myśleniem paranoicznym”, rozkwita zawsze, ilekroć zmienia się ustalony porządek świata i gdy sankcjonująca go ideologia zaczyna być kwestionowana. Ci, którzy dotychczasowo, uprzywilejowujący ich stan rzeczy uważali za oczywisty i niezmienny, mają w takich historycznych momentach dwie możliwości: uznać, że się mylili, i szukać w swym dotychczasowym postępowaniu błędu albo wierzyć, że sprzysięgła się przeciwko nim zło, tajemna zmoza ciemnych sił i w miarę kolejnych ponoszonych klęsk przypisywać tej zmozie coraz większą rozległość i wszechmoc,



Rafał A. Ziembkiewicz

Rzecz nie w tym, że zarówno zachodnia, jak i polska liberalistokracja wytwarza coraz większą liczbę paranoicznych narracji, ale w tym, że to ich głosiciele stają się dla niej autorytetami, liderami opinii

stopniowo odrzucając wszelkie prawdopodobieństwo, logikę, a wreszcie fakty przeczące istnieniu spisku.

Jakoś tak się zawsze w historii układało, że z pierwszej możliwości korzystali tylko bardzo nieliczni.

PRZEGRANI POTRZEBUJĄ PSYCHOTERAPII

Lewicowo-liberalne salony III RP, od siedmiu lat zgnębione utrzymującą się popularnością zniechęconego PiS i kolejnymi dowodami odrzucenia przez społeczeństwo, nie są od tej prawidłowości wyjątkiem. Przez dziesięciolecia po Okrągłym Stole kultywowały w sobie wiarę, że są po prostu najlepsze, najmądrzejsze i otoczone powszechnym podziwem, aż ich „urojenie wyższościowe”, jak ujmie to psychiatria, stało się podstawą zbiorowej tożsamości. „Lepszość” liberal-

nej lewicy, jej wszechstronna wyższość nad „prawicowym ciemnogrodem” stały się aksjomatem.

Skoro więc gorsi nagle zaczęli regularnie wygrywać z lepszymi, to wyjaśnienie narzucało się samo: „Ktoś za tym musi stać”.

Pierwszym sygnałem, że przegrani pilnie potrzebują psychoterapii, była popularna przez kilka lat po roku 2015 teoria „specjalistów z CIA”. Nie formułowano jej jeszcze publicznie i w mediach (choć pojawiała się tam w napomknięciach), ale większość dziennikarzy, jak sądzę, potwierdzi jej ówczesną popularność w kręgach tracących w roku 2015 władzę. Oswajała ona szok, że Bronisław Komorowski – wspierany przez wszystkie autorytety i masowe media, dysponujący ogromną przewagą instytucjonalną jako urzędujący prezydent, na dodatek



FOT. ANDRZEJ STOLIK

z tajną operacją samej CIA. Teoria miała jednak pewne mielizny. Ameryką rządził wówczas liberał Obama, a i Orbán był już wprawdzie wielokrotnie przedstawiany jako narzędzie do rozbijania „jedności europejskiej”, ale w rękach Putina, a nie pierwszego czarnego prezydenta USA.

PARANOJA MIĘDZYNARODOWA

Rzeczywistość potwierdziła jednak podejrzenie spisku, gdy w USA wybory prezydenckie wygrał Donald Trump. To znaczy, nie „wygrał wybory”, ale – jak oznajmiła to Anne Applebaum w książce „Matka Polka” – Putin „narzucił go” Ameryce, i to „z łatwością”, czyniąc jej prezydentem „tchórzliwego półgłówka”.

Zarówno osobę Applebaum, jak i jej frazę przywołuję tu jako istotne symbole. Jej publicystyka i liczne wypowiedzi w mediach połączyły paranoję salonów nadwiślańskich z paranoją elit nowojorskich, wskazując dalszy rozwój odkrywano przez upadającą warstwę społeczną spisku. Kluczem do interpretacji klęski demokratów i Hillary Clinton przez sektę „New York Timesa”, z oczywistych powodów przyjętą entuzjastycznie przez sektę „Gazety Wyborczej”, stało się pojęcie „russian collusion” – „rosyjski spisek”.

W jaki sposób Putin „narzucił Ameryce” swojego „półgłówka” ani na czym właściwie polegać by miała „prorosyjskość” Trumpa, który w świecie realnym, wręcz przeciwnie, odwrócił politykę „resetu” z Rosją, prowadzoną przez jego poprzednika, starał się umocnić NATO i przystopować niemieckie zapędy do wchodzenia Kremlowi w rure? Tym właśnie różni się myślenie paranoiczne od racjonalnego, że jedynym kryterium jest tutaj ocena, czy teza „pasuje” – nie do faktów wszelako, ale do potrzeb psychologicznych tego, kto ją głosi. Lewicowo-liberalne elity – nie tylko w Polsce, lecz także na całym Zachodzie – postawione zostały przed koniecznością wyjaśnienia sobie, dlaczego one, złożone z ludzi najlepszych, wyznające jedynie słuszne idee, na dodatek kontrolujące media, szkolnictwo i popkulturę i wspierane przez najślawniejsze, najbardziej podziwiane gwiazdy wszystkich tych dziedzin, przegrywają z „półgłówkiem”.

Użycie do wyjaśnienia tego horrendum Putina „pasowało” tak doskonale, że nawet gdy po dwóch latach bardzo intensywnego śledztwa, przesłuchaniu kilkuset świadków, przekopaniu dziesiątek tysięcy dokumentów i wydaniu na to

wszystko milionów dolarów prokurator Mueller ogłosił raport, z którego wynika niezbicie, że nie istnieją żadne dowody ani nawet uzasadnione przesłanki, by łączyć Donalda Trumpa z Kreml, odpowiedzią lewicowo-liberalnych mediów było zdawkowe stwierdzenie: „Na razie niczego nie udało się udowodnić, ale wiele spraw pozostaje niejasnych” i okryły one działania Muellera milczeniem. Nawet postawienie zarzutów świadomemu dezinformowaniu służb rządowych USA koronnemu świadkowi teorii „rosyjskiego spisku”, nawet ujawnienie całej anatomii prowokacji, którą teorię tę wyprodukowano (ciekawie znajdują szczegóły w książce Jessiki Aro „Trolle Putina”), nie zmniejszyło ani na jotę częstotliwości odwoływania się przez liberalną lewicę do „russian collusion” i nazywania Trumpa „marionetką Putina”, z tą samą uporczywością, z jaką antysemita powtarzają wierutną bzdurę portalu kontrolowanego przez Hezbollah o „czterech tysiącach Żydów”, którzy nie przyszli do WTC w dniu zamachu.

To, co stało się z wewnętrznym dyskursem liberalnej lewicy – jej polska ekspozytura podążyła tylko, jak zawsze, za wzorcami płynącymi z Zachodu – idealnie wypełnia prawidłowości opisane w kłuczej dla zrozumienia zjawiska „myślenia paranoicznego” pracy Daniela Pipesa „Conspiracy” (w Polsce wydanej w 1998 r. jako „Potęga spisku”). Rozdział, w którym Pipes analizuje prace niezwykle wówczas wpływowych spiskologów XIX-wiecznych, wyjaśniających, jak tajne stowarzyszenia (masoneria, iluminaci, templariusze – ale wbrew stereotypowi nie Żydzi, ci pojawili się w teoriach spiskowych dobre sto lat później) przygotowały i przeprowadziły rewolucję francuską, by zniszczyć monarchię i Kościół, można wręcz 1:1 przykładać do dzisiejszej narracji liberalnej lewicy, której dominacja została zakwestionowana podobnie jak wtedy dominacja arystokracji. Znajdziemy tu identyczne kalki myślowe i sposoby racjonalizowania swej sytuacji.

Teorie spiskowe nie wymyślają zagrożeń od zera – takie próby (np. lokująca się na pograniczu żartu teoria o kontrolowaniu świata przez kosmitów – Reptilian) nie byłyby w stanie spełnić swego celu. Teoria spiskowa polega na wymieszaniu faktów z myśleniem życzeniowym (czy może, w tym wypadku, jego odwrotnością, „myśleniem niezyczeniowym” – czyli „prawdą musi być to, czego

wyraźnie formatujący swą kampanię jako plebiscyt nad „dwudziestopięcioletnim wolności”, w którym to plebiscycie głosowanie inne niż „za” wydawało się elitom III RP niewyobrażalne – przegrał sromotnie, i to z kandydatem, którego nazwisko jeszcze pół roku wcześniej nikomu nic nie mówiło, a jeśli mówiło, to przez mylne skojarzenie go z kimś innym.

Przypadkiem upadek Komorowskiego zbiegł się w czasie z odrzuceniem przez wyborców zasiedziających rządów w Rumunii, a potem w Bułgarii. W połączeniu z wcześniejszymi sukcesami Viktora Orbána na Węgrzech dało to asumpt do sugestii, że za wszystkim stoją Amerykanie, którzy „wymieniają” w środkowej Europie rządy prounijne na proamerykańskie. Kampania Dudy poszła tak dobrze, bo CIA w tajemnicy przysłała tutaj fachowców, którzy tak ją zorganizowali, że pocziwy Komorowski po prostu nie miał szans – mówili prywatnie „tylko do twojej wiadomości” działacze PO.

Dużo złej jest znieść klęskę, jeśli się sobie wmówi, że przegrało się nie z Kaczyńskim, którego się latami wyszydzało jako życiowego nieudacznika, mieszkającego z mamą i niemającego nawet konta w banku ani prawa jazdy, tylko

■ sobie najbardziej nie życzymy”) i logiki z absurdem. Masoneria istniała i istnieje naprawdę, w rycie francuskim nie tając nigdy, że uważa za swój cel demokratyzację i laicyzację; podobnie istnieli iluminaci i próbowali kontrolować masonerię przez wchodzenie do łóż w tajnych, mniejszych grupach, a templariusze, gdyby przetrwali w konspiracji cztery stulecia, mieliby niezmyślane powody, by wyrzucić na Francji jak najstraszliwszą zemstę. Putin także istnieje i jest bezwzględny, amoralny wrogiem Zachodu.

Tyle że Putin z narracji „applebaumopodobnych” jest nie tyle Putinem realnym, dążącym do odbudowy imperium Stalina i podbojów terytorialnych, ile projekcją lęków tego, co zwykłem nazywać „liberalistokracją”. Ów Putin, stojący za całą siecią prześladowanych liberalistokrację spisków, dąży, niczym antydemokratyczny Szatan, do zniszczenia tego, co środowisku kultuwajacemu teorii spiskową najdroższe: liberalnej demokracji. Dlaczego? Bo jej nienawidzi – odpowiadają liberałowie – uważając, jak wszyscy autokraci, za dekadencję, rozlazłą i miękką.

Weźmy to na zdrowy rozsądek: Czy zastąpienie w krajach Zachodu rządów demokratycznych prawicowymi autorytaryzmami rzeczywiście służyłoby realizacji wielkiego celu Putina, obojętne, czy jest nim odbudowa ZSRS czy panowanie na świecie? Jest przecież oczywiste, że w takim razie wolałyby mieć przeciwko sobie państwa rozlazłe i dekadentkie, z łatwymi do skorumpowania (co nieco o tym wie) obieralnymi politykami i łatwymi do mieszania procedurami demokratycznymi, niż twarde, „prawicowe” autokracje. Dlaczegoż, jak przyjmuje to za pewnik paranoiczna narracja liberalnej lewicy, Putin miałby dążyć do rozbicia Unii Europejskiej? Przeciwnie, nic nie służy jego interesom lepiej niż federalizacja UE pod zarządem przyjaznych Kremlowi do granic dobrowolnego przyjęcia satelickiego statusu Niemiec. To przecież dzięki nim, dzięki Unii i „zacieśnianiu integracji” odniosła Rosja ten ogromny sukces, jakim jest omalże narkotyczne uzależnienie zachodniej Europy od jej węglowodorów.

Żelaznym prawem myślenia paranoicznego jest dopasowywanie wskazywanego zła do swoich oczekiwań. Tak jak nawet podczas maksymalnego natężenia antymasońskiej paranoi nikt nie wytykał przynależności do łóż zabijających w nich

Właściwie każdy zachodni polityk zaczyna swe rządy tak jak Hitler, od wygrania wyborów, więc każdemu, jeśli tylko zacznie pasować do spisku, można to wytykać

nudę wpływowym arystokratom, za to niewątpliwymi masonami ogłaszano wszystkich liberałów i demokratów, choćby w życiu nie tknęli kielni ani fartusza, tak i dziś lewicowo-liberalny salon gładko przemyka się nad proputinowskimi dokonaniami Merkel i Scholza, nad długą listą wpływowych, lewicowych i liberalnych polityków zachodnich, skorumpowanych przez Putina synekurami w rosyjskich spółkach. Narzędziami Putina do niszczenia Unii Europejskiej mają być partie, których liberalistokracja boi się i nienawidzi, ale które, jakkolwiek je oceniać, pozostają na marginesie europejskiej polityki. Jedynym realnym skutkiem politycznej działalności Marine Le Pen, a wcześniej jej ojca, jest to, że od wielu lat w drugiej turze wyborów prezydenckich zawsze wygrywa we Francji kandydat establishmentu, jako nie-Le Pen, nawet gdy jest nim taki polityczny nieudacznik jak Holland czy Macron. Demoniczny spisek przeciwko UE dążyłby raczej do zastąpienia niewybieralnej Le Pen kimś strawniejszym dla Francuzów, zamiast ją wspierać.

Ale jeśli fakty mówią co innego, to tym gorzej dla faktów – jak podsumował paranoiczne myślenie Mark Twain. Le Pen pasuje do spisku, bo można ją powiązać zarówno z Putinem, jak i z Kaczyńskim.

„DOWODY”? PROSZĘ BARDZO!

„Dowodów” wielkiego spisku jest za dużo, by ich nie zauważać, od lat np. zbiera je w swych książkach, niestety bestsellerowych, publicysta „Gazety Wyborczej”, „Polityki” i „Newsweeka” oraz laureat dziennikarskich nagród (!) Tomasz Piątek, łącząc pracowicie strzałeczkami wszystkich pasujących ze wszystkimi pasującymi, a potem z Putinem. To od niego oświecone elity czerpią wiedzę tego rodzaju, że jeden ze współpracowników Macierewicza studiował kiedyś na tej samej amerykańskiej uczelni, na której uczył się również, dla niepoznaki na innym wydziale i roku,

człowiek zdemaskowany potem jako sowiecki szpieg. A fundacja, dla której pracuje Jacek Bartosiak, ma siedzibę przy tej samej ulicy, przy której mieściła się kiedyś ambasada Gambii, państwa, które pozbawia podstawowych praw kobiety, co jest częścią ideologii głoszonej przez Putina. Przypadek? Za dużo coś takich „przypadków” – przyzna po lekturze tasiemcowych demaskacji Piątka każdy „obrońca demokracji”.

„Kaczyński zaczyna tak samo jak Putin” – demaskuje wspomniana już „matka Polska” Applebaum, wskazuje wroga i wzywa do moralnej odnowy kraju. To bardzo typowe dla argumentacji paranoicznej. Właściwie każdy zachodni polityk zaczyna swe rządy tak jak Hitler, od wygrania wyborów, więc każdemu, jeśli tylko zacznie pasować do spisku, można to wytykać. Natomiast konkretnie Kaczyński wygrał wybory, bo wprowadził do szkół religię i kult Żołnierzy Wyklętych. W ten sposób wychował, jak zostają określani we wspomnianej książce wyborcy PiS, „chama, półgłówna, mizogina i rasistę”, który narzucił Polsce te straszliwe rządy.

Rządy, przez które – opowiada z przejściem Applebaum – jej przyjaciele „milkną w czasie rozmowy, mówiąc: to nie na telefon”, i choć w duchu popierają PO, to boją się ją popierać otwarcie. Z tego powodu pojawiają się w lewicowo-liberalnym dyskursie tak charakterystyczne dla konspiracjonistycznych paranoi mrugnięcia okiem i hasła, zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych: „ostatnia rozmowa braci”, „TW Balbina”... Wiesz, rozumiesz.

Potrzebujecie jeszcze dowodów? Po tym, jak Putin najechał Ukrainę i dopuszcza się tam takich zbrodni? Jeśli tak, to sami się zdemaskowaliście, że jesteście w spisku ze spiskiem.

A mówiąc, mimo wszystko, poważnie: rzecz nie w tym, że zarówno zachodnia, jak i polska liberalistokracja wytwarza coraz większą liczbę paranoicznych narracji, ale w tym, że to ich głosiciele stają się dla niej autorytetami, liderami opinii, odsuwając takich, którzy w wygadywaniu oczekiwanych przez sfrustrowaną publiczność bredni mają zahamowania. Niepewne czasy, lęk o przyszłość, frustracja i zakwestionowanie tożsamościowego „urojenia wyższościowego” formacji lewicowo-liberalnej napędzają ten proces coraz bardziej, czyniąc jej intelektualny upadek tyleż groteskowym, co żałosnym.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)



PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNER
GŁÓWNY





Jan Fiedorczuk

W ostatnich latach Roman Giertych stał się naczelnym wodzirejem radykalnego anty-PiS. Obecnie słynny mecenas przekonuje, że Jarosław Kaczyński zawarł sojusz z Władimirem Putinem i planował dokonać rozbioru Ukrainy. Nie on jeden straszy „putinizacją” Polski. Wojna niedaleko naszych granic rozpostarła przed niektórymi nowe horyzonty obłędu

O ile głosy dotyczące „kierunku na Wschód” obranego rzekomo przez polskie władze pojawiały się po lewej stronie sceny politycznej od dość dawna, o tyle zazwyczaj były łączone z napięciem na linii Warszawa – Bruksela. Przekonywano, że skoro PiS nie chce się podporządkować Unii Europejskiej, to musi dążyć do polexitu. To dopiero Roman Giertych całkiem na poważnie wysunął tezę o sojuszu Jarosława Kaczyńskiego z Władimirem Putinem, którego ofiarą miała paść Ukraina.

Po raz pierwszy mecenas opozycji opisał swoją teorię spiskową na początku marca. Zgodnie z nią Putin planował ustanowienie strefy buforowej pomiędzy Zachodem a Rosją, w której to miała znaleźć się Polska („być może połączona z częścią Ukrainy”). Giertych przekonywał, że Donald Trump, gdyby tylko udało mu się uzyskać reelekcję, planował rozmontować NATO, a Jarosław Kaczyński stanąłby wówczas przed wyborem: albo w porozumieniu z Putinem dokonać podziału Ukrainy, albo też pozostać w strefie amerykańskich wpływów w zamian za „wolną rękę do rozprawy z opozycją”. Jak owo „rozprawienie” miałoby wyglądać, mecenas nie precyzował, jednak biorąc pod uwagę, że jeszcze nie tak dawno twierdził, iż PiS próbował go zabić [sic!], można domyślać się, że nie wykluczał żadnego scenariusza – łącznie z tymi rodem z „Ojca chrzestnego”.

W swych kolejnych miniesejach publikowanych w mediach społecznościowych mecenas przekonywał, że „szykowano nam zdradę stulecia”, a zaproponowana

Wodzirej anty-PiS



przez prezesa PiS misja pokojowa NATO, której oficjalnym celem miała być ochrona cywilów, w rzeczywistości sprowadzałyby się do wejścia polskiego wojska na tereny zachodniej Ukrainy i podzielenia kraju między Polskę, Rosję i Węgry (którym to miała przyspaść Ruś Zakarpacka). „Kaczyński z triumfem objąłby Lwów i jako zbawca Ukraińców oraz wskrzesiciel potęgi Polski mógłby liczyć na rządy absolutne” – konkludował mecenas.

RAMIĘ W RAMIĘ Z ŁAWROWEM

Wizje Giertycha, same w sobie już dość kuriozalne, nabrały dodatkowego kolorytu, gdy dwa dni po ich opublikowaniu szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow wypowiedział się dokładnie w tym samym duchu. – Podstawą takich sił pokojowych [tzn. misji NATO – przyp. J.F.] byłby polski kontyngent, który przejąłby kontrolę nad zachodnią Ukrainą, na czele ze Lwowem. I pozostałby tam na długi okres – mówił szef rosyjskiej dyplomacji cytowany przez agencję TASS.

Wydawałoby się, że Giertych w tej sytuacji, choćby tylko ze względu na to, aby nie mówić jednym głosem z Ławrowem, jeżeli nawet się nie odetnie od swoich tez, to przynajmniej spuści na nie kurtynę milczenia. Stało się jednak coś dokładnie odwrotnego. Mecenas uznał słowa szefa rosyjskiego MSZ za potwierdzenie swych teorii i triumfalnie brnął dalej, teraz już ramię w ramię z rosyjską dyplomacją, w barwną opowieść o „zdradzie stulecia”.

„Ławrow w sumie pozytywnie odpowiada na plan Kaczyńskiego misji NATO na terenie zachodniej Ukrainy. Mówię wam: Oni to szykowali od dawna!” – grzmiał na Twitterze.

Jego spekulacje zostały natychmiast podchwyczone przez Tomasza Lisa, którego tygodnik od dawna projektuje wizję Kaczyńskiego wprowadzającego nad Wisłą własną odmianę autorytaryzmu. „To jest niesamowite. Czyli Ławrow właściwie potwierdza szaloną, wydawało się, koncepcję Giertycha, że zgłoszony



FOT. TOMASZ HAMRAJ / GAZETA POLSKA / EPURUM

przez Kaczyńskiego plan sił pokojowych NATO de facto zakłada uczestnictwo Polski w rozbiórce Ukrainy” – emocjonował się naczelny „Newsweeka” na Twitterze. „Teraz pozostaje oficjalnie zapytać i dowiedzieć się, czy władza PiS ustaliła z Moskwą rozbiór Ukrainy” – zastanawiał się Lis w kolejnym wpisie.

W podobne „rozbiórowe” tony uderzali m.in. poseł Andrzej Rozenek, Jan Piński (redaktor naczelny portalu Wieści 24) czy Radosław Sikorski. „Zakładam, że Orbán jest dogadany z Putinem na rozbiór Ukrainy. Niech nas ręka boska broni przed Zaolziem 2.0!” – przestrzegał europoseł PO w mediach społecznościowych. Cóż, Ławrow niewątpliwie mówi wiele ciekawych rzeczy, nie wiem jednak, czy jest to wystarczający powód, by traktować go jako rzetelne źródło informacji. Komentując teorie Giertycha, Jan Piński stwierdził z kolei, że skoro na zachodniej Ukrainie większość mieszkańców jest nastawiona antyrosyjsko, to Putin najchętniej pozbyłby się tego problemu,

odstępując te terytoria Polsce. Rząd PiS – przekonuje naczelny Wieści 24 – w pierwszych godzinach po wybuchu wojny pozostawał bierny i to wyłącznie opinia publiczna wymusiła na nim krytykę Moskwy. – To wszystko układa się w logiczny łańcuch poszlak. Mieliliśmy do czynienia z próbą zdrady stulecia, która miała być dla Jarosława Kaczyńskiego biletem do historii [...]. On chciał być tym, który zaprowadzi Polskę na Kresy Wschodnie – podsumowuje Piński.

Mniej więcej w tym samym czasie również na okładce „Newsweeka” niedwuznacznie sugerowano, że Kaczyński z Putinem dogadali się w sprawie Ukrainy. Okładka przedstawiała prezesa PiS i prezydenta Rosji, których cienie podawały sobie ręce w geście porozumienia. Pod ich postaciami widniał natomiast napis: „Wrogowie czy sojusznicy? Ostra antykremlowska retoryka nie przykryje tego, jak wiele łączy i małą dzieli Jarosława Kaczyńskiego z Władimirem Putinem”. Nieoceniony Tomasz

Piątek w okładowym tekście stwierdzał, że swoją wyprawą do Kijowa Kaczyński z Morawieckim zagłuszyli przekaz Zełenskiego, który zapewniał, że jego kraj nie wejdzie do NATO. Prezes PiS zaprzepaścił szanse na pokój, dając argumenty kremlowskiej frakcji wojennej. W iście dialektycznym duchu Piątkowi sekundował sam naczelny „Newsweeka”: „Antyputinizm może być najlepszą zasłoną dla putinizmu”. We wstępie do rzeczzonego numeru Lis przekonywał, że w interesie Kaczyńskiego jest zwycięstwo Putina, a losy obu polityków są de facto ze sobą związane. „Putin może wygrać wojnę, a nasi putiniści kolejne wybory” – ostrzegał.

O polskim putinizmie pod płaszczykiem rzekomego antyputinizmu mówił wspomniany Jan Piński, którego zdaniem podróż do Kijowa wpasowała się w plan prezydenta Rosji. – Patrzę z obrzydzeniem i ze smutkiem na znanych dziennikarzy, którzy mówią, że nie można sugerować, że Jarosław Kaczyński współpracuje z Putinem. Jeżeli dowody mówią, że współpracuje, to trzeba zadać pytanie, dlaczego nie ma sankcji realnych – mówił.

Jeżeli chodzi jednak o samego Romana Giertycha, naszego wodzireja anti-PiS, to jego teoria dotycząca sojuszu PiS z Putinem stanowi swoistą kulminację procesu jego „liberalizacji” i przechodzenia do obozu „obrońców demokracji”. Od uczestnictwa w marszach KOD, poprzez postępującą radykalizację – czego wyrazem był film, w którym mecenas przekonuje, że PiS chciał go zabić – aż do wizji Kaczyńskiego jako zdobywcy Lwowa. Słynny mecenas nie kryje swoich ambicji politycznych, a w mediach od dawna mówi się, że jego marzeniem jest przejęcie po rządach Zjednoczonej Prawicy resortu sprawiedliwości. Aby było to możliwe, dawny lider Ligi Polskich Rodzin nie może po prostu posypać głowy popiołem i przeprosić za swój antysemityzm i unioseptycyzm sprzed lat – to zdecydowanie za mało. Aby się uwiarygodnić w oczach unijczyków i zasłużyć na przyszłe frukta, mecenas musi udowodnić, że jest najbardziej demokratycznym z demokratów i najbardziej antypisowskim z antypisowców.

STRASZAK PUTINIZMU

Teoria Giertycha nie stanowiła jakiegos szczególnego novum, a raczej była wyrazem (co prawda

■ zradikalizowanym) szerszej narracji. Po stronie opozycji od dawna pojawiały się próby powiązania polskiego rządu z Moskwą. Rzecz jasna, inaczej tego typu myśli były prezentowane przez politycznych celebrytów pokroju Tomasza Lisa czy Romana Giertycha, którzy mogli sobie pozwolić na nieco większą swobodę wypowiedzi, a inaczej przez działaczy stricte partyjnych, którzy ze względu na pełnione funkcje musieli ograniczać się do ogólnikowych stwierdzeń, że PiS „prowadzi Polskę na Wschód” czy też wprowadza „ruski ład”.

Ten trend nasilił się kilka miesięcy temu, gdy doszło do zbliżenia między PiS a europejskimi partiami konserwatywnymi, na czele z Marine Le Pen. – Co robi Jarosław Kaczyński, gdy dowiaduje się, że Putin szykuje wojnę? Zacieśnia sojusz z sojusznikami Putina w Europie i wysyła Mateusza Morawieckiego, by ścisnął rękę rosyjskim agentom, którzy jawnie mówią, że chcą przygotować Europie to, czego życzy sobie Władimir Putin – mówił Michał Kamiński w rozmowie z „Rzeczpospolitą”. W tej narracji „agentami” Moskwy zostali de facto wszyscy przedstawiciele europejskiej prawicy nieliberalnej.

Wzrost paranoi w ostatnich tygodniach jest spowodowany tzw. efektem flagi, czyli zwiększonym zaufaniem obywateli dla obozu rządzącego w czasie kryzysu. Jakkolwiek ten efekt jest raczej krótkotrwały, to rosnące poparcie dla PiS wyraźnie wywołało panikę po lewej stronie sceny politycznej. I tak np. Jan Hartman załamywał ręce nad sondażami, przekonując, że PiS jest „polską odnogą międzynarodowego putinizmu”, a „depisizacja”, która czeka nasz kraj po wygranych przez opozycję wyborach, będzie de facto oznaczać jego „deputinizację”. Marek Beylin na łamach „Gazety Wyborczej” dowodził, że „PiS chce walczyć z Putinem, ale ocalić własny putinizm”, a z kolei publicysta „Krytyki Politycznej” Cezary Michalski ostrzegał, że jeśli PiS zachowa władzę, to „realny orbánizm-putinizm PiS pozostanie bezkarny”. Jan Piński, który od lat poświęca się antykapucystowskiej krucjacie, w serii filmów publikowanych na YouTube przekonywał, że Jarosław Kaczyński po prostu wzoruje się na prezydencie Rosji, a „kacyzm jest odmianą putinizmu”. Znamienny był tutaj jeden z niedawnych odcinków programu „Łoża prasowa” telewizji TVN24, w którym Dominika Wielowieyska („Gazeta Wyborcza”) przekonywała, że premier

Napędzani paniką i wizją kolejnego zwycięstwa Zjednoczonej Prawicy przedstawiciele anty-PiS uznali, że społeczeństwo trzeba przekonać, że Kaczyński jest drugim Putinem

Morawiecki spotykający się z Marine Le Pen dopuszcza się zdrady ojczyzny, Bogusław Chrabota (naczelný „Rzeczpospolitej”) rysował paralele między rządami Putina i Kaczyńskiego, a Tomasz Lis opowiadał o „putiniadzie” autorstwa PiS. Gdy czwarty z gości, Agaton Koziński (Wszystko Co Najważniejsze), ośmielił się zauważyć, że powielanie narracji Kremla jest co najmniej nierozsądne, a porównywanie rządów polskich z rządami Władimira Putina po prostu skandaliczne, spotkał się ze zdecydowanym atakiem ze strony pozostałych dyskutantów oraz prowadzącej Małgorzaty Łaszcz.

Cytaty dotyczące rzeczonego „kierunku na Wschód” można mnożyć w nieskończoność, jednak najpełniej zmartwienie liberałów i lewicy wyraziła bodaj Renata Grochał, która stwierdziła, że wojna nie powinna spowodować zbiorowej amnezji w sprawie rzekomych zbrodni Kaczyńskiego. „PiS, korzystając z wojny na Ukrainie, instaluje putinizm w Polsce. Opozycja i część mediów znowu dała się zaszantażować potrzebą »jedności«. [...] Nie będzie jedności bez praworządności” – stwierdziła publicystka „Newsweeka” i ciężko w tej wypowiedzi było nie słyszeć echa słów Borysa Budki, który z mównicy sejmowej perorował, że, owszem, wojna rzecz straszna, ale najpierw PiS musi się podporządkować UE i załatwić sprawę sądownictwa.

Napędzani paniką i wizją kolejnego zwycięstwa Zjednoczonej Prawicy przedstawiciele anty-PiS uznali, że społeczeństwo trzeba przekonać, że Kaczyński jest drugim Putinem, a prawdziwe pokonanie rosyjskiego przywódcy musi wiązać się z pokonaniem PiS. W końcu radykałom uległ również sam Donald Tusk, który przez pierwsze tygodnie wojny nie dawał się wciągać w polsko-polską wojenkę, zdając sobie sprawę, że może na niej jedynie stracić. „Jeśli atakujesz praworządność,

wolność mediów i prawa człowieka w swoim kraju, to jesteś Putinem” – grzmiał lider PO w mediach społecznościowych. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się jednak, że ogon zaczął machać psem i to politycy PO powtarzają hasła antypisowskich celebrytów. Cóż, nie bez kozery to wodzirej nadaje ton każdej zabawie. Biesiadnicy jedynie podążają za jego wskazaniem.

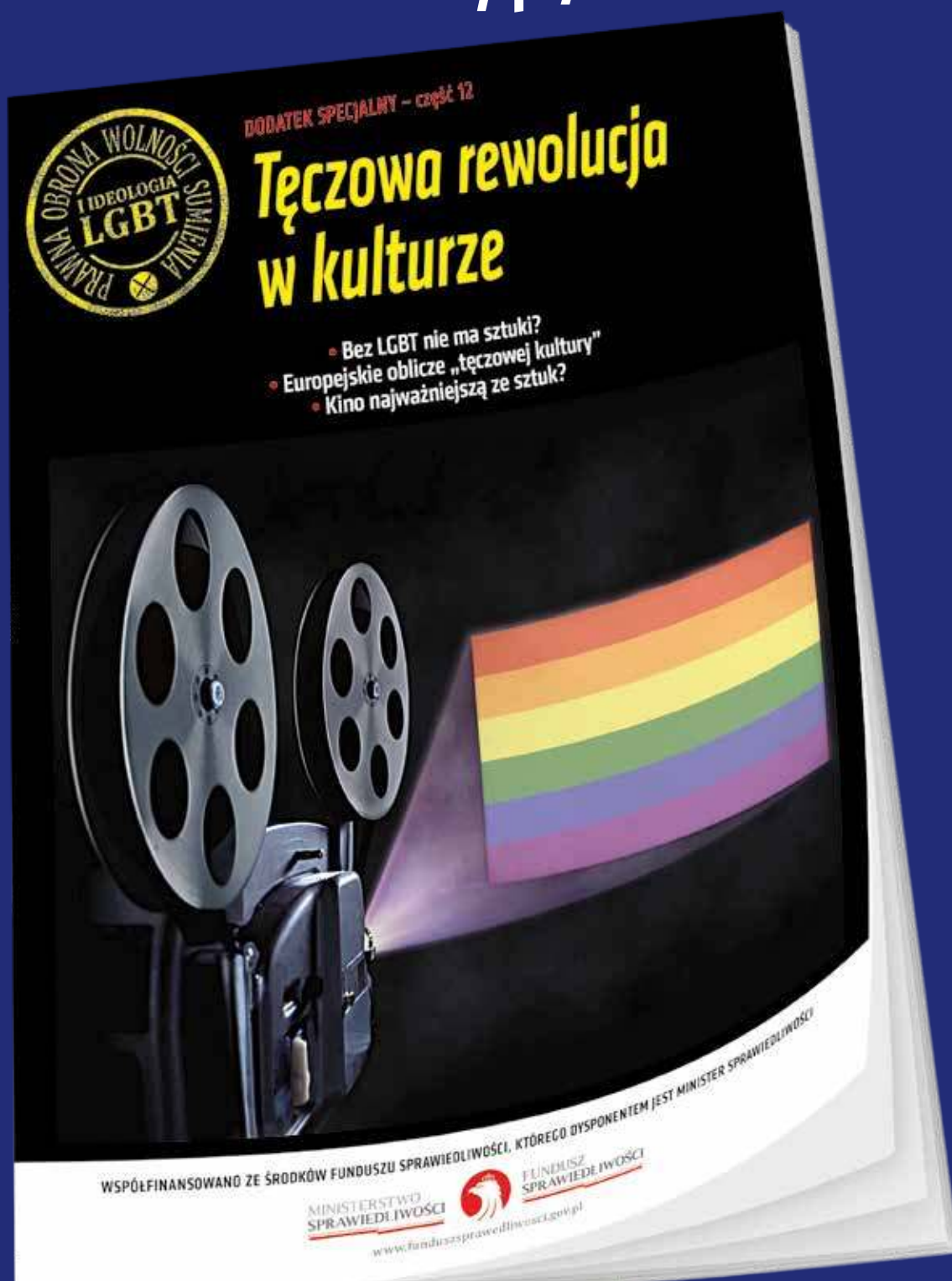
OWOCE SZALEŃSTWA

Z jednej strony mamy obraz prawdziwej, brutalnej wojny, której Europa nie widziała od lat; z drugiej zapewnienia rodzimych demoliberałów, że Kaczyński wprowadza nad Wisłą własną odmianę putinizmu, obmyśla rozbiór Ukrainy oraz planuje, jak „rozprawić się z opozycją”. Tego nieprzylegania wizji anty-PiS do rzeczywistości nie sposób skomentować inaczej niż słynnym passusem z „Idioty” – jak Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu najpierw rozum odbiera.

Ale i zanik rozumu po stronie opozycji dokonał się już dawno temu. Wszak pod koniec zeszłego roku Donald Tusk wprost zarzucał Kaczyńskiemu ciągoty do totalitaryzmu. – Obóz władzy właściwie już nie ukrywa swojej fascynacji najbardziej radykalnymi, czarnymi i brunatnymi kartami historii Europy. To, co do niedawna mogło się wydawać przesadą, te konotacje z faszyzmem, te głosy ostrzeżenia okazały się uzasadnione – mówił lider PO podczas konferencji prasowej.

Ledwie kilka tygodni temu („Do Rzeczy” nr 8/2022) opisywałem narrację zwolenników opozycji, zgodnie z którą politycy PiS dosłownie mordują Polaków, aby tylko utrzymać się u władzy. „[Kaczyński – przyp. J.F.] Zabija, bo chce. Morduje dla posad, dla kasy, by paść swe narcystyczne ego” – pisał Jacek Żakowski na łamach „Gazety Wyborczej”. Obecne wymysły Giertycha dotyczące wprowadzania putinizmu i planów zajęcia Ukrainy, jakkolwiek kuriozalne, naprawdę trudno postrzegać w kategoriach nowości – to jedynie logiczna konsekwencja, owoc dotychczasowej paranoi. Tymczasem sam mecenas albo już zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością i wierzy w opowiadane przez siebie brednie, albo – co gorsza – cynicznie rozgrywa ten teatrzyk, aby tylko usytuować się na pierwszej linii frontu i – licząc, że Tusk po powrocie do władzy odwdzięczy mu się za to – dalej grać rolę wodzireja radykałów.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 4397f64803



Z dr. Marcinem Romanowskim, wiceministrem sprawiedliwości rozmawia Karol Gac

KAROL GAC: Prezydent Francji Emmanuel Macron odmówił nazwania „ludobójstwem” działań rosyjskich wojsk na Ukrainie, ponieważ ma ono „znaczenie, które muszą określić prawnicy, a nie politycy”. Pytam więc pana jako prawnika i polityka: Czy mamy do czynienia z ludobójstwem na Ukrainie?

DR MARCIN ROMANOWSKI: W trakcie kształtowania się podstaw prawnych do procesów norymberskich również był opór przed włączaniem pojęcia ludobójstwa. Ze względu na jego nowatorski charakter: odnosi się ono do zbrodni w stosunku do zbiorowości, a nie jednostki. W obecnych czasach jego kwestionowanie jest jednak niedopuszczalne. Sądzę, że wypowiedź Macrona to efekt jego wielogodzinnych rozmów z Władimirem Putinem. Mogę to porównać do „Władcy Pierścieni” i Sarumana, którego umysł został zatruty przez kontakt ze złem. Uwagi Macrona traktuję nie jako prawne, lecz jako polityczne w najgorszym sensie tego słowa.

Oczywiście najpierw trzeba zebrać dowody, ale sądzę, że to, co widzimy, pokazuje zakres i wielkość tych zbrodni. Różnicę między zbrodnią przeciwko ludzkości a ludobójstwem stanowi przede wszystkim intencja eksterminacji grupy. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że intencją Rosjan jest eksterminacja narodu ukraińskiego jako takiego i podporządkowanie sobie Ukrainy. Tak samo, jak to wielokrotnie miało miejsce w historii Rosji wobec jej sąsiadów.

Polakom nie trzeba tego mówić. Obrazy z Buczcy przywoływały na myśl te z Katynia. Działania rosyjskiej armii nie różnią się za bardzo od tych, których dokonywała Armia Czerwona podczas drugiej wojny światowej.

Dokładnie. Historia się nie zmieniła, Rosja i Rosjanie również nie. To państwo rozbójnicze i barbarzyński naród, który dąży do podporządkowania sobie innych poprzez eksterminację. Pokazała to już historia XX w. Tymczasem po roku 2014 i aneksji Krymu Niemcy i Francja robiły interesy z Władimirem Putinem. Teraz też nie chcą dostrzec tych zbrodni, których dokonują Rosjanie. Analogiczne



Mamy rzadką okazję, by nie być mądrym po szkodzie

zbrodnie, które miały miejsce w XX w., widzimy teraz na Ukrainie.

Na polecenie prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry prokuratura zbiera materiały i świadectwa dokumentujące zbrodnie popełniane na Ukrainie. Jakże zadania stoją tu przed prokuraturą? Jaki jest obecny stan faktyczny?

Polska była jednym z pierwszych krajów, które wszczęły śledztwo. Czynności wykonują funkcjonariusze ABW i policji, a jednym z ich głównych zadań jest przesłuchanie świadków. Do tej pory zebrano ok. 1,3 tys. zeznań. W przypadku zbrodni wojennych ważna jest szybka reakcja, bo często dowody są niszczone. Drugim aspektem działań prokuratury jest współpraca z prokuraturą ukraińską i innych państw. Staramy się być aktywni w wymiarze międzynarodowym, by pomagać śledztwom, które prowadzi ukraińska prokuratura.

Wrz z upływem czasu Rosjanie sięgają po coraz brutalniejsze metody. Wierzy pan, że wszyscy winni, z Władimirem Putinem na czele, zostaną kiedyś osądzeni?

Od strony materiału dowodowego i wykazania sprawstwa, dzięki m.in.

pracy polskiej prokuratury, możliwość oskarżenia Rosjan jest praktycznie pewna. Największym problemem będzie oczywiście schwytanie sprawców. Bez zmiany reżimu w Rosji jest to właściwie niemożliwe. Zasadnicze są więc zwycięstwo w wojnie oraz dogłębna zmiana w rosyjskich ośrodkach władzy. To jedyna możliwość, by tych zbrodniarzy pociągnąć do odpowiedzialności.

Tylko czy inna Rosja jest w ogóle możliwa? Może Władimir Putin jest po prostu emanacją systemu i odbiciem słynnej rosyjskiej duszy?

Rosjanie to inna cywilizacja. Mówią językiem Feliksa Konecznego, to cywilizacja turańska. Jeśli ktoś czytał „Władcę Pierścieni”, to dokonywane przez Ukraińców zrównywanie Rosjan z orkami jest tu adekwatne. Oczywiście jest to pewna generalizacja, ale cała tożsamość rosyjskiego narodu, przeorana przez różnych satrapów, każe wskazywać, że państwo, które jest emanacją struktury społecznej, jest zbrojeckie. Nie wydaje mi się, aby to mogło się zmienić. Nie jestem naiwny i nie sądzę, że pozbawienie Putina władzy zmieni cokolwiek w szer-



Polska była jednym z pierwszych krajów, które wszczęły śledztwo w sprawie zbrodni popełnianych na Ukrainie

szej perspektywie dotyczącej sposobu działania Rosji.

Praktycznie każdego dnia słyszymy o kolejnych zbrodniach. Tymczasem prezydent Macron regularnie dzwonił do Putina, a kanclerz Niemiec opóźniał unijne sankcje i konkretną pomoc dla Ukrainy. Jak to oceniać, biorąc pod uwagę, że mówimy o przywódcach dwóch największych państw Unii Europejskiej?

Państw, które po wypchnięciu Wielkiej Brytanii z UE mogą decydować w Unii praktycznie o wszystkim. Sytuacja skrajna, a taką jest przecież wojna, pokazuje z większą ostrością, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem i jakie są realne interesy. Rosyjska agresja na Ukrainę obnażyła brak spójności interesów

między państwami Europy Środkowej a Niemcami i Francją. To pokazuje, jakim błędem jest opieranie się na Niemczech i jak głęboko sprzeczna z polskimi interesami była i jest polityka prowadzona przez Platformę Obywatelską. Albo Polska będzie sferą wpływów niemiecko-rosyjskich, albo będzie prowadziła niezależną politykę, co jest możliwe tylko w szerszym bloku.

Rosja zniszczyła dotychczasową architekturę bezpieczeństwa. Coraz częściej słychać głosy, że Polska weszła do wyższej ligi państw NATO i UE. Może wojna na Ukrainie otworzyła pewne „okna” dla Polski i stworzyła nam unikalną szansę?

Absolutnie tak. Przez ostatnie lata jesteśmy naprawdę w dobrej sytuacji geopolitycznej. To brutalne, ale błogosławieństwem dla Polski jest to, że działania wojenne toczą się z dala od naszych granic. To zasługa Ukrainy, która ma wsparcie Zachodu, a bez tego mielibyśmy rosyjską armię u granic i być może wojnę na naszym terytorium za kilka lat. Dostaliśmy czas, aby wykorzystać tę szansę. Mamy rzadką okazję, by nie być mądrym po szkodziu, ale zareagować wcześniej. Dlatego tak ważne jest, by budować silne instytucje państwowe. Sojusze są ważne, najważniejszy jest jednak własny potencjał. Najważniejszym zadaniem jest więc budowa silnej armii, zasadnicze wzmocnienie potencjału mobilizacyjnego Polski oraz naprawa państwa, niezależnie od głosów V kolumny.

Ta modernizacja miała się dokonać m.in. za sprawą unijnych pieniędzy. Mijają dwa miesiące od rosyjskiej inwazji. Do naszego kraju trafiły już blisko 3 mln uchodźców, a pieniądze unijnych jak nie było, tak nie ma.

Kiedy był kryzys migracyjny w 2015 r., to pieniądze dla Turcji znalazły się natychmiast, i to kilkakrotnie większe niż te, które są obiecywane Polsce. Nasz kraj prowadzi największą operację humanitarną od czasów drugiej wojny światowej, a zamiast wsparcia otrzymuje ponaglenia, by zapłacić bezprawnie narzucone kary. Nie otrzymujemy też pieniędzy, które są nam bezpodstawnie blokowane. To pokazuje zarówno głęboką sprzeczność interesów między Polską i Niemcami, jak i to, że Berlin potrafi brutalnie grać, gdy idzie o realizację niemieckich celów. Niemiecka polityka wschodnia zbankrutowała 24 lutego. Doprowadziła do tego również nasza stanowczość. Gdyby nie to, to obserwowal-

Kiedy był kryzys migracyjny w 2015 r., pieniądze dla Turcji znalazły się natychmiast, i to kilkakrotnie większe niż te, które UE obiecuje Polsce

libyśmy zasadę „business as usual”. Tak samo powinniśmy wykazać się stanowczością w sprawie ingerowania w naszą suwerenność, jeśli chodzi o ingerencję we władzę sądowniczą.

Inicjatywa ustawodawcza prezydenta Andrzeja Dudy w sprawie SN rozwiąże problem?

Zgadzamy się, by powiedzieć „sprawdzam” Brukseli. Nie upieramy się, że musi istnieć autonomiczna Izba Dyscyplinarna, która powstała w zupełnie innej sytuacji. Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że kwestia Izby Dyscyplinarnej to tylko pretekst, by wejść z butami w polskie sprawy. Projekt prezydenta niczego nie naprawia, wprowadza tylko większy chaos. Zresztą doradcy prezydenta jakoś upodobał sobie anarchizację polskiego sądownictwa. Mam nadzieję, że przyjdzie jakaś refleksja w tym zakresie. I jestem przekonany, że dojdzie do porozumienia w ramach koalicji. Chodzi przecież o naszą suwerenność.

Jak zatem rozmawiać z Brukselą? Tych „sprawdzam” było już przecież kilka i nie przyniosły one oczekiwanych rezultatów.

Powiem o pewnym doświadczeniu z Rady Unii ds. Wymiaru Sprawiedliwości. Za każdym razem, gdy pojawiały się jakieś absurdalne pomysły z wprowadzaniem do naszego systemu ideologii gender, po prostu to wetowaliśmy. Wiemy, że w pewnych sprawach trzeba postępować twardo. Sądzę, że zostało to zrozumiane przez drugą stronę. Unia Europejska to przestrzeń transakcyjna, w której dużo da się osiągnąć, prowadząc twarde negocjacje. Ciągłe słyszymy o rozmowach, ale one do niczego nie prowadzą. Nie ma o czym rozmawiać, bo wszelkie obietnice są łamane. Stanowczość, stanowczość i jeszcze raz stanowczość. Tylko w ten sposób uzyskamy realizację znacznej części naszych polskich interesów. Tak jak prezydent i rząd byli twardzi w sprawie sankcji i pomocy Ukrainie w pierwszych dniach wojny, gdy postawiliśmy pod ścianą Niemców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Trafić w swój czas

FOT. RUSSIAN FOREIGN MINISTRY / TASS / FORUM



Kamila Baranowska

Zbigniew Rau z mało rozpoznawalnego polityka trzeciego szeregu za sprawą wojny na Ukrainie stał się istotnym elementem polskiej polityki zagranicznej

Siedem dni przed atakiem Rosji na Ukrainę – 15 lutego – minister spraw zagranicznych Polski Zbigniew Rau udał się z oficjalną wizytą do Moskwy. Pojechał w podwójnej roli, nie tylko jako szef polskiej dyplomacji, lecz także OBWE, w której Polska objęła przywództwo z początkiem roku. Była to pierwsza wizyta polskiego ministra spraw zagranicznych w stolicy Rosji od blisko 10 lat.

To nie była łatwa ani przyjemna wizyta. „Zbigniew Rau dał radę w Moskwie” – podsumowała ją jednak „Rzeczpospolita”. Rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow kilkakrotnie próbował prowokować swojego gościa, jednak ten się sprowokować nie dał. „Sam polski minister zrobił dobre wrażenie w Moskwie. Tam lubią i szanują takich solidnych, panujących nad emocjami niemłodych urzędników” – pisała o tej wizycie „Gazeta Wyborcza”.

NAUKOWIEC Z SYMPATIA DLA PiS

„Solidny i panujący nad emocjami” – to dość trafna charakterystyka ministra Raua. Ci, którzy go znają i lubią, dodają, że nie rzuca słów na wiatr. Ci, którzy lubią go mniej, wytykają, że jest bezbarwny i pozbawiony politycznej charyzmy. Pytanie, czy w dyplomacji to rzeczywiście wada czy raczej zaleta.

Zbigniew Rau polityczne doświadczenie ma niewielkie. Dyplomatyczne, zanim został ministrem, miał jeszcze mniejsze. Jego atutami były znajomość

języków i dorobek naukowy. Rau to profesor nauk prawnych, specjalizuje się w doktrynach politycznych. Zanim wszedł w politykę, kierował Katedrą Doktryn Politycznych na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. W przeszłości należał do Solidarności, wykładał na wielu zagranicznych uczelniach wyższych, m.in. w Niemczech, Holandii, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Australii.

To jeden z tych naukowców, którzy nie kryli swoich sympatii do PiS, choć do czynnej polityki włączył się dość późno. W 2005 r. jego nazwisko pojawiło się na liście Komitetu Honorowego Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich. W tym samym roku po raz pierwszy kandydował do Senatu. Uzyskał mandat i przez dwa lata był senatorem. Po skróceniu kadencji parlamentu w 2007 r. w kolejnych wyborach już nie kandydował. Na chwilę zaangażował się w budowę ruchu Polska XXI, współtworzonego przez jego dobrego kolegę z Uniwersytetu Łódzkiego Kazimierza M.

Ujazdowskiego, ale ostatecznie porzucił politykę na lata. Powrócił do niej dopiero w 2015 r., gdy dość nieoczekiwanie został wojewodą łódzkim z nadania PiS. Jak do tego doszło?

SPÓR ZE ZDANOWSKĄ

– Wiadomo, że prezes Kaczyński bardzo ceni sobie ludzi nauki, lubi się nimi otaczać i mieć ich w swojej orbicie. I choć prof. Rau pozostawał luźno z PiS związany, to jednak był osobą, która gdzieś tam czekała na swój czas – opowiada nam polityk PiS.

„Dziennik Łódzki” opisywał swego czasu, że wpływ na nominację prof. Raua na ważną z punktu widzenia rządu funkcję wojewody miała Janina Goss. To w obozie PiS ważna postać, przyjaciółka Jarosława Kaczyńskiego jeszcze z czasów dzieciństwa, z której rad korzysta i z której zdaniem się liczy. Goss od lat jest związana z Łodzią i trzyma rękę na wszystkim, co się w łódzkim PiS dzieje. „Dlatego akurat w Łodzi potrzebny był wojewoda spoza partii, taki, który zyskując władzę administracyjną i naturalne polityczne wpływy, nie przerośnie Janiny Goss w PiS ani jej nie zaszkodzi. I dlatego uznano, że najlepszym, na dodatek dość uległym wobec Goss wojewodą będzie właśnie Rau” – donosił „Dziennik Łódzki”.

– Jako wojewoda był mało aktywny, raczej wycofany i prowadził dość pasywną politykę. Dlatego wielkim zaskoczeniem było, gdy nagle ogłosił na specjalnej konferencji, że jeśli prezydent Łodzi Hanna Zdanowska będzie kandydować w wyborach na kolejną kadencję i wygra, to on i tak wygasi jej mandat. Widać było, że spłaca swój dług PiS, bo to było kompletnie nie w jego stylu – opowiada nam jeden z łódzkich polityków.

Chodzi o historię z 2018 r., gdy lokalne media obiegała informacja, jakoby wojewoda łódzki Zbigniew Rau miał na specjalnie zwołanej konferencji prasowej wygasić mandat urzędującej prezydent miasta Hanny Zdanowskiej. Powód? Chwilę wcześniej sąd uznał Zdanowską za winną poświadczenia nieprawdy w dokumentach przedstawianych bankowi w celu uzyskania kredytu przez jej partnera życiowego. Skazano ją na 20 tys. zł grzywny, wyrok był prawomocny. Dziennikarze spekulowali, że pomysł wygaszenia mandatu przyszedł z Warszawy, a wojewoda jest tylko jego wykonawcą.

Ostatecznie na zwołanej konferencji wojewoda Rau stwierdził, że w jego ocenie

Gdy w 2019 r. zdobył mandat posła, stanął na czele Komisji Spraw Zagranicznych, co było preludem do objęcia fotela ministra spraw zagranicznych

Zdanowska nie powinna być prezydentem miasta, ale dodał, że mandatu wygaszał nie będzie, ponieważ jej kadencja i tak zbliża się do końca i procedura nie mogłaby być skutecznie przeprowadzona. – Gdyby nie fakt, że kadencja pani Hanny Zdanowskiej dobiega końca, wszcząłbym postępowanie zmierzające do wygaszenia jej mandatu. Ze względu na koniec kadencji zaniechałem takiego kroku – wyjaśnił. I podkreślił, że jej ewentualna wygrana w wyborach zrodzi wiele problemów prawnych, dlatego jego zdaniem powinna zrezygnować ze startu. Tak się nie stało. Hanna Zdanowska wystartowała i wybory wygrała, rządzi Łodzią do dzisiaj.

Dla Zbigniewa Raua tamta konferencja była jak chrzest polityczny. Musiał zająć stanowisko i publicznie stanąć w szranki z prezydent miasta, narażając się przy okazji akademickiemu środowisku, które niezbyt przychylnie spoglądało na nowe wcielenie swojego kolegi. Zwłaszcza wtedy, gdy Rau jako wojewoda uchylił uchwałę radnych miejskich, którzy – w czasie, gdy PiS przeprowadzał swoje zmiany w Trybunale Konstytucyjnym – zapowiedzieli, że będą się stosować do orzeczeń TK nawet wtedy, gdy rząd Beaty Szydło ich nie opublikuje. Rau uchylił tę uchwałę, a po kilku miesiącach sąd administracyjny przyznał mu rację w tej sprawie.

TRAMPOLINA

Krok po kroku swoimi politycznymi decyzjami Zbigniew Rau zdobywał coraz większe uznanie w warszawskiej centrali. Także swoją walką o zmianę nazwy placu Zwycięstwa na plac Lecha Kaczyńskiego, co ostatecznie się nie udało, ale też zostało odnotowane przy Nowogrodzkiej. W Łodzi do dziś żywa jest plotka, że Zbigniew Rau zgodził się zostać wojewodą, choć niespecjalnie do tej funkcji od początku pasował, bo miała to być trampolina do ważniejszych stanowisk politycznych, w które od początku celował.

W 2019 r. wystartował w wyborach do Sejmu z łódzkiej listy PiS, uzyskując

mandat posła. W Sejmie stanął na czele Komisji Spraw Zagranicznych, co było preludem do objęcia fotela ministra spraw zagranicznych, którym został rok później, zastępując na tym stanowisku Jacka Czaputowicza.

– Profesor Rau jest świetnie wykształcony. To prawnik i erudyta. Posiada ogromne doświadczenie polityczne. Sprawował funkcje polityczne, więc polityka nie jest dla niego pierwszą. Nowy szef MSZ ma spore doświadczenie międzynarodowe, mieszkając za granicą. Kontakty z dyplomacją parlamentarną pomogą mu odnaleźć się w nowej funkcji. Profesor Rau był naturalnym wyborem na stanowisko szefa MSZ. Jest przecież szefem Komisji Spraw Zagranicznych – zachwalał prof. Raua w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl Witold Waszczykowski, poprzedni minister spraw zagranicznych w rządzie PiS i poseł z Łodzi.

Krytycy obecnego szefa dyplomacji zarzucają mu, że „jest, a jakby go nie było”.

– Podczas pandemii minister zdrowia miał konferencje codziennie i codziennie informował o tym, co się dzieje. Mamy wojnę na Ukrainie, a minister spraw zagranicznych pokazuje się raz na dwa tygodnie – narzeka polityk opozycji.

To nie do końca prawda, bo akurat ostatnio ministrowi Rauowi trudno odmówić wzmożonej aktywności. Choć prawdą jest, że gdy zostawał ministrem, to Mateusz Morawiecki miał własną wizję funkcjonowania MSZ. Sprowadzała się ona do tego, by resort nie przeszkadzał kancelarii premiera w prowadzeniu polityki zagranicznej. To kancelaria premiera miała odpowiadać za relacje z UE i wszelkie negocjacje prowadzone w sprawie funduszy unijnych czy sporów z Brukselą o praworządność i sądowictwo. Relacje z USA to z kolei domena prezydenta Andrzeja Dudy. Ministerstwu Spraw Zagranicznych nie zostawiono w tej układance zbyt wielkiego pola manewru. Wojna na Ukrainie zmieniła ten stan rzeczy i MSZ wkroczyło do gry, stając się ważnym elementem dyplomatycznej ofensywy i dopełniając działania rządu i prezydenta. Efektem ubocznym tej zmiany jest m.in. to, że nazwisko ministra Raua zaczęło pojawiać się w sondażach zaufania do polityków. Ministrowi ufa dziś 22 proc. badanych. Jak na polityka, którego do niedawna mało kto w ogóle kojarzył, to naprawdę niezły wynik.

Uchodźcy z Ukrainy w kolejce do punktu na Stadionie Narodowym w Warszawie, w którym mogli otrzymać numer PESEL

FOT. PIOTR MOŁĘK/EAST NEWS

Jakoś to będzie?

Dwa miesiące od rozpoczęcia wojny na Ukrainie, gdy mamy do czynienia z największą od drugiej wojny światowej falą uchodźców w Europie, Polska nadal – przynajmniej oficjalnie – wydaje się w tej sprawie działać bez szczegółowego planu, wyliczeń, rozpoznania sytuacji.

Problemem jest nawet stwierdzenie, ilu ukraińskich uchodźców w Polsce w tej chwili przebywa. Straż Graniczna podaje liczbę osób wjeżdżających do Polski z Ukrainy po rozpoczęciu wojny – to już blisko 3 mln – oraz wracających na Ukrainę – takich było ponad 750 tys. Tylko że to nie daje wiedzy, ilu uchodźców netto przebywa w Polsce. Część bowiem pojechała dalej do Europy Zachodniej – np. w Niemczech odnotowano ponad 350 tys. ukraińskich uchodźców, a przecież były i inne kierunki: Francja, Skandynawia, Hiszpania. Z kolei wśród osób powracających na Ukrainę było wiele mieszkających w Polsce wcześniej. Wiadomo, że wraca także część uchodźców, jeśli w ich rejonie jest względnie spokojnie. Nie ma jednak oficjalnych szacunków liczby tych, którzy w Polsce na razie pozostają. Eksperti mówią o 1,3–1,5 mln ludzi.

Wiadomo, że numer PESEL dostało ok. 850 tys. Ukraińców, z czego niemal po połowie kobiety i dzieci, a także niewielka liczba osób starszych powyżej 65. roku życia. Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej podaje również, że pracę, przynajmniej oficjalnie, podjęło niespełna 70 tys. uchodźców. Czy to dużo czy mało? Jak na przyjęte w Polsce regulacje, bardzo upraszczające zatrudnianie uchodźców, oraz szacunkową liczbę ok. 400 tys. zdolnych do pracy kobiet z numerem PESEL, te dane są rozczarowujące. Niestety, brak wiedzy, z czego ta sytuacja wynika. Czy to kwestia braku miejsc pracy, odpowiadających kwalifika-



Łukasz Warzecha

Wzięliśmy na siebie ogromne obciążenia, w których udźwignięciu nikt nam nie pomaga. Co gorsza, nawet sami nie oszacowaliśmy, ile wydamy na pomoc uchodźcom z Ukrainy

cjom uchodźców? Czy może ich nieznamość języka polskiego? A może niechęć do podejmowania zajęcia lub podejmowanie go na czarno? Nikt tego nie bada.

CZEGO ONI CHCĄ?

Inna sprawa, że próżno szukać informacji o intencjach i planach uchodźców. Oczywiście jest, że są one uzależnione od sytuacji na Ukrainie i rozwoju wypadków. Jednak przybywającym do Polski można było takie pytanie zadawać w chwili, gdy przekraczali granicę, choćby odpowiedzi były warunkowe. Eksperti od migracji zwracali od tygodni uwagę na potrzebę stworzenia takich ankiet – bez skutku. Wobec tego nie wiemy, jak wiele osób planuje ewentualnie dłuższy pobyt w Polsce. Już samo to utrudnia poważnie planowanie, w tym finansowe.

Policzenie szukających w Polsce schronienia jest kłopotliwe również dlatego, że polskie państwo od samego początku postanowiło, iż w udzielaniu gościnę wyręczą je obywatele w spontanicznym odruchu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powinien sądzić, że będzie to mogło działać bez końca. Gdy kilka tygodni temu rozmawiałem z jednym z najbardziej dziś rozchwytywanych specjalistów od migracji, prof. Maciejem Duszczykiem z Uniwersytetu Warszawskiego, wskazywał on, że gdy zaczną się wyczerpywać ludzka cierpliwość i entuzjazm – co jest całkowicie naturalne – powinien istnieć mechanizm,

pozwalający goszczącemu uchodźców Polakowi zadzwonić pod jeden centralny numer, przedstawić sytuację i uzyskać rozwiązanie. Uchodźcami powinno się już wówczas zająć państwo, zdejmując ciężar z barków obywatela. Taki mechanizm jednak nie istnieje i nikt nawet nad nim nie pracuje.

UKRYWANE KŁOPOTY

Istnieje za to swoista cenzura medialna, która sprawia, że informacje o problemach, z którymi zaczyna się borykać oddolna akcja pomocy, są spychane na margines. Trudno je znaleźć w głównych wiadomościach czy na pierwszych stronach gazet, trzeba bardziej poszukać. Już na początku kwietnia zaczęły się narzekania, że wolontariuszy brakuje, i to nawet w Przemysłu, który stał się pierwszym centrum rozdzielania pomocy i samych uchodźców, jadących stamtąd w inne rejony kraju.

15 kwietnia w Radiu RMF pojawiła się Adriana Porowska, dyrektorka Kamilińskiej Misji Pomocy Społecznej. „Najbardziej martwi mnie to, że punkty recepcyjne są cały czas pełne. Jeśli słyszę, że na halach recepcyjnych jest 5 tys. osób, to myślę, że będzie coraz trudniej znaleźć dla nich jakieś miejsce, dom. Będzie bardzo trudno znaleźć dla nich pracę. W Polsce w tej chwili jest bardzo, bardzo drogo. Ci ludzie, żeby mogli utrzymać się w Polsce, wynająć

mieszkanie, muszą znaleźć dobrą pracę” – tłumaczyła. Narzekala też, że kiedyś na potrzeby pomocy uchodźcom szkoliła 200–300 osób dziennie, a teraz chętnych jest 10 razy mniej. To nie jest ani trochę zaskakujące, ale wygląda na to, że polskie państwo nie jest na to w żadnym stopniu przygotowane. Nie istnieje po prostu państwowy mechanizm, który mógłby przejąć obciążenie od wolontariuszy i organizacji pozarządowych, a ciężar zakwaterowania od osób prywatnych.

Porowska wskazała zresztą na rzadko uwzględniany aspekt: ceny w Polsce są dla przeciętnych Ukraińców w tej chwili bardzo wysokie, więc tym mniej prawdopodobne jest, że znaczna część uchodźców przejdzie na samodzielne utrzymanie i wynajmie mieszkania. Szczególnie że napływ uchodźców podbił jeszcze bardziej i tak szybujące ostatnio ceny najmu.

ILE WYDAMY?

Największy problem jest jednak z przeliczeniem, ile potrzebujemy pieniędzy. Pojawiające się liczby – i to te oficjalne – są mocno rozbieżne i wydaje się, że każdy może liczyć wyłącznie na siebie. Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej oceniło całkowite koszty przyjęcia w Polsce uchodźców do końca tego roku na 24 mld zł. Tak przynajmniej miał powiedzieć ok. dwóch tygodni temu minister Grzegorz Puda podczas spotkania z Nicolasem Schmitem, komisarzem ds. zatrudnienia, spraw społecznych i równowagi szans. Tę informację resort opublikował najpierw na Twitterze, ale po paru godzinach tweet skasowano. Inną kwotę – 21 mld, ale euro, czyli ok. 97 mld zł – rzucił na Twitterze europoseł PiS Jacek Saryusz-Wolski w kontekście pretensji do Brukseli wobec braku wsparcia dla Polski. Skąd wziął tę sumę – nie wyjaśnił. Z kolei dziennik „Rzeczpospolita”, opierając się na niemieckich wyliczeniach dotyczących poprzedniego kryzysu migracyjnego, oszacował koszt dla Polski na 13 mld zł rocznie, czyli ponad 60 mld zł. Nie jest jednak jasne, czy wzięto w tym rachunku pod uwagę szerokie uprawnienia socjalne, przyznane uchodźcom, koszt dla systemu edukacji oraz opieki zdrowotnej.

W tej ostatniej kwestii minister Adam Niedzielski wspomniał o kwocie 300 mln zł na każdy milion uchodźców na miesiąc, co dawałoby do końca roku 3 mld zł na milion ludzi. Nie wiadomo jednak, czy Ministerstwo Zdrowia wzięło pod

uwagę choćby to, że opieka zdrowotna na Ukrainie jest w znacznie gorszym stanie niż w Polsce, a to oznacza, że na każdego ukraińskiego pacjenta trzeba będzie przeznaczyć więcej pieniędzy niż na przeciętnego pacjenta polskiego. Wziąwszy pod uwagę, że Ukraińcom przyznano pełne uprawnienia do korzystania z systemu opieki medycznej w Polsce, wielu z nich może potraktować pobyt w naszym kraju jako okazję do sięgnięcia po terapię na Ukrainie niedostępne.

Nie wiadomo też, jak bardzo zwiększy się obciążenie systemu opieki zdrowotnej – np. jak wzrosną kolejki do specjalistów albo ilu lekarzy dodatkowo potrzebowałibyśmy, żeby sprawnie przyjmować pacjentów z Ukrainy. Pytania w tej sprawie skierowałem do MZ jeszcze w pierwszej połowie marca. Najpierw otrzymałem zdawkową i absurdalną odpowiedź, że obciążenie systemu opieki zdrowotnej nie wzrośnie, ponieważ pieniądze nie będą pochodziły z NFZ, tylko... z budżetu państwa. Na ponownie przesłane pytania ministerstwo nie było w stanie odpowiedzieć przez ponad trzy tygodnie (łamiąc zresztą w ten sposób Ustawę o dostępie do informacji publicznej). Zarazem jednak wiceminister zdrowia Waldemar Kraska przyznał niedawno, że koszt leczenia uchodźców jest tak wysoki, iż spowodował decyzję o wypowiedzeniu umowy na niepotrzebne nam szczepionki firmy Pfizer.

Na razie Polska nie otrzymała ani grosza nowych pieniędzy. Instrument pomocowy, który uruchomiła dotąd UE, a który wynosi raptem ok. 2 mld zł, to pieniądze przesunięte z funduszu na rzecz walki z epidemią. Wzięliśmy zatem na siebie ogromne obciążenia, w których udźwignięciu nikt nam nie pomaga.

Całkowicie chaotyczna jest linia władzy, gdy idzie o zapotrzebowanie na tę pomoc. Już kilka tygodni temu Jarosław Kaczyński buńczucznie oznajmił, że po prośbie chodzić nie będziemy. W ubiegłym tygodniu tę deklarację powtórzył niemal słowo w słowo rzecznik PiS Radosław Fogiel. Niemal w tym samym czasie na forum ONZ polski ambasador przy Narodach Zjednoczonych Krzysztof Szczerski mówił, że Polska sama ciężaru nie udźwignie. Taki ton pobrzmiwa także w wypowiedziach ministrów polskiego rządu. Ostatnio wprost powiedział o tym, szef MSZ Zbigniew Rau po spotkaniu ze swoim holenderskim odpowiednikiem w Utrechcie. Mateusz

Morawiecki z kolei coraz wyraźniej sygnalizuje – m.in. po spotkaniu z Charles'em Michelem, przewodniczącym Rady Europejskiej – że Polska musi otrzymać nowe i specjalnie przeznaczone na pomoc uchodźcom fundusze unijne. Zarazem kompletnie nie jest jasne, na jakim etapie – jeśli w ogóle na jakimś – są polskie rozmowy z Brukselą w tej sprawie, o jakich pieniądzach mówimy, jak miałyby przebiegać poszerzenie budżetu unijnego. Krótko mówiąc – wiadomo tylko tyle, że pieniędzy brakuje, i to sygnalizują już samorządy, obciążone dodatkowymi obowiązkami.

PRZYWILEJE SOCJALNE

W tej sytuacji jest pytanie, na które nikt na razie odpowiedzi nie udzielił: Dlaczego w ogóle Polska w zasadzie bez namysłu i debaty przyznała uchodźcom tak szerokie uprawnienia socjalne, znacznie przekraczające ciążące na nas zobowiązania, a generujące gigantyczne koszty? Obowiązują nas dość ogólna konwencja genewska z 1951 r., dotycząca statusu uchodźców, oraz bardziej szczegółowa unijna dyrektywa o uchodźcach z 2001 r. (2001/55/WE). Ta ostatnia w art. 13 mówi o niezbędnych potrzebach, a nie o zrównaniu uprawnień uchodźców z uprawnieniami obywateli państwa ich przyjmującego. Ba, znajdujemy tam nawet przepis następującej treści: „W przypadku, gdy osoby korzystające z tymczasowej ochrony są pracownikami najemnymi lub prowadzą działalność na własny rachunek, należy wziąć tę okoliczność pod uwagę przy ustalaniu proponowanego poziomu pomocy, z uwzględnieniem ich możliwości zaspokajania własnych potrzeb”. Wynika z tego, że o ile ktoś jest w stanie na siebie zarobić, o tyle pomoc dla niego można znacząco ograniczyć. Polska z tych możliwości nie skorzystała. Czy dlatego, że rząd od początku zaplanował, że skłoni jakąś część uchodźców do pozostania w naszym kraju, i szerokie uprawnienia socjalne mają być do tego zachętą? Być może – ale jeśli taka jest rządowa strategia, to ten plan powinien zostać otwarcie zakomunikowany opinii publicznej, bo byłaby to decyzja o strategicznym charakterze. Zamiast tego wydaje się, że trwa „jakoś obędzizm”, spoza którego przebijają coraz bardziej paniczne apele o fundusze, których nikt na razie nie ma zamiaru nam przekazywać.



Zuzanna Dąbrowska

Solidarna Polska proponuje „deputinizację” organizacji pozarządowych – zwiększenie przejrzystości finansowania NGO. Jak pokazały niemieckie media, zagrożenie jest realne

Polska odchodzi od rosyjskich węglowodorów. Najpóźniej do maja rezygnujemy z węgla, do końca roku – z gazu i ropy. Rząd przekonuje, że w obliczu agresji na Ukrainę to ruch konieczny. Partia Zbigniewa Ziobry chce iść o krok dalej i przywołując niedawną publikację „Die Welt”, domaga się „deputinizacji” trzeciego sektora. „Moskwa wspiera aktywistów w Europie w ich walce z energią ze źródeł kopalnych. Bo nieważne, że w dłuższej perspektywie odejście od paliw kopalnych osłabi kartę przetargową Rosji w geopolityce – ważniejsze, by w krótszej perspektywie lat pozostałych Putinowi u władzy nadal uzależniać Zachód od rosyjskich surowców” – czytamy na łamach niemieckiego dziennika. Wniosek jest jasny: niektóre organizacje klimatyczne stały się narzędziem w rękach Kremla. Z raportu przygotowanego na zlecenie Parlamentu Europejskiego wynika, że w 2016 r. rząd rosyjski przekazał 82 mln euro europejskim stowarzyszeniom ochrony klimatu, których celem jest zapobieganie wydobyciu gazu ziemnego w Europie. Jak największe uzależnienie starego kontynentu od dostaw surowców to ewidentny interes Rosji.

Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś zaznacza, że niektóre NGO są „elementem polityki rosyjskiej i nacisków na opinię publiczną państw Zachodu oraz narzędziem polityki klimatycznej państwa rosyjskiego”. Dlatego Solidarna Polska złożyła w Sejmie projekt ustawy o transparentności finansowania organizacji pozarządowych. Woś podkreśla, że Polska potrzebuje całkowitego uniezależnienia od Moskwy, również w odniesieniu do trzeciego sektora. Trzonem propozycji jest obowiązek publikowania listy darczyńców, którzy przekazali na daną organizację powyżej 10 tys. zł. Ma to dotyczyć podmiotów



Jawnością w Kreml

uzyskujących przychód przekraczający 250 tys. zł. Giganci osiągający przychód powyżej 1 mln zł będą musieli prowadzić ponadto rejestr wpłat i rejestr umów. Co więcej, NGO miałyby zamieszczać informacje o darczyńcach na takich samych zasadach, jak w przypadku projektów finansowanych ze środków UE. Chodzi o odpowiednie oznaczenia materiałów prasowych.

W raporcie przywoływanym przez „Die Welt” czytamy, że „istnieje »oczywisty rozdźwięk« między deklarowaną przez

organizacje pozarządowe przejrzystością ich działań a rzeczywistą praktyką. Między innymi regułą jest, że unika się wpisów do uniijnego rejestru służącego transparentności, w związku z czym często nie wiadomo, jakie interesy naprawdę reprezentują darczyńcy stowarzyszeń”.

– Organizacje pozarządowe mają bardzo ważne miejsce w systemie społecznym, dlatego Polacy mają prawo wiedzieć, czy jakaś „oddolna inicjatywa” rzeczywiście jest efektem skrzyknięcia się grupy osób czy jednak stoi za nią

jedna czy druga korporacja, która w ten sposób realizuje swój interes czy obcego państwa. A tak było w przypadku Rosji. Już 10 lat temu jednym ze sponsorów funduszu założycielskiego ekofundacji wspierającej Nord Stream był Gazprom. NGO-sy bywają wykorzystywane do złych celów przez złych ludzi, a podstawowym remedium na to jest właśnie jawność – mówi „Do Rzeczy” wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

ŁAKOMY KĄSEK

Nie wiadomo, czy rosyjskie pieniądze płyną do aktywistów klimatycznych w Polsce. Pewne jest jednak, że możemy stanowić łakomy kąsek. Transformacja energetyczna jest przecież jednym z największych wyzwań, z którymi musimy się zmierzyć. W efekcie agendy przyjętej przez UE Warszawa zadeklarowała wygaszenie do 2049 r. wszystkich kopaliń węgla kamiennego. Dodatkowo, bardziej wyśrubowane i kosztowne, rozwiązania zakłada przygotowany przez wiceszefa KE Fransa Timmermansa pakiet „Fit for 55”. W Polsce dyskusja o tym, skąd czerpać energię i surowce, jest niezwykle ożywiona. Pole do popisu dla sterowanych z zewnątrz marionetkowych aktywistów jest zatem spore.

„Moskwa wspiera aktywistów w Europie w ich walce z energią ze źródeł kopalnych. Bo nieważne, że w dłuższej perspektywie odejście od paliw kopalnych osłabi kartę przetargową Rosji w geopolityce – ważniejsze, by w krótszej perspektywie lat pozostałych Putinowi u władzy nadal uzależniać Zachód od rosyjskich surowców” – przestrzega niemiecki dziennik.

W społeczeństwie ugruntowało się przekonanie, że jeżeli coś nie jest centralne, ale „spoza” i ma atest „obywatelskości”, to z zasady jest dobre i słuszne. Jednak Michał Woś przekonuje, że nie możemy być naiwni. – Skoro robili to w Niemczech, czemu nie mieliby tego robić w innych krajach? – pyta Woś. – Uzależnienie Europy od rosyjskich surowców nie jest w interesie Berlina czy Paryża, tylko właśnie Moskwy. A ta szalona polityka klimatyczna, kolejne jej zaostreżenie, w swoim planie miało oparcie energetyki w rosyjskim gazie. W ostatnim czasie niemieckie media pisały o 82 mln euro dla NGO na ten cel, ale już dekadę temu były informacje o takich metodach, chociażby przy okazji budowy gazociągu Nord Stream. Co do organizacji działających

w Polsce – pamiętajmy, że istnieją organizacje parasolowe. Granty przechodzą przez wielu pośredników, a u początku tego łańcuszka może być Kreml. Oczywiście służby mogą to badać – przykład chociażby wydalonej z Polski Ludmiły Kozłowskiej – ale najlepszym remedium jest jawność finansowa – podkreśla.

– Jeśli chodzi o uznanie, która z organizacji środowiskowych czy klimatycznych jest finansowana czy wspierana przez Rosję, to dowodem w tej sprawie mogą być tylko fakty wskazujące na taką współpracę, czyli np. przelewy – mówi „Do Rzeczy” Jakub Wiech, wicenaczelný portalu Energetyka24.pl. – Natomiast podstawowym miernikiem pozwalającym ocenić rozmaite postulaty aktywistów klimatycznych jest zgodność poszczególnych agend z tym, co mówi nauka. To swoisty papierek lakmusowy, pozwalający oszacować nasycenie ideologią poszczególnych grup czy organizacji.

Zdaniem analityka wyznacznikiem jest podejście do energetyki atomowej. – Takie ciała, jak np. Komitet Klimatyczny przy Prezesie Polskiej Akademii Nauk, mówią jednoznacznie, że atom jest potrzebny w polskiej transformacji energetycznej. A mimo to istnieje szereg podmiotów, które walczą z tą technologią, niekiedy bardzo zaciekle. Tymczasem bez energetyki jądrowej dłużej będziemy uzależnieni od paliw kopalnych, również tych pochodzenia rosyjskiego – zaznacza Wiech.

Choć sprzeciw wobec atomu nie jest dowodem na powiązania z Kremlem (może dowodzić np. głupoty i nieznamości tematu), to powinien zwracać uwagę i budzić czujność.

CORAZ WIĘKSZY WPŁYW

O tym, że NGO mają coraz większy wpływ na rzeczywistość, mówi Nikodem Bernaciak, analityk Centrum Analiz Prawnych Instytutu Ordo Iuris. Celem może być ochrona klimatu, jednak generalnie ideą nadrzędną jest swego rodzaju inżyniera społeczna. – Instytut brał udział w misji obserwacyjnej podczas wyborów parlamentarnych na Węgrzech. Okazało się, że organizacje pozarządowe, które doprowadziły skutecznie do nieważności referendum ws. LGBT, ponieważ namawiały do oddawania głosów nieważnych (w efekcie nie przekroczonego wymaganego progu wyborczego), w latach 2015–2020 otrzymały

6,7 mln dol. z Open Society Foundation George’a Sorosa – wskazuje Bernaciak. – Te organizacje, za pieniądze zagraniczne, doprowadziły do unieważnienia referendum organizowanego przez suwerenne państwo. Dobrze przygotowane przepisy o jawności pozwolą uniknąć takich sytuacji.

Bernaciak zaznacza, że choć propozycja Solidarnej Polski idzie w dobrym kierunku, to wymaga dopracowania w kontekście ochrony danych osobowych. – Uwzględniono obowiązek publikowania danych osobowych osób fizycznych, które wpłacały darowizny na konta poszczególnych organizacji pozarządowych. Jako Instytut Ordo Iuris jesteśmy zdania, że o ile jawność finansowania zagranicznego powinna być poszerzana, ponieważ tego typu finansowanie często jest okazją do wpływania na politykę krajową, o tyle równie ważna, o ile nie ważniejsza, jest ochrona prywatności danych – argumentuje.

Wiceminister sprawiedliwości zapewnia, że wylewania dziecka z kąpielą nie będzie. – Ustawa dotyczy wyłącznie bardzo dużych podmiotów. Transparentność wzmacnia wiarygodność i potwierdza czystość intencji. To jest w interesie NGO-sów. Niczego nie chcemy zakazać – przekonuje Woś. Prawo i Sprawiedliwość nie odniosło się na razie do propozycji koalicjanta. Nie wiadomo, kiedy Sejm mógłby rozpocząć prace nad projektem.

Najbardziej chyba radykalną organizacją klimatyczną jest Extinction Rebellion. W państwach takich jak Australia, USA oraz Wielka Brytania działania aktywistów przybierają coraz skrajniejsze formy. ER nawołuje do obywatelskiego nieposłuszeństwa, opierając się na teorii, według której tylko 3,5 proc. obywateli decydujących się na pokojowe nieposłuszeństwo obywatelskie jest zdolne wprowadzić stałe, długoterminowe zmiany polityczne. W Polsce jak na razie wieszczący nieuniknioną katastrofę klimatyczną ruch ogranicza się do pojedynczych akcji blokowania stołecznych ulic w godzinach szczytu (czym u mieszkańców budzi raczej wściekłość niż zrozumienie). Jednak rozmowa o klimacie, za sprawą takich właśnie działań, staje się coraz bardziej emocjonalna i coraz mniej merytoryczna. W szumie informacyjnym łatwo ulec wpływom z zewnątrz. Pytanie, czy będziemy mądrzy przed szkodą.

Lokator po rosyjsku



FOT. MATEUSZ CROCHOCKI/EAST NEWS



Agnieszka Niewińska

Warszawa musiała prosić o interwencję komornika, by przejąć nieruchomość zwaną potocznie Szpiegowem. Rosjanie zajmowali ją prawem kaduka podobnie jak wiele innych budynków, nie tylko w Warszawie. Czy wreszcie uda się je skutecznie odzyskać?

W ruch poszły piła i nożyce do metalu. W ten sposób komornik Jakub Siadul wszedł na teren tajemniczej nieruchomości przy ul. Sobieskiego 100 w Warszawie, którą od dziesięcioleci zajmował najpierw ZSRS, a potem Rosja. Innego wyjścia nie było, bo przedstawiciel Federacji Rosyjskiej, która od lat bezumownie zajmuje nieruchomość, odmówił otwarcia bramy. – Niestety, nie możemy otworzyć, bo ambasada uważa, że to jest mienie Federacji Rosyjskiej, dla

tego nie wyrażamy zgody na dobrowolne otwarcie – stwierdził podczas egzekucji komorniczej konsul Władimir Jefremow, który stał się w imieniu dłużnika.

Podobnie na pytania warszawiaków odpowiadali ochroniarze opuszczonego od lat kompleksu, i to na długo przed interwencją komornika. Ciekawskich odganiał, krzycząc przez bramę. – To terytorium Rosji, wstęp wzbroniony – można było usłyszeć.

Sęk w tym, że teren przy Sobieskiego należy do Skarbu Państwa, a w 2016 r. Sąd Okręgowy w Warszawie wydał prawomocny wyrok nakazujący Federacji Rosyjskiej zwrot bezprawnie zajmowanej nieruchomości oraz zapłatę ponad 7 mln zł należności wraz z odsetkami za korzystanie z niego. Rosjanie ani myśleli o wykonaniu wyroku, zwłaszcza że trwający proces zignorowali. Nie odpowiedzieli na pozew, nie pojawili się na rozprawie, nie zajęli w toczącym się postępowaniu żadnego stanowiska. Wyrok zapadł zaocznie.

ZOSTAŁY ŚMIECI I GRZYB NA ŚCIANACH

Przejęta nieruchomość, nad którą zarząd sprawuje prezydent m.st. War-

szawy, ma zostać udostępniona uchodźcom z Ukrainy. W dniu egzekucji przy Sobieskiego 100 pojawił się ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczycia, który zadeklarował, że Ukraina jest zainteresowana dzierżawą osiedla. A to dysponuje ponad 7 tys. mkw. powierzchni użytkowej. Jednak luksusowy przed laty kompleks dzisiaj jest w ruinie. Po Rosjanach pozostały śmieci, zdewastowane sprzęty oraz grzyb na ścianach.

Choć Federacja Rosyjska twierdzi, że budynek był wykorzystywany przez dyplomatów, to opustoszał co najmniej kilkanaście lat temu. Zdewastowane zostały instalacje elektryczna i hydrauliczna, posadzki czy okna. Aby ktokolwiek mógł się tam wprowadzić, niezbędny jest kapitalny remont. – Obecnie trwa analiza stanu technicznego nieruchomości przy ul. Sobieskiego 100. Dopiero po jej zakończeniu będzie można mówić o zakresie remontu niezbędnego do przywrócenia użyteczności obiektu, a także ramach czasowych i dalszych krokach – informuje Jakub Leduchowski z Urzędu m.st. Warszawy.

Pytane o „Szpiegowo” firmy remontowe nie pozostawiają jednak złudzeń. Remont może trwać wiele miesięcy i pochłonąć dziesiątki milionów złotych.

Kompleks budynków powstał w efekcie umowy z 1974 r. między ZSRS a PRL. Sowietci w dzierżawę dostali nieruchomości w Warszawie. Polska miała otrzymać adekwatną liczbę nieruchomości w Moskwie, ale do tego nie doszło.

Przy Sobieskiego 100 bloki o kaskadowej budowie zostały zaprojektowane przez polskich architektów – Piotra Sembrata i Janusza Nowaka. Sowieckie osiedle miało być miastem w mieście. Dysponowało własnym zasilaniem w energię elektryczną, miało własny system ogrzewania. Otoczone zostało wysokim płotem zwieńczonym drutem kolczastym. Do dyspozycji mieszkańców były m.in. restauracja, salon fryzjerski, kino, sala gimnastyczna czy sauna. Budynki połączone zostały tunelami.

W blokach zamieszkiwali z rodzinami sowieccy dyplomaci i pracownicy przedstawicielstwa handlowego. Z tego względu warszawiacy zaczęli tajemniczo osiedle nazywać Szpiegowem. Wraz z przełomem 1989 r., a później z upadkiem ZSRS budynki przy ul. Sobieskiego 100 zaczęły pustoszeć. Mimo tego strona rosyjska nieruchomości nie zwróciła. Nie uiszczała też opłat. Dług to 7 mln zł plus odsetki.

Jeszcze na początku XXI w. mimo opustoszałej części mieszkalnej w parterowym osiedlowym pawilonie działał Club 100. Wstęp do niego mieli tylko wtajemniczeni – Rosjanie i ludzie przez nich wprowadzeni. Dla postronnych nieruchomość była niedostępna do 11 kwietnia 2022 r., kiedy to teren został przejęty przez Warszawę w drodze egzekucji komorniczej. Wcześniej kompleks odwiedzali tylko eksploratorzy, którzy niezauważeni przez ochroniarzy przedostawali się do budynku. W serwisie YouTube zamieścili wiele filmów z eksploracji „Szpiegowa”. Można zobaczyć na nich m.in. zdewastowane wnętrza, maszynownię, centralę telefoniczną czy opuszczony zakład fryzjerski. Eksploratorzy natrafili na stare rosyjskie gazety czy np. portret Michaiła Gorbaczowa.

BLISKO MINISTERSTW I TRYBUNAŁU

Mimo prób w sprawie nieruchomości od lat nie udaje się dojść do porozumienia ze stroną rosyjską. W 2013 r. w odpowiedzi na interpelację poselską Henryka Mościcka-Dendys z MSZ wyjaśniała, że na mocy umów z lat 70. i 80. Federacja Rosyjska posiadała w Polsce łącznie

19 nieruchomości, a RP w Rosji tylko pięć, w tym trzy wynajmowane. „Trwające od ponad 10 lat konsultacje polsko-rosyjskie w sprawie nieruchomości okazały się bezowocne. [...] Pomimo wielokrotnych deklaracji FR nie przekazała nam ani jednej nieruchomości, a nawet – mimo spełnienia wszystkich warunków – nie wpisała nieruchomości Ambasady RP do rosyjskich ksiąg wieczystych (dla porównania: Ambasada FR i dwie inne nieruchomości rosyjskie są wpisane od 2006 r. do polskich ksiąg wieczystych)” – wskazała Mościcka-Dendys.

W Warszawie Rosja zajmuje nieruchomości w bardzo atrakcyjnych lokalizacjach. Jedną z nich jest kamienica przy al. Szucha 8 w bliskości m.in. MSZ, Ministerstwa Edukacji czy Trybunału Konstytucyjnego. Kolejna to budynki mieszkalne przy ul. Bobrowieckiej 2B (wyrok nakazujący zwrot zapadł w 2017 r.), Beethovena 3 i w pobliżu rosyjskiej ambasady przy Belwederskiej 25, gdzie znajduje się Rosyjski Ośrodek Kultury i Nauki. Z kolei przy Kieleckiej 25 mieści się rosyjska szkoła dla dzieci dyptomatów. Polskie MSZ podkreśla, że budynki nie są wykorzystywane na cele dyplomatyczno-konsularne, na które zostały przekazane.

Polska od co najmniej kilkunastu lat stara się o odzyskanie nieruchomości. W sprawie Bobrowieckiej 2B wyrok nakazujący zwrot nieruchomości zapadł w 2017 r. W sprawie Kieleckiej 45 w 2016 r. zapadł wyrok nakazujący zwrot nieruchomości. Pod tym adresem może dojść do kolejnej egzekucji komorniczej, tak jak miało to miejsce w przypadku „Szpiegowa”. – Prezydent m.st. Warszawy podejmuje działania w kierunku odzyskania wszystkich nieruchomości zajmowanych bez tytułu prawnego przez Federację Rosyjską, niekorzystających ze statusu dyplomatycznego. Domaga się też zapłaty należności za bezumowne korzystanie z tych obiektów. Z uwagi na skuteczność postępowań o poszczególnych adresach będziemy informować w osobnych komunikatach – mówi Jakub Leduchowski z Urzędu m.st. Warszawy.

Choć strona rosyjska nie uiszcza miażdżących ani podatków od nieruchomości, to warszawski magistrat nie przestaje ich naliczać. Dług opiewa na 24 mln zł, a do tego trzeba doliczyć odsetki.

Problem nieuregulowanego statusu prawnego nieruchomości znajdujących się we władaniu Federacji Rosyjskiej

dotyczy nie tylko Warszawy. Konsulat Generalny Federacji Rosyjskiej w Gdańsku mieści się w willi przy ul. Batorego 15. Przy Batorego 13 mieszkają rosyjscy dyplomaci. Choć budynki są własnością Skarbu Państwa, to Rosja nie płaci czynszu. Gdańsk nalicza opłaty tylko za budynek pod numerem 15. Dług przekroczył 5 mln zł.

W Skubiance nad Zalewem Zegrzyńskim Ambasada RP wynajmuje ośrodek wypoczynkowy od Nadleśnictwa Jabłonna. Jak poinformował rzecznik prasowy Lasów Państwowych Michał Gzowski, umowa została wypowiedziana w trybie natychmiastowym z jednoczesnym wnioskiem o wydanie nieruchomości. Okazało się, że Rosjanie wynajmujący ośrodek za kwotę ok. 12 tys. zł miesięcznie przestali za niego płacić. Trudno jednak spodziewać się, że wyniosą się dobrowolnie. Gzowski podejrzewa, że skończy to się pozwem sądowym.

„ADEKWATNA ODPOWIEDŹ”

W dniu egzekucji komorniczej w tzw. Szpiegowie rzecznik prasowy MSZ Łukasz Jasina wyraził zadowolenie z kroków, które w porozumieniu z resortem podjęły władze Warszawy. „Ministerstwo Spraw Zagranicznych wspiera właściwe organy i instytucje krajowe w podejmowaniu działań w celu doprowadzenia do uregulowania statusu prawnego nieruchomości znajdujących się w bezprawnym władaniu Federacji Rosyjskiej na terytorium RP oraz w celu ostatecznego zlikwidowania rażącego dysparytetu w nieruchomościach w relacjach polsko-rosyjskich, zgodnie z obowiązującym prawem polskim i prawem międzynarodowym” – napisał w oświadczeniu Jasina.

Do sprawy odnieść się nie omieszkała jego rosyjska odpowiedniczka Maria Zacharowa. Utrzymuje, że „Szpiegowo” to „nieruchomość dyplomatyczna”, a polskie władze działają niezgodnie z prawem. – Działania strony polskiej są rażącym naruszeniem prawa międzynarodowego: zarówno dwustronnej umowy międzyrządowej, jak i konwencji wiedeńskiej o stosunkach dyplomatycznych – stwierdziła, nie wspominając nawet, że Rosja ze swoich zobowiązań zawartych w dwustronnej umowie się nie wywiązała. – Każdy nieprzychylny krok ze strony Warszawy będzie skutkował adekwatną, skuteczną odpowiedzią z naszej strony – zapowiedziała Zacharowa.



Nowaku (zgodził się na publikację personaliów i wizerunku) ciężą prokuratorskie zarzuty, a tych nigdy nie powinno się lekceważyć, szczególnie wobec osób, które odgrywają rolę publicznych moralistów. Od potwierdzenia lub odrzucenia tych zarzutów zależy wiarygodność prawnika, który dla wielu stał się kimś w rodzaju „niezłomnego mściciela”, walczącego z kościelną omertą. Jednak już sam tekst dziennikarza „Rz”, który niczego nie rozstrzyga, rzuca na Nowaka bardzo niekorzystne światło.

ZNANY PEŁNOMOCNIK

O mec. Arturze Nowaku szersza publiczność usłyszała tak naprawdę dopiero wtedy, gdy jego nazwisko zaczęło się pojawiać w kontekście przestępstw seksualnych dokonywanych przez katolickich duchownych. Znany jest on choćby jako pełnomocnik Jerzego Szymika, wykorzystywanego przez księdza z Międzybrodzia Bialskiego – zresztą skazanego w procesie kościelnym. Własną sławę powiększył także jako reprezentant Jakuba i Bartłomieja Pankowiaków, którzy o swoich dramatycznych doświadczeniach z duchownymi opowiadali w filmie braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”. Według wypowiedzi Nowaka dla różnych mediów on sam miał także być ofiarą pedofilskich praktyk dwóch księży.

Artur Nowak nie ogranicza się jednak tylko do reprezentowania ofiar. Stał się aktywnym publicystą, dalekim od traktowania spraw Kościoła z należnym prawnikowi dystansem. Przykładem takiej aktywności mogą być kolejne przygotowywane przez niego książki, jak choćby dwie wydane z byłym jezuitą Stanisławem Obirkim. Pierwsza z nich pt. „Wąska ścieżka. Dlaczego odszedłem z Kościoła” ukazała się w roku 2020, a druga, sprofilowana marketingowo jako polska kontynuacja francuskiego bestselleru Fredericka Martela „Sodomia”, kreatywnie została nazwana „Gomora” i ujrzała światło dzienne w roku 2021. Dodano jej wymowny tytuł: „Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele”. Profil ideowy autora jest dość wyraźny, wspomniane dwie pozycje ukazały się dzięki wydawnictwu Agory, czyli właścicielowi „Gazety Wyborczej”. Wcześniejsze pozycje mec. Nowak wydawał choćby w skrajnie lewicowym Wydawnictwie Krytyki Politycznej. Jeśli chodzi zaś o media, w których bywa

„Młot na księży” z zarzutami



Tomasz Rowiński

Czy mec. Artur Nowak ma moralne kwalifikacje do bycia głosem sumienia wobec ludzi Kościoła?

Czy artykuł Tomasza Krzyżaka kompromituje kolejnego łowcę księży, którzy okazali się seksualnymi przestępcami? Czy mamy do czynienia ze sprawą podobną do skandalu dotyczącego Marka Lisińskiego,

byłego szefa fundacji Nie Lękajcie Sie, który kłamał, mówiąc, że był molestowany przez księdza? Z pewnością nie jest to sytuacja tego typu. Jednak według potwierdzonych informacji dziennikarza „Rzeczpospolitej” na mecenasie Arturze

obecny, to trzeba tu wymienić obok „Gazety Wyborczej”, „Krytyki Politycznej” i „Rzeczpospolitej” także wrogi Kościołowi portal OKO.press.

Oczywiście należy pamiętać, że mec. Artura Nowaka nie wykreowały tylko media, lecz także złe praktyki w Kościele katolickim, które musiały wywołać reakcję. Zła w Kościele nigdy nie należy lekceważyć. Elementarna wiedza o naturze życia społecznego każe uznać, że zwykle za jak najbardziej właściwymi wezwaniami do przewrócenia sprawiedliwości podąża także rodzaj symbolicznej – w cywilizacji liberalnej np. publicystycznej – zemsty. I jednym z takich głosów rewanżu, który odnalazł się w naszej debacie publicznej, stał się mec. Nowak.

UKŁAD

Jakie zarzuty zostały mu postawione w „Rzeczpospolitej”? Jak ustalił Tomasz Krzyżak, w Sądzie Okręgowym w Gdańsku „Nowak miał w odniesieniu do pięciu osób powoływać się »na wpływy w Prokuraturze Rejonowej w Koszalinie« oraz uzyskiwać informacje »z postępowań przygotowawczych prowadzonych przeciwko lub z udziałem tych osób« i uzgadniać »z drugim oskarżonym prokuratorem Karolem K. korzystnych dla nich decyzji«” – czytamy w tekście „Jest akt oskarżenia przeciw adwokatowi reprezentującemu ofiary pedofilii w Kościele”.

Krzyżak relacjonuje, że Artur Nowak „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej żądał kwoty 40 tys. zł za załatwienie umorzenia postępowania przygotowawczego”. Wydarzenia miały miejsce w roku 2013 i dotyczyły jednego z koszalińskich prawników, któremu zarzucono wykorzystanie seksualne małoletniego syna. Mecenasa Nowaka miał działać – jak zostało powiedziane – wspólnie z prokuratorem K., który został zawieszony, gdy postawiono mu zarzuty. To zawieszenie trwa do dzisiaj i w związku z tą sytuacją K. otrzymuje jedynie 50 proc. wynagrodzenia.

Jak wyglądała według artykułu z „Rz” współpraca Nowaka i K.? „Układ miał być taki, że prokurator miał starać się o uzyskanie korzystnej opinii biegłego. Chodziło o to, by wynikało z niej, że dziecko jest niedojrzałe emocjonalnie i nie można wykorzystać jego zeznań” – tłumaczył jeden z informatorów „Rzeczpospolitej”. Dalej czytamy: „Prokurator K. informował, że ma

biegłego, który taką opinię wyda, ale kosztuje to 5 tys. Połowę miał wyłożyć on, drugą Nowak”. Deal został najwyraźniej dopięty, ponieważ 31 lipca 2013 r. sprawę umorzono w Koszalinie po raz pierwszy, a po raz drugi stało się to w roku 2014 w Goleniowie.

Czy Nowak, który działa także jako swoisty publiczny oskarżyciel i trybun ludowy, nie powinien być postacią przejrystą?

Zanim jednak prace prokuratury w Goleniowie się skończyły, Nowakowi postawiono zarzuty, aresztowano go, a potem wypuszczono za kaucją. Miało to miejsce po długotrwałej akcji CBA, którego funkcjonariusze m.in. nagrywali rozmowy Nowaka z jego klientami. Dziś obrona mec. Nowaka nie przebiega wcale po linii bezpośredniej obrony przed zarzutami, ale jest próbą oddalenia ich poprzez udowodnienie, że pozyskane dowody zdobyto nielegalnie. Chodzi oczywiście o nagrywanie spotkań z klientami. Nowak domaga się zniszczenia pozyskanych materiałów.

Akcja prowadzona przez pełnomocników Artura Nowaka okazuje się skuteczna. Także dlatego, że zgody na prowadzenie operacji mającej na celu zebranie dowodów winy koszalińskiego adwokata nie podpisała odpowiednia osoba. „To jest właściwie spór proceduralny. Nie idzie o to, by obalić oskarżenie, czyli udowodnić, że oskarżeni nie popełnili zarzucanych im czynów, ale o to, czy wniosek był podpisany przez właściwą osobę. To jest kpina” – cytuje jednego ze śledczych Tomasz Krzyżak.

Nowak był przez krótki czas zawieszony na wniosek rzecznika Izby Adwokackiej w Poznaniu. „W uzasadnieniu wskazał, iż interes korporacyjny oraz społeczny wymaga, żeby wobec adwokata, któremu zarzuca się wielokrotne dopuszczenie się płatnej protekcji, poplecenictwo, doprowadzenie do naruszenia przez funkcjonariusza publicznego tajemnicy służbowej, zostało zastosowane tymczasowe zawieszenie w czynnościach zawodowych” – mówi przywoływany przez Tomasza Krzy-

żaka adw. Tomasz Krawczyk, rzecznik dyscyplinarny izby. Jednak Wyższy Sąd Dyscyplinarny Adwokatury zmienił tę decyzję, uzasadniając swoje posunięcie przewlekłością postępowania. Jednocześnie jednak zastrzegł, że „okoliczność ta nie wpływa [...] na ocenę zarzucanych [...] czynów zabronionych” i kwestia zostanie na nowo podjęta po zakończeniu sprawy karnej.

„Nie przyznaję się do żadnego z postawionych mi zarzutów – mówił »Rzeczpospolitej« mec. Nowak. – Każda z tych osób przyszła bądź zadzwoniła do mnie z jakimś problemem. Oczywiście reprezentowałem te osoby odpłatnie” – zaznacza. I dodaje: „Uzyskiwałem informacje na temat ich spraw w sposób całkowicie legalny, na podstawie pełnomocnictwa”. Pisząc ten tekst, zapytałem e-mailowo mecenasa, czy chciałby coś dodać do sprawy po prawie dwóch tygodniach od jej ujawnienia, nie otrzymałem jednak żadnej odpowiedzi.

Co, jeśli mec. Artur Nowak przegra i zostaną na niego nałożone np. kary uniemożliwiające mu dalsze wykonywanie zawodu adwokata? Czy możemy się spodziewać, że stanie się w poszukiwaniu zarobku pełnoetatowym inkwizytorem, tytułowym „Młotem na księży”? Nie kwestionując przestępstw o charakterze seksualnym, które miały miejsce w Kościele, w świetle materiału zebranego i opublikowanego przez Tomasza Krzyżaka już dziś można zapytać o moralne kwalifikacje mec. Nowaka do bycia głosem sumienia wobec ludzi Kościoła. A przecież na kogoś takiego został wykreowany. Czy Nowak, który dziś działa nie tylko jako pełnomocnik i adwokat, lecz także jako swego rodzaju publiczny oskarżyciel i trybun ludowy wobec kościelnej instytucji, nie powinien być postacią przejrystą? Owszem, także biskupi i duchowni – realizując swoje nauczycielskie i pasterskie zadania – są zobowiązani, by dążyć do maksymalnie godnego ich realizowania. Wszyscy w jakimś sensie wymagamy od nich tego i oczekujemy, że będą ludźmi możliwie bez zarzutu. Czy unieważnia to inne oczekiwanie, by i krytycy Kościoła nie okazywali się ludźmi szemranej konduity? Na dłuższą metę brak wiarygodności takich osób kompromituje bowiem samo oczekiwanie sprawiedliwości w wielu sprawach, w których należy się jej domagać.

Na drodze ekspresowej S8 w okolicach Zambrowa doszło do śmiertelnego wypadku drogowego. 14 kwietnia ok. godz. 8.40 jadący tamteży motocyklista uderzył w bariery drogowe. Uderzenia nie przeżył. Wstępna ocena policji była krótka – motocyklista wypadł z trasy z „nieznanej przyczyny”. Chwilę później okazało się, że o tym wypadku wiadomo dużo więcej i jest nawet film dokumentujący ten moment.

Tę sprawę ujawnili jako pierwsi dziennikarze Onetu. Napisali, że w tamtym momencie na drodze znajdowało się czarne subaru. Kierował nim były prezes Trybunału Konstytucyjnego Bohdan Zdziennicki. W samochodzie jako pasażerkę wioził swoją żonę – była I prezes Sądu Najwyższego Małgorzatą Gersdorf. Onet w pierwszej wersji swojego tekstu napisał wręcz, że auto sędziów „potrąciło motocyklistę”, potem to skorygowano. W tym samym czasie już i radio RMF FM informowało o wypadku. Tam z kolei poinformowano, że auto sędziów zajęło drogę.

Jednak najbardziej wstrząsającą rzeczą był fakt, że Zdziennicki i Gersdorf nie zatrzymali się po tym wypadku i nie udzielili pomocy motocykliście. Odjechali z miejsca zdarzenia.

NIE KŁAMIĄ I SĄ OBURZENI

Zdziennicki w rozmowie z Onetem przyznał, że „brali udział w takim zdarzeniu”, więcej mówić nie chciał. Zupełnie inaczej potem o tej sprawie mówiła jego żona. – My ani nasze auto nie uczestniczyliśmy w żadnym wypadku – oświadczyła RFM Małgorzata Gersdorf. Dawała też do zrozumienia, że oboje nie mieli pojęcia, iż na drodze doszło do jakiegoś wypadku. – O tym, że po drodze mijaliśmy miejsce, gdzie doszło do śmiertelnego wypadku, dowiedzieliśmy się z Internetu, po godz. 17, kiedy mąż został wezwany do złożenia wyjaśnień przez policję – zarzekała się była pierwsza prezes SN. I znów jest tu mała sprzeczność. Bowiem Gersdorf jednocześnie stwierdziła wcześniej, że widzieli jakieś oderwane części przelatujące na drodze. – W pewnym momencie zarejestrowaliśmy jakiś przelatujący kawałek blachy czy gumy, który uznaliśmy za oderwaną część przejeżdżającej ciężarówki, i to wszystko – stwierdziła.

Te wypowiedzi muszą dziwić. Ktoś jedzie samochodem, widzi latające odłamki i się nie rozgląda? Nie patrzy przez szybę? Nie patrzy w lusterka? Po

Co się stało na drodze sędziów

Miejsce wypadku na drodze S8. Zginął tam 26-letni motocyklista

FOT. KPP ZAMBRÓW



Łukasz Zboralski

Czy można nie zauważyć motocyklisty uderzającego w bariery obok własnego samochodu? Czy można nie widzieć wraku sunącego na pasie obok? A jeśli tak – to czy kierowcy z taką percepcją w ogóle powinni wyjeżdżać na drogi?

prostu jedzie dalej? Trzeba przyznać, że to zachowanie zaskakujące.

Jeszcze większe zdumienie wywołało to, gdy TVP Info dotarła do filmu, na którym zapisał się moment wypadku. Okazało się bowiem, że w tym miejscu na trasę S8 na węźle wjeżdżał kierowca ciężarówki. Miał rejestrator samochodowy. Nagrał moment wypadku. Widać, że lewym pasem S8 jedzie czarne auto, a jeszcze po lewej od niego, trochę z tyłu motocyklista wypada już z jezdni, uderza w barierę. Auto, które prowadzi Zdziennicki, z lewego pasa przejeżdża od razu na prawy. Tymczasem lewym pasem po asfalcie leci przewrócony motocykl, wzbijając białą smugę dymu. W pewnym momencie tor szorującego po drodze motocykla i auta sędziów się przecina. Jest tam łuk w lewo, więc zgodne z fizyką jest, że motocykl przecina prawy pas i musi zatrzymać się na barierach z prawej strony (tego na filmie już nie widać). W momencie, gdy dym z niego i auto się zrównują, wizerunek samochodu na filmie nie ginie. Dym zdaje się być przed samochodem. I wówczas – prawdopodobnie – Zdziennicki zwalnia. Potem jednak jedzie dalej.

Oglądając ten film, trudno nie mieć poważnych wątpliwości, że prowadzący samochód mógł nie zauważyć rozgrywanego się na trasie dramatu. Nie słyszeć uderzenia w bariery, nie słyszeć motocykla szorującego po asfalcie, nie widzieć tego ślizgającego się sąsiednim pasem wraku.

Wątpliwości nie rozwiała sama Gersdorf. Wręcz przeciwnie, dołała oliwy do ognia i po ujawnieniu tego filmu argumentowała brak zauważenia wypadku własną moralnością. W rozmowie z TVN zapewniała, że „nie widzieli tego motocyklisty, bo przecież nie mają w zwyczaju kłamać”. Poszła zresztą dużo dalej. – My jesteśmy szykanowani. Mamy zabrany samochód. Koleżanka, która z nami jechała, miała cztery godziny zabraną komórkę. Byliśmy wczoraj osiem godzin w prokuraturze w Suwałkach, przemieszczamy się taksówką, bo nie mamy samochodu – mówiła wyraźnie oburzona reporterowi „Faktów” TVN.

NA CO MUSZĄ ODPOWIEDZIEĆ ŚLEDZCY?

Prokuratura zajmująca się tą sprawą na razie prowadzi śledztwo w kierunku spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Tu film z wypadku nie będzie dowodem, ale jest ważną poszlaką. W Polsce bowiem obowiązuje ruch prawostronny. Zdziennicki swoim samo-



Fragment filmu, na którym widać wypadek motocyklisty i jadące tym samym pasem czarne Subaru prowadzone przez Bohdana Zdziennickiego. FOT. POLSATNEWS.PL/YOUTUBE



Małgorzata Gersdorf przyznała, że widziała jakieś latające elementy na drodze. FOT. TOMASZ GZELL/PAP

chodem mógł jechać lewym pasem tylko wtedy, gdyby wyprzedzał inne pojazdy i musiał wrócić na prawy pas. Zrobił to tuż za wjazdem, na który zamierzała wjechać ciężarówka. Czy zatem zmienił pas na lewy, widząc kierowcę ciężarówki wjeżdżającego na ekspresówkę? To prawdopodobna hipoteza. Choć nawet, gdyby tak się to odbyło, o winie będzie można przesądzić dopiero, gdy określona zostanie prędkość, z jaką poruszał się motocyklista. Zdziennicki mógł bowiem widzieć światła innego pojazdu daleko i uznać, że ma prawo wykonać manewr zmiany pasa. To oczywiście tylko próba logicznego wyjaśnienia sytuacji, której efekt widać na filmie. Trudno bowiem przyjąć, że Zdziennicki jechał długo lewym pasem, a motocyklista, np. zagaipając się, wybrałby szczelinę między barierą a autem sędziów, a nie prawy – wówczas jeszcze wolny pas ruchu.

Właśnie dlatego w tej sprawie kluczowe mogą okazać się zeznania kierowcy ciężarówki. Z kabiny mógł widzieć więcej niż oko kamery. Włączając się do ruchu, mógł widzieć przez boczną szybę sytuację na drodze ekspresowej. Jeśli nie widział nic i nie ma innego świadka, to orzeczenie o winie w przypadku tego wypadku stanie się bardzo trudne.

Gdyby uznano, że Zdziennicki nie zjechał motocyklistę drogi – a w przypadku braku dowodów przesądzać będzie domniemanie niewinności – pozostanie do rozstrzygnięcia problem nieudziele-

nia pomocy. I w tym przypadku sprawa będzie niełatwa. Wprawdzie prawo zobowiązuje uczestnika wypadku drogowego (także świadka) do udzielenia pomocy, czego minimalnym wypełnieniem jest zawiadomienie służb ratunkowych. Jednak jak udowodnić komuś, że powinien zobaczyć coś, gdy on uznaje, że tego nie widział?

Tu z kolei rozstrzygające mogą być ślady zabezpieczone przez policję pod nadzorem prokuratury. Śledczy już dziś muszą mieć w ręku zdjęcia i szkice powypadkowe wykonane przez policjantów. Wiadomo, gdzie zatrzymał się wrak motocykla. To miejsce da się porównać z filmem, na którym wrak sunie blisko samochodu sędziów. Gdy znane będzie miejsce, w które uderzył po prawej stronie, można by – prawdopodobnie – rozszyfrować, czy przeleciał przed maską pojazdu Zdziennickiego. Wówczas tłumaczenie o tym, że kierowca i pasażerowie niczego nie zauważyli, będzie trudne do utrzymania. Wciąż jednak możliwe.

I na koniec – gdy Zdziennicki i Gersdorf obronią się w śledztwie czy sądzie (jeśli w ogóle dojdzie do postawienia zarzutów), że nie mogli udzielić pomocy, gdyż nie musieli dostrzec wypadku, pozostanie odpowiedzieć na inne pytanie: Czy kierowca z taką percepcją otoczenia nie stanowi zagrożenia dla innych na drodze? Bohdan Zdziennicki ma 78 lat. W takim wieku pogarszają się wzrok, słuch i czas reakcji. Przy starzejącym się społeczeństwie wyzwania związane z seniorami za kierownicą i momentem, w którym powinni decydować się na odłożenie prawa jazdy na półkę, w Polsce będą coraz większe. Rząd nad tą sprawą w ogóle jeszcze się nie pochylił. A czas na przemysłenie systemu np. dobrowolnych kontroli czy szkoleń po przekroczeniu pewnego wieku jest właśnie teraz. To ostatni moment.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Buratino,



Krzysztof Masłoń

Czasowe przynajmniej wyeliminowanie rosyjskości z obiegu kulturowego wszystkim zainteresowanym wyjdzie na dobre



Dziewiętnastowieczny poeta rosyjski, skądinąd wybitny, Fiodor Tiutczew, napisał:

*Umom Rossiju nie poniat',
Arszynom obszczin nie izmierit':
U niej osobiennaja stat' –
W Rossiju možno tolko wierit'.*

Niech mu będzie, ale z jakiego powodu nie-Rosjanie mają wierzyć w Rosję? Cóż, Tiutczewowi panslawizm przypadł do gustu, najbardziej może wizja rosyjskich sztandarów dumnie powiewających w Konstantynopolu.

Wyliczmy rosyjskie zdobycze tylko w XIX stuleciu. Najpierw przyłączona została do Imperium wschodnia i centralna część Gruzji, następnie Finlandia i Mołdawia, część współczesnego Azer-

bejdżanu, Księstwo Warszawskie, część Armenii i wybrzeże Morza Czarnego. Około roku 1865 ostatecznie zdobyty został przez Rosjan Kaukaz, dzisiejszy Kazachstan, wreszcie terytoria państw środkowoazjatyckich. Przy tym tamta dawna Rosja, nawet jeśli przegrywała w wojnach (rzadko, ale jednak), nie ulegała pomniejszeniu. W gruncie rzeczy jedyny taki wypadek to sprzedaż Alaski Amerykanom w 1867 r., deal najgłupszy z możliwych, ale co z tego. Imperium stać na głupotę, może nawet na nią najbardziej.

Prowadząc wojny, zdarzało się jednak ponosić Rosji klęski, tak jak w wojnie krymskiej. Klęski, bo w sumie w wojnie wschodniej – było nie było, obronnej! – straciło życie pół miliona rosyjskich żołnierzy. Ale i ta wojna nikogo w Imperium

nie otrzeźwiła, przeciwnie – wzmocniła jedynie nastroje wielkomocarstwowe, a imperialny, państwowy duch opanował także tych, których wcześniej uważano za krytyków samodzierżawia. Ktoś taki jak Wissarion Bieliński, uważany za okcydentalistę, i to skrajnego, zaakceptował likwidację Bractwa Cyryla i Metodego i zesłanie Szewczenki w żołdaty, bo nie podobał mu się ukraiński separatyzm, uważał zresztą – jak wielu mu podobnych – że język ukraiński to zaledwie dialekt języka rosyjskiego.

Po dziś dzień Ukraina postrzegana jest przez przytłaczającą większość Rosjan, niegdyś obywateli ZSRS, dziś ich dzieci i wnuków, jako młodsza siostra Rosji, którą trzeba się zająć, opiekować się nią, bacząc, by nie czyniła błędów, do których jest skora, ponieważ – co tu dużo

won!



Sowiecki Buratino miał być lepszą wersją imperialistycznego Pinokia FOT. ADOBE STOCK

i faktyczny nacjonalizm), sformułowana przez hrabiego Siergieja Uwarowa.

Wymienione w tej triadzie na pierwszym miejscu prawosławie traktowane było całkowicie instrumentalnie, tak samo jak w Sowietach potraktuje je Stalin, który z dnia na dzień po ataku Hitlera na ZSRS wyciszy propagandę antyreligijną i tak samo jak w Federacji Rosyjskiej Putin jednocześnie palący świeczki w cerkwi i śpiewający przywrócony jako hymn Rosji hymn Kraju Rad:

*Ot jużnych moriej do polarnogo kraja
Raskínulis naszy lesa i pola.
Odna ty na swietie! Odna ty takaja –
Chranimoja Bogom rodnaja ziemia!*

Bolszewicy działali w myśl hasła: „Jeśli wróg się nie poddaje, to się go likwiduje”. Dziś przyświeca ono wojsku hańbiącemu imię rosyjskiej armii na Ukrainie. A my nie powinniśmy zapominać i o innej maksymie, jeśli nawet anegdotycznej, to i tak trafnej: „Gdzie ma Związek Sowiecki granice? Tam, gdzie chce”. Pod tym względem między była Sowdepia a współczesną Rosją Putina różnicy nie ma żadnej.

Można się w tym miejscu zachnąć: Rosjanie przecież, co podkreślali zawsze w twórczości artystycznej, bronili swego, a nie sięgali po cudze. Naprawdę? W „Obliczach Rosji” Borisa Jegorowa czytamy: „Dmitrij Lichaczow w swoich pracach niejednokrotnie podkreślał, że charakterowi rosyjskiemu nie są właściwe tendencje zaborcze, że w kronikach opisuje się tylko wojny obronne, że powieść »Wojna i pokój« fabularnie kończy się na roku 1812, kiedy wojna toczyła się na terytorium Rosji, i nie zawiera opisu zagranicznej wyprawy armii rosyjskiej. Wszystko to prawda. Ale dla przeciwwagi można przytoczyć wiele faktów artystycznych, poczynając od folkloru, w których opisuje się syberyjskie wyprawy Jermaka, podbój Kazania, stłumienie powstania w Polsce i tak dalej. Jest rzeczą jasną, że wojna z obcym agresorem, który wtargnął na ziemię ojczystą, była oceniana jako sprawiedliwa, święta, ale problem właśnie w tym, że wojny zaborcze, które prowadził kraj, nie były odbierane jako zbrodnicze, ciemne, niesprawiedliwe. Jeśli sąsiad krzywo na nas patrzy, mówi nam coś wrogiego i jeszcze gotuje się do wojny, to najmielszą rzeczą jest pokonać go i podbić. W świadomości narodu, w jego twórczości nie pojawił się ani jeden głos, ani jeden znak protestu przeciwko wojnie zaborczej. Rozumie się, jak gdyby samo przez się, że

wielkie mocarstwo ma prawo do wszelkiego poszerzania swego terytorium i nie jest ważne, czy narody bałtyckie, Polski, Mołdawii, Kaukazu, Azji Środkowej chcą stać się częścią Rosji. Najważniejsze, że Rosja chce! Masowa, narodowa świadomość ani na chwilę nie zamierzała stanąć na pozycjach podbitych nacji, istotny był rosyjski punkt widzenia”.

MÓWCIE ŚMIAŁO PO RUSKU

Mikołajowska rusyfikacja miała swoich gorliwych wykonawców. Takiego np. ministra spraw wewnętrznych, jakim był gen. Bibikow, szyszanujący Żydów, Polaków i – jakżeby inaczej – Ukraińców. W tamtych latach podejrzany był już sam język ukraiński, w szkołach i cerkwiach – zabroniony. Rosja miała być jedna, niepodzielna i – zauważmy – coraz większa.

A co z Polakami? Świetny dokument sprzed lat przypominał w swoim ostatnim numerze miesięcznik „WPiS”, publikując zapomnianą odezwę począjowską z 1915 r., w której archimandryta Witalis tak się zwracał do „polaków ziemi Kijowskiej, Wołyńskiej, Połockiej i Chełmskiej” (ortografia oryginalna): „Nie obawiajcie się niczego, mówcie śmiało po rusku, tj. po rosyjsku, tak jak mówią w ogóle wykształceni Rosjanie. Przecież to jest wasz język ojczysty – język rosyjski wspólny wszystkim wykształconym Rosjanom, język pisarzy rosyjskich: Puszkina, Turgenjewa, Gogola, Dostojewskiego, Tołstoj i innych.

Idźcie śmiało do rosyjskiej cerkwi prawosławnej: przecież to wasza odwieczna wiara, wiara prawosławna.

Tak, mili bracia Polacy, dawni ludzie prawosławni! Pomyślcie o tym, co robicie i co wam czynić należy! Przecież prawdę mówiąc, tylko nie obrażajcie się za szczerość, wyście to odstępcy ojczystej wiary prawosławnej, wyście – zdrajcami waszej ojczystej prastarej Rusi!

[...]

Pomyślcie dobrze nad tym bracia polacy, dawni rosjanie. Minęły już czasy Czaratoryjskiego, Czackiego, Drucko-Lubeckiego, Winniewickiego i In. wyrodków! Lud rosyjski już nie jest »bydłem« jak dawniej!

[...]

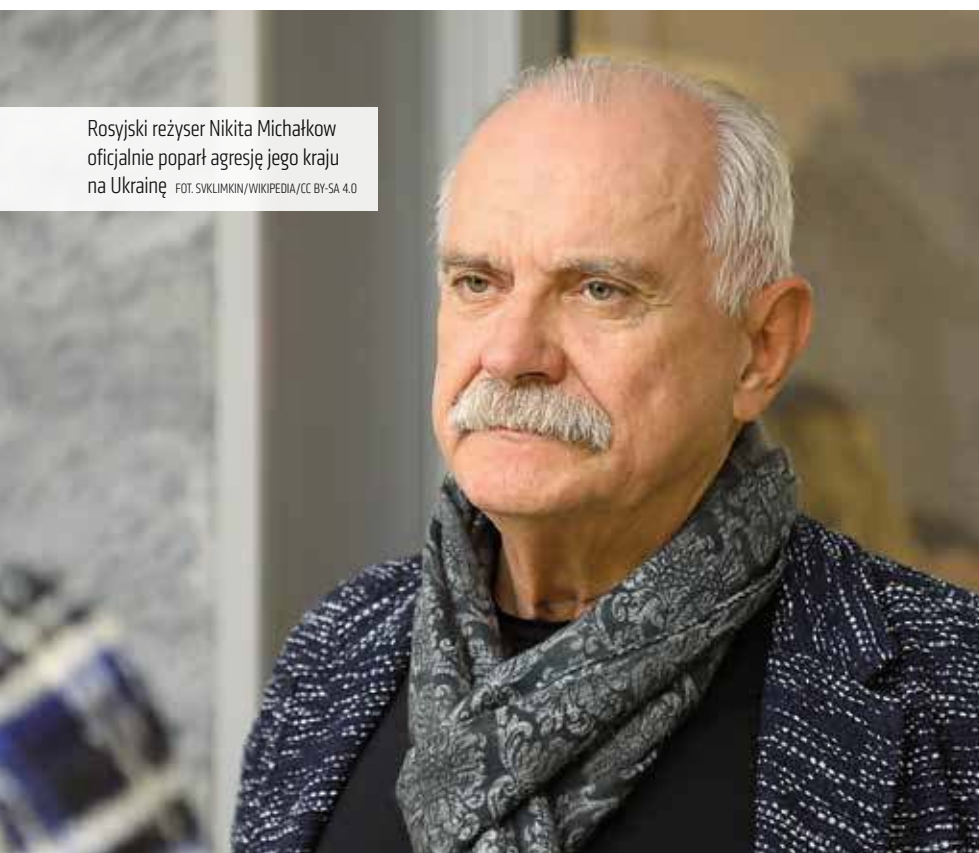
Drodzy bracia polacy, dawni rosjanie, lepiej przypomnijcie sobie waszą Ruś ojczystą, Ruś kniazia Włodzimierza, Olgi, Jarosława. Odżegnajcie się od tego, co narzucili wam królowie polscy z papieżem, Oleśnickim, Hozjuszem, jezuitami, oraz Niemcy, Austriacy i inni cudzoziemcy.

deliberować – kochana to siostrzyczka, ale niepełnosprawna umysłowo. Od takiego myślenia blisko do umieszczenia krewniaczki w psychuszcze. A że nie chce? A cóż ona może mieć do powiedzenia?

ODNA TY TAKAJA

Dlaczego cofam się tutaj do epoki Mikołajewskiej, ktoś powie, że niemal prehistorycznej? Dlatego, że cała rosyjska narracja oparta jest na kłamstwie. Tak jak łgano w żywe oczy, opowiadając o pięknej duszy rosyjskiego ludu, którym to ludem władza pogardzała jak nigdzie indziej, trzymając w pańszczyźnianej niewoli. Kłania się tutaj troista formuła ideologiczna panowania Mikołaja I „Prawosławie, samodzierżawie, ludowość” (przy czym to ostatnie – narodost’ – oznaczało i oleodrukową chłopskość,

Rosyjski reżyser Nikita Michalkow oficjalnie poparł agresję jego kraju na Ukrainę FOT. SVKLIMKIN/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0



■ Bądźcie znów rosjanami, gdyż powinniście nimi być!”

Autor odezwy był postacią obrzydliwą, to on z ławry Poczaiewskiej uczynił ośrodek skrajnego nacjonalizmu rosyjskiego nierozłącznie związanego z antykatołicyzmem, konsultując swoje poczynania z władzami w Petersburgu. Ale nie był żadnym wyjątkiem.

KPINA Z NIEWINNYCH OFIAR

W czasie wojny na Ukrainie bojkot kultury rosyjskiej wydaje się jak najbardziej uzasadniony, z czym jednak nie wszyscy się zgadzają. „Bojkot Puszkina czy Szostakowicza to absurd. Trzeba być stanowczym wobec rosyjskich żołnierzy, ale nie można występować przeciw rosyjskiej kulturze tylko dlatego, że jest rosyjska” – przekonuje choćby Michał Milczarek, autor książek m.in. o filozofii Nikołaja Fiodorowa i Wasilija Rozanowa, adiunkt na rusycystyce w Uniwersytecie Jagiellońskim, którego przemyslenia na ten temat „Newsweek” skwapliwie rozpowszechnia, opatrując je tytułem: „Minister Głiński robi Putinowi prezent. Kreml tylko czeka na takie deklaracje”.

Kreml to pewnie czeka najbardziej na redaktora naczelnego wyżej wymienionego tygodnika, za którym z całą pewnością tęskni wybitny przyjaciel Polski i Polaków, były rosyjski premier Dmitrij Miedwie-

diew, swego czasu wprowadzony w stan euforii rozmową z tak znakomitym znawcą duszy rosyjskiej, którym okazać się miał, jego zdaniem, redaktor Tomasz Lis.

Niemniej jednak problem nie jest do końca zero-jedynkowy, czego dowodzi niedawne zamieszanie wokół znanego re-

W czasie wojny na Ukrainie bojkot kultury rosyjskiej wydaje się uzasadniony, z czym jednak nie wszyscy się zgadzają

żysera ukraińskiego Siergieja Łoźnicy, twórcy m.in. pokazanego dwa tygodnie temu w TVP Kultura filmu „Donbas”. Ten znany realizator obrazów fabularnych i dokumentalnych („Majdan. Rewolucja godności”), od ponad 20 lat mieszkający na Zachodzie, już po kilku dniach wojny na Ukrainie, ostro reagując na list dyrektora Europejskiej Akademii Filmowej, wystąpił z teże akademii, tak uzasadniając swój krok:

„Kiedy wiosną 2014 r. aresztowano Ołeha Sencowa [przez pięć lat więzionego w Rosji za rzekomy terrorizm, czyli działalność na rzecz oswobodzenia Krymu – przyp. K.M.], napisaliście do władz

rosyjskich, prosząc o »uważne i uczciwe rozważenie tej sprawy«. Czy to naprawdę możliwe, że po ośmiu latach wojny nadal pozostajecie ślepi i nadal bełkoczenie o tym, że »codzienny wzrost napięcia ma wpływ na życie i zdrowie, morale i twórczą pracę filmowców«?

W swoim piśmie podajecie, że w waszych szeregach jest 61 ukraińskich członków. Cóż, na dzień dzisiejszy jest ich tylko 60. Nie potrzebujecie być »czujnym i pozostawać ze mną w kontakcie«, bardzo dziękuję. Lepiej »pozostańcie w kontakcie« z własnym sumieniem.

Od czterech dni z rządu armia rosyjska pustoszy ukraińskie miasta i wsie, mordując ukraińskich obywateli. Czy to naprawdę możliwe, że wy – humaniści, obrońcy praw człowieka i godności, orędownicy wolności i demokracji – boicie się nazwać wojnę wojną, potępić barbarzyństwo i wyrazić swój protest?”

Nie minęło wiele czasu, a Siergiej Łoźnica nie jest już i w innej Akademii Filmowej – Ukraińskiej. Został z niej usunięty formalnie, jak się zdaje, za udział w festiwalu rosyjskiego kina zorganizowanym we francuskim Nantes pod bardzo prowokującym hasłem „Od Lwowa do Uralu”. Łoźnica podkreśla jednak co innego, że oto jego ukraińscy koledzy obejmują ostracyzmem wszystkich rosyjskich twórców, tymczasem – jego zdaniem – tacy reżyserzy jak Aleksandr Sokurov, Kirił Sieriebriennikow czy Andriej Zwiagincew nie są putinowcami i od dawna kręcą filmy antyreżimowe. Nie miejsce tu, by spierać się o dorobek wyżej wymienionych, a tym bardziej go oceniać, ale warto zacytować innego jeszcze reżysera ukraińskiego, Tymura Jaszczenkę („U311 Czerkasy”): „Dziś rosyjską kulturę trzeba w całości bojkotować, bo to kultura terrorystycznego państwa faszystowskiego”.

Wzajemne wyzywanie się Ukraińców i Rosjan od faszystów nie ma sensu; reżim Putina jest zbrodniczy, gdyż rozpętał wojnę, która wyczerpuje wszystkie znamiona ludobójstwa. I już. Dlatego ze wszech miar uzasadnione jest zawieszenie przez nasze władze wszelkich, finansowanych przez państwo polskie kontaktów kulturalnych z Federacją Rosyjską. Jak również domaganie się, by Rosja została zawieszona w prawach członka organizacji międzynarodowych i pozarządowych o zasięgu światowym, działających w sferze kultury, co dotyczy przede wszystkim UNESCO. O tym, że rządzone przez Putina pań-

stwo nie powinno – jak było planowane – organizować najbliższej sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO, szkoda nawet mówić. Jeśli w czerwcu dojdzie do niej w Kazaniu, to będzie to – jak ujęło Muzeum Auschwitz – „kпина z niewinnych ukraińskich ofiar”.

W wywiadzie dla „Super Expressu” na pytanie, czy bojkot Rosji obejmować ma także rosyjską kulturę, a jeśli tak, to czy wykluczy on np. z książkowego obiegu Gogola czy Achmatową, a filmowego obrazy Tarkowskiego i Michałkowa, wicepremier minister kultury Piotr Glišński odpowiedział: „Akurat w przypadku Nikity Michałkowa żadnych wątpliwości nie ma. On wyraźnie poparł wojnę i Putina. Jeśli chodzi o przestrzeń publiczną i relacje międzynarodowe, to ta granica powinna być jednoznacznie postawiona: bojkot powinien być pełen. Oczywiście nikt nikomu nie będzie zabraniał czytania prywatnie, w domu, Achmatowej, Puszkina, rosyjskiej poezji, literatury czy słuchania muzyki. Jednak w przestrzeni publicznej powinniśmy się wstrzymywać od prezentowania rosyjskiej kultury. Takie jest też chyba oczekiwanie społeczeństwa. Wydaliliśmy, jako ministerstwo, rekomendację, że dopóki trwa wojna, dopóty powinniśmy zdecydowanie ochłodzić kontakt z rosyjską kulturą, także tą piękną, klasyczną”.

KREML W NIEBO ŚLE RAKIETY

Czasowe przynajmniej wyeliminowanie rosyjskości z obiegu kulturowego wszystkim zainteresowanym wydzie na dobre. I nie przesadzajmy z wyjątkowym znaczeniem rosyjskiej klasyki – we wszystkich dziedzinach sztuki! Już kilka pokoleń zostało zaczadzonych tym przeświadczeniem o rosyjskiej „wyjątkowości” rosyjskiej literatury, muzyki, teatru, ba, sztuk pięknych także, choć jako żywo w materii malarskiej nie byli nasi kapryśni sąsiedzi szczególnie uzdolnieni. Za to w piśmiennictwie, owszem, tyle że wielokrotnie antypolskiego Dostojewskiego czytaliśmy na klęczkach, a taką na przykład wojnę 1920 r. widzieliśmy wyłącznie przez pryzmat „Armii Konnej” Babła, jakby nie patrzeć – pisanej z wrogiej nam perspektywy.

Literatura sowiecka to już właściwie jedno wielkie pasmo nieszczęść, choć przecież nie wyrzuci się z pamięci Szołochowa, Majakowskiego, a nawet Simonowa. Ale co począć z dysydentami, na czele z Aleksandrem Solżenicynem, wielkim świadkiem epoki, a zarazem ro-

Nie przesadzajmy z wyjątkowym znaczeniem rosyjskiej klasyki – we wszystkich dziedzinach sztuki!

syjskim nacionalistą pełną gębą? Choć ten akurat na Polakach psów nie wieszał.

Literatura to także pieśni i piosenki. Marek Hłasko w „Pięknych dwudziestoletnich” roznamietniał się np. tak: „Szli przez szereg nocy i dni, śpiewając jedną i tę samą pieśń: o bohaterze Czapaiewie, który hulał po Uralu; nocami gwałcili, a wtedy ci, którzy trzymali za ręce szarpiącego się męża tej kobiety, mówili do niego uspokajająco i ze zdziwieniem: – Ty czewo bezpakoiszsia? Razoczek żonku pieriejebiom i dostateczno. – A ci idący na ulicy wciąż śpiewali o Czapaiewie i o tym, że dostali list pierwszego maja od swojej matki, która pyta, czy nie zabito go jeszcze. Mieli dużo dobrych pieśni; o tym, że gniew ich jest święty i pieni się jak fala; o tym, aby nie rozpaczały ich matki i życzyły im dobrej drogi, kiedy idą pod gwiazdami zwycięstwa; i o tym, że piją za ojczyznę i Stalina; a potem naleją po jeszcze jednym. I dopiero dzisiaj wiem, że Rosję można zrozumieć także poprzez śpiew; kłamią ich nędzne książki i głupie gazety; ale melodie prowadzące do

zwycięstwa są prawdziwe i w nich jest siła narodu; i prawda, że każdego żołnierza można pokonać, ale nie żołnierza rosyjskiego”.

Dziś widzimy jak na dłoni, że to gówno prawda.

Włodzimierz Wysocki był człowiekiem bez złudzeń, a zmysł satyryczny miał wyostrzony. Jego „Spotkanie w porcie” – w tłumaczeniu Jacka Kaczmarskiego – tak wyglądało:

*Po ichniemu nie rozumiem, on po ludzku też
Lecz jest wódka więc jest tłumacz przy niej
mów co chcesz*

*Postawiłem po sto gram niech Negr widzi że
gest mam
Jemu przecież w Ameryce ciężko jest*

*On tymczasem mówi – Stany Zjednoczone
To największe państwo z wszystkich świata
państw*

*W bankach złota ma zasoby niezliczone
Chcesz z nim zacząć to już nie masz żadnych
szans*

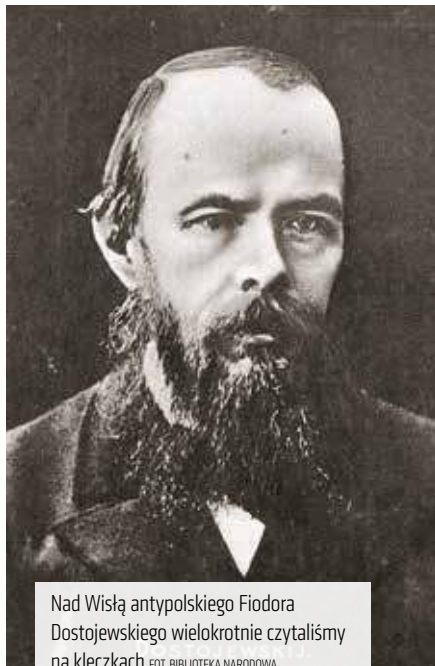
*A ja na to – Kreml w niebo śle rakiety
Bez wysiłku wielkich rzek zawraca bieg
Żal mi ciebie lecz niestety
Również trudny kunszt baletu
Najlepiej posiadł on na planecie tej*

*Przyszło potem po gram dwieście do rozmowy
chęć
Wyjaśnił mi że jest ofiarą klasowych śpięć
Lecz Murzyna marynarski umysł wciąż
w ciemnościach trwał
I na światły wywód mój odpowiedź dał*

*– U nas jest na głowę po dwa samochody
Zbudowaliśmy największy świata gmach
Nasza demokracja daje nam swobody
Których oczekuje cały świat we łzach*

*A ja na to – my w niebo ślem rakiety
Bez wysiłku wielkich rzek cofamy bieg
Żal mi ciebie lecz niestety
Również trudny kunszt baletu
Najlepiej posiedliśmy na planecie tej.*

Co nieco się zmieniło od tamtego czasu. Po Związku Radzieckim, przynajmniej formalnie, niewiele zostało, czarnoskórych nie nazywa się Murzynami, bo to mocno niepoprawne politycznie, ale po staremu w dziedzinie baletu Rosjanie przodują. Tak jak w tyżwiarstwie figurowym i sztuce cyrkowej. A już bezkonkurencyjni są w sztuce kłamstwa. Ach, ten Buratino ze swoim długim nosem! Wróć: Pinokio.



Nad Wisłą antypolskiego Fiodora Dostojewskiego wielokrotnie czytaliśmy na klęczkach. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Piotr Gociek

Jak zmieniła się rozrywka dzięki rozwojowi serwisów streamingowych? Oto siedem zjawisk, które definiują na nowo sposób konsumpcji filmów i seriali

Sprawa poważna – nie lekceważyć jej: czytam uważnie newslettery przesyłane przez Internet The Movie Database wyliczające co miesiąc nadchodzące atrakcje. Bywają takie, w których znajduje się niemal sto premier (zarówno seriali, programów i filmów premierowych, jak i nowych sezonów już znanych tytułów). To w USA. Polski rynek jeszcze nie jest tak nasyceny, ale konkurencja rośnie.

HBO Max już wystartował, za dwa miesiące rusza w Polsce serwis Disney+, Netflix się broni, Canal+ wreszcie stawia na Internet, Apple TV+ oferuje polskie wersje językowe, podobnie jak Amazon Prime. Swoje serwisy rozwijają gracze, którzy zbudowali potęgę na tradycyjnej telewizji, TVN inwestuje w serwis Player, Polsat ma Polsat Box Go. Jeszcze nie tym roku do wyścigu o uwagę (i pieniądze) widzów nad Wisłą ma dołączyć brytyjski mocarz SkyShowtime, dystrybuujący m.in. produkcje serwisu Paramount+ (na razie niektóre z nich trafiają do Amazon Prime, pewnie się to zmieni).

O tym, co oglądamy, można pisać wielotomowe analizy, ważniejsze jednak jest to, jak oglądamy. Życie dzisiejszego widza filmów i seriali różni się mocno od tego, które wiodło pokolenie jego rodziców. Streaming zmienia zarówno sposób odbioru, jak i produkcji masowej rozrywki. Przyjrzyjmy się, w jaki sposób.

CZAS ZACHŁANNYCH POŻERACZY

Twórcy Collins English Dictionary w roku 2015 za słowo roku uznali termin „binge-watching”. Termin ten nie poddaje się łatwemu przełożeniu na język polski, ale wiemy, o co chodzi – o oglądanie kilku odcinków serialu kolejno (czasem całych sezonów za jednym zamachem). Zjawisko wcześniej znane głównie grupom fanów, którzy zwoływali się na maratony wideo swoich ulubionych serii filmowych, naraz stało się obyczajem powszechnym. De-

Życie w kawałkach



FOU ADDBESTOCK

cydujący był nie tyle sam fakt pojawienia się serwisów streamingowych, ile nowa praktyka prezentowania od razu całych sezonów nowych produkcji.

CZAS NIEUSTANNEGO KONTAKTU

Nie tylko potrafimy (i często lubimy) bez zbędnych przerw oglądać kompletne sezony ukochanych produkcji serialowych, lecz także jeszcze przestaliśmy być niewolnikami ustawionego w centralnym miejscu salonu telewizora. Najpierw jego dominację przełamały domowe pecety

i laptopy, potem przyszedł czas smartfonów. Dzięki aplikacjom w telefonie możemy oglądać ulubione produkcje w podróży (nawet gdy Internetu brak, bo można wcześniej załadować do aplikacji wybrane tytuły). Dzięki wprowadzeniu przez dystrybutorów możliwości logowania się na różnych urządzeniach nawet w odległym kraju na wakacjach możemy wpisać swoje hasło do aplikacji w lokalnym telewizorze i nie tracić kontaktu z dostawcą domowej rozrywki. Jedyna niedogodność jest taka, że w niektórych miejscach

niektóre produkcje nie będą dostępne. Te regionalne ograniczenia są zwykle spowodowane długoterminowymi umowami podpisanymi na dystrybucję popularnych seriali z tradycyjnymi stacjami TV z rynków lokalnych.

CZAS ZŁUDZENIA OBFITOŚCI

Jest tego mnóstwo, ale jakże rzadko znajdujemy coś dla siebie – znacie na pewno to uczucie. Z pomocą przychodzą algorytmy serwisów, które próbują podpowiadać nam kolejne tytuły do obejrzenia – zarówno na podstawie naszych wcześniejszych wyborów, jak i wiedzy o tym, co oglądali inni użytkownicy (oraz oczywiście bieżącej polityki serwisu, bo gdy pojawia się kosztowna premiera, to bądź pewien, że wyskoczy ci w pierwszej kolejce do oglądania niezależnie od twoich osobistych preferencji). W efekcie zamiast pływać w oceanie obfitości, czę-

bardzo precyzyjnie targetować kolejne produkcje, tu można liczyć na długie życie filmu czy serialu. Tu odnajdzie się fanów literackiego oryginału, którzy książki lubią, ale nie na tyle, żeby iść do kina i wydać pieniądze na bilet. Za to kiedy ekranizację dostaną w domu, na ekran telewizora czy komputera, w ramach abonamentu, to oczywiście chętnie skorzystają.

CZAS POMIDOROWEJ I HAMBURGERA

Jak dla wszystkich, to dla wszystkich. W domu korzystającymi z abonamentu serwisu streamingowego (lub kilku konkurencyjnych) są dzieci, подростки, nastolatki, rodzice, dziadkowie. Każdy musi coś dostać, więc młyny produkcyjne miały bez przerwy i wypływają materiały na każdy rodzaj wypieków. W tradycyjnej telewizji przez ostatnie dekady królowało hasło „kanał tematyczny”, dziś w streamingu propozycje, które mogłyby trafić do rozmaitych kanałów tematycznych, trafiają do jednego zbiornika. Film kinowy, serial, dokument true crime, dokument przyrodniczy, dokument historyczny, nawet reality show (ta ostatnia praktyka w Polsce na razie nie jest zbyt rozpowszechniona, ale w USA jest normą), animacja dla małych i dużych, koncerty znanych artystów. W streamingu można pokazać więcej niż w otwartej telewizji, stał się więc również domem niezliczonych występów komików specjalizujących się w monologach okraszanych grubymi słowami.

Ostatecznie króluje efekt uśredniania, choć wiele zależy od polityki serwisu. Netflix jest idealnym przykładem streamingowego fast foodu – przyjmą tu niemal każdy produkt, zwłaszcza kiedy jest niezbyt wymagający. Każdy lubi hamburgery albo pomidorową, więc to właśnie dostanie. Efekt nasila się w czasie – proszę sobie przypomnieć czasy, kiedy Netflix kojarzył się z fenomenem „House of Cards”. Dziś królują strefy średnie stanów średnich. A jako że Netflix to przede wszystkim wielki inwestor w produkcje własne, oryginalne, można zaryzykować twierdzenie, że z biegiem czasu ma coraz gorsze mniemanie o swoich użytkownikach. A pieniądź gorszy wypiera lepszy.

CZAS NOWEJ SEGREGACJI

Wielki wspólny świat rozrywki? Zapomnijcie o tym, weszliśmy w czasy nowej segregacji. Każdy serwis streamingowy buduje swoją pozycję na propozycjach,

które może reklamować jako dostępne na wyłączność. Powstają więc wielkie bańki osobnych imperiów rozrywki. Masz HBO Max? Obejrzysz „Grę o tron” czy świeżutkie premiery serwisu, ale nie zobaczysz żadnych „Gwiezdných wojen”. Masz Disney+? Dostaniesz wszystkie filmy i seriale ze świata „Gwiezdných wojen” czy uniwersum Marvela, ale nigdy nie obejrzysz „Wiedźmina”. Masz Netflix? Witaj się z Wiedźminem, ale zapomnij na wieki o Jamesie Bondzie. I tak dalej. Ktoś powie, że tak było zawsze, bo kanały telewizyjne (zwłaszcza te premium, płatne kablówki itp.) zazdrośnie strzegły swoich zasobów. Tak, ale oprócz nich istniał wspólny rynek home video (najpierw kaset, potem DVD i wreszcie Blu-ray) i przed czy później owe seriale czy filmy do niego trafiały. Tam mógł je kupić klient, który nie miał w domu wykupionego dostępu do żadnego z serwisów premium. Teraz to się zmieniło – największe serialowe streamingowe premiery ostatnich lat nie trafiły na DVD i zapewne nie trafią, bo byłoby to lekkomyślne pozbycie się tych elementów, które decydują o wyjątkowości serwisu. I tak jak w mediach społecznościowych użytkownicy coraz bardziej zamykają się w swoich bańkach, tak i klienci streamingu separują się od siebie coraz bardziej, chyba że stać ich na abonamencie usług wszystkich istotnych graczy.

CZAS PRÓBY NISZCZĄCEJ

Nadchodzi czas próby i może to być próba o charakterze niszczącym. Przedsmakiem jest to, co dzieje się na rynku praw do transmisji sportowych. Jest poszatkowany tak bardzo, że np. kibic futbolu chcący śledzić rozmaite rozgrywki ligowe i pucharowe musi kupić kilka różnych abonamentów (i nawet w Polsce wydać sto kilkadziesiąt złotych miesięcznie). A co z innymi sportami? Zwykle taka segregacja prowadzi do selekcji negatywnej, najślabi odpadają, ich kawałek rynku przejmują potentaci. Na razie rynek transmisji sportowych się dzieli, podobnie jak rynek streamingu, ale nie będzie to trwało wiecznie. Gdy najmniejsi odpadną, nadejdą czasy oligopolu, być może na niektórych rynkach nawet monopolu. Tak czy inaczej wkroczyliśmy już w czasy próby niszczącej dla naszych portfeli. Głód nowości zawsze był kosztowny – teraz przekonujemy się o tym, siedząc na kanapie przed coraz większym małym ekranem.

Tak jak użytkownicy social mediów coraz bardziej zamykają się w swych bańkach, tak i klienci streamingu coraz bardziej separują się od siebie

sto trafiamy do coraz mniejszego pokoju projekcyjnego, którego ściany dekorowane są przez właściciela, a nie przez nas. To tak, jakbyśmy dostali kartę biblioteczną, ale wypożyczali jedynie te książki, które akurat leżą na ladzie bibliotekarki, bo zostały akurat oddane przez innych użytkowników biblioteki.

CZAS NOWEJ OPŁACALNOŚCI

Przykładów jest wiele, wskażę pierwszy z brzegu. W roku 2011 do kin trafiła ekranizacja powieści kryminalnej Michaela Connelly’ego „Prawnik z Lincolna”. Okazała się umiarkowanym sukcesem, nie na tyle jednak, by doczekać kontynuacji, czyli filmów wedle innych powieści z tym samym bohaterem. Za kilkanaście dni do Netflix trafi pierwszy sezon serialu pod tym samym tytułem, ale w innej obsadzie. To, co nieopłacalne w przypadku produkcji kinowych (gdzie coraz bardziej liczą się tylko blockbustery w stylu Marvela), to, co ryzykowne w tradycyjnej telewizji (czy aby nie za wysmakowane), jest opłacalne w świecie streamingu. Tu dzięki wiedzy o przyzwyczajeniach odbiorcy można

12

Kadr z filmu „Andrzej Korzyński. Zagubiony diament” FOT. TVP

Odnaleziony diament



Grzegorz Brzozowicz

W Wielkanoc, w wieku 82 lat, zmarł Andrzej Korzyński, jeden z najwszechstronniejszych polskich kompozytorów. Zany przede wszystkim jako autor muzyki filmowej, a także twórca przebojów Piotra Szczepanika, Czesława Niemena czy Maryli Rodowicz. To on stworzył postać Franka Kimono i dziecięce hity o przygodach Pana Kleksa

We wrześniu 2013 r. wszedłem do olbrzymiego sklepu muzycznego HMV przy Oxford Street w Londynie. Ku memu zaskoczeniu w centralnym miejscu stał wyeksponowany stojak z albumami winylowymi Andrzeja Korzyńskiego. Nazwisko było mi znane, ale nie kojarzyłem dzieł artysty. Po przyjrzeniu się okładkom dowiedziałem się, że jest to autor muzyki do filmów Andrzeja Żuławskiego i Andrzeja Wajdy.

Te pięć luksusowo oprawionych albumów wydała wytwórnia Finders Keepers założona przez Andy'ego Votela, cenionego angielskiego didżeja i twórcę muzyki elektronicznej. Na okładce płyty „Tajemnica Enigmy” znalazłem zdanie: „One of the most enigmatic composers in 60s/70s/80s european cinema”. W dołączonej do kompaktu książeczce przeczytałem historię kariery polskiego kompozytora. Nie miałem wątpliwości, że to temat na film dokumentalny.

Twórczością Korzyńskiego zainteresował Votela inny Anglik – Daniel Bird, pasjonat kina, zauroczony filmami Waleriana Borowczyka i Andrzeja Żuławskiego. Z jego inicjatywy odbyły się retrospekcje obu twórców w Paryżu i Nowym Jorku. Korzyński skomponował ścieżki dźwiękowe do 10 filmów drugiego z reżyserów. Votel, oglądając „Diabła”, zachwycił się muzyką i zapragnął ją wydać na płycie. Skontaktował się z Korzyńskim, ale okazało się, że taśmy zaginęły. Kompozytor miał natomiast niepublikowane nagrania do horroru „Opętanie”. Wydana na całym świecie w 2012 r., czyli 31 lat po premierze filmu, płyta stała się muzycznym wydarzeniem. Votel poszedł za ciosem i opublikował kolejne płyty. Zmiksował też instrumentalne fragmenty ścieżki do przygód Pana Kleksa i stworzył multimedialny performance „Kleksplotation”, z którym występował na trzech kontynentach.

Skąd przywiązanie Żuławskiego do Korzyńskiego? Ano z dzieciństwa. W piątej klasie podstawówki ławka szkolna

połączyła dwóch Andrzejów. Korzyński ukończył Akademię Muzyczną w Warszawie. Żuławski filmówkę w Paryżu. Jeszcze przed studiami, podczas wakacji, koledzy poznali wówczas 13-letnią Sylwię. Zauroczyła przyszłego kompozytora i została jego żoną na całe życie.

MŁODZIEŻOWE STUDIO RYTM

Korzyńskiemu nie było dane zostać wirtuozem fortepianu, mimo że obronił dyplom i pobierał lekcje u słynnej Nadii Boulanger. W połowie lat 60. w prawej dłoni pianisty wybuchła noworoczna petarda – uszkodziła opuszki dwóch palców. Udało się je zszyć, ale o karierze pianisty nie było już mowy.

W 1965 r. 25-letni kompozytor poślubił Sylwię. Jej ojciec, Włodzimierz Sokorski, był szefem Radiokomitetu. Magia jego nazwiska pomogła Korzyńskiemu w utworzeniu, przy Programie Pierwszym Polskiego Radia, Młodzieżowego Studia Rytm. W ciągu ośmiu lat istnienia kierowane przez muzyka oraz Mateusza Świącickiego i Witolda Pogranicznego studio zarejestrowało ponad 1,3 tys. piosenek wykonawców bigbitowych od Niebiesko-Czarnych do Marka Grechuty. Korzyński komponuje w tym czasie piosenki dla Violetty Villas, Alibabek, Niemena i zespołów Trubadurzy oraz ABC. Największe sukcesy odnosi jednak, współpracując z Piotrem Szczepanikiem, dla którego pisze wielkie przeboje „Żółte kalendarze” oraz „Kochać”. Partyjna „Trybuna Ludu” sugeruje nawet zakaz grania „Żółtych kalendarzy”, gdyż prezentowana przez zakładowe radiowęzły piosenka powoduje przestoje w pracy.

Sukces kumpla doprowadził Żuławskiego do szału, bo uznał za niesprawiedliwe, że przyjaciel tak szybko zrobił karierę. Aby odciągnąć go od estrady, zaproponował mu napisanie muzyki do dwóch

Mimo popularności obrazów z muzyką Korzyńskiego w Polsce Ludowej **ukazała się tylko jedna płyta z jego filmowymi tematami**

filmów telewizyjnych opartych na prozie Żeromskiego i Turgeniewa. Następnie zabrał Korzyńskiego do Francji, gdzie montował film „Le Grabuge”, do którego zabrakło 20 minut muzyki. Nagrania polskiego kompozytora tak się spodobały, że współpracę zaproponował mu europejski oddział wytwórni Warner Bros. Korzyński przeniósł się do Rzymu. No i zarabiał niemało w dolarach, których nie przelał na konto polskiego banku. Ministerstwo Finansów uznało to za przestępstwo dewizowe i wyznaczyło mu grzywnę w wysokości 120 tys. zł. Władze zablokowały paszport kompozytora na trzy lata, przekreślając jego marzenia o Hollywood.

Na szczęście w Polsce Korzyński miał już ugruntowaną pozycję za sprawą współpracy z Andrzejem Wajdą przy filmach „Wszystko na sprzedaż” i „Polowanie na muchy”. Z mistrzem zrealizuje jeszcze pięć filmów, w tym tak głośne jak: „Brzezina”, „Człowiek z marmuru” i „Człowiek z żelaza”. Andrzej napisze ścieżkę dźwiękową do ponad stu filmów, w tym kinowych przebojów: „W pustyni i puszcy”, „Nie ma mocnych”, „Kochaj albo rzuć”, „Motyle” czy „Wielki Szu” oraz dziesiątków seriali (m.in. „07 zgłoś się”, „Tajemnica Enigmy”, „Janka”). Nie tylko jest szalenie sprawnym i sumiennym kompozytorem, lecz także odnajduje się praktycznie we wszystkich stylizacjach muzycznych. Tworzy nie tylko w Polsce, lecz także w Bułgarii i ZSRS. Na

długo zagości na ekranach w NRD, gdzie będzie przez lata współpracował z reżyserem Celino Bleiweissem. Wspólnie zrealizują ponad 10 filmów. Współpracę będą kontynuowali również po ucieczce Bleiweissa do Niemiec Zachodnich. Tam powstanie serial „Anna Maria”, który będzie miał 27 odcinków, a każdy z nich obejrzy ponad 10 mln widzów. Mimo wielkiej popularności obrazów z muzyką Korzyńskiego w Polsce Ludowej ukazała się tylko jedna płyta długogrająca z jego filmowymi tematami. Było to w 1972 r. Na kolejne polskie filmowe albumy trzeba było czekać ponad 40 lat!

EKSPERYMENTALNY OKRES TWÓRCZOŚCI

W latach 70. i 80. kompozytor jako jeden z pierwszych w naszym kraju eksperymentował z instrumentami elektronicznymi oraz preparował dźwięki w studiu nagraniowym, wykorzystując różne prędkości odtwarzania taśm. Andy Votel ceni przede wszystkim właśnie ten eksperymentalny okres twórczości Korzyńskiego.

„Kiedy po raz pierwszy słuchałem jego nagrań, poczułem się jak podczas najlepszych świąt Bożego Narodzenia” – opowiadał mi Andy Votel. „Otwierałem setki pudełek, a tam w każdym z nich był inny rodzaj muzyki od mrocznego krautrocka, przez zmutowane disco i electro, do hip-hopowych instrumentalni. Wyglądało na to, że to on nieświadomie wynalazł acid house, bo wczesne elementy tego gatunku znajdziemy w »Panu Kleksie w kosmosie«”.

W latach 80. Korzyński ponownie zaczął odnosić wielkie sukcesy dzięki pisaniu piosenek. Dotarł z nimi do całkiem nowych odbiorców. Było to za sprawą serii płyt o przygodach Pana Kleksa oraz

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





Andrzej Żuławski (reżyser) z Andrzejem Korzyńskim, ok. 1959 r. FOT.TVP

albumu, na którym wykreował postać dyskotekowego bramkarza Franka Kimono. Ostatnia z płyt rozeszła się w ponad 400-tysięcznym nakładzie.

„Ten gość miał rację w tym, co głosił. W jaki sposób funkcjonował” – tłumaczył mi Piotr Fronczewski, który wcielił się we Franka Kimono. „Miał wdzięk. To było w tekście, to nie był mój wdzięk. On był czarujący, rozumiały dla wszystkich i przez to budził sympatię”.

Trzeci niebawmy sukces zdarzył się przez przypadek i wbrew intencjom twórców. W 1991 r. Korzyński zaproponował Markowi Kondratowi nagranie kilku piosenek, w których wspólnie pośmialiby się z czasu transformacji. W tekście piosenki „Mydełko Fa” Korzyński szydził z nieporadnych, głupawych polskich reklam. Tym razem muzykę napisał 17-letni syn kompozytora, Mikołaj, który użył do aranżacji najprostszych klawiszy, by mocniej podkreślić wieśniacki charakter reklamy mydełka Fa. Muzyczny żart błyskawicznie trafił pod strzechy, stając się na lata weselnym standardem. W ten sposób zrodził się nowy kierunek muzyczny zwany początkowo muzyką chodnikową, a obecnie znany jest jako disco polo.

Niestety, pod względem zawodowym następne lata nie będą dla Korzyńskiego udane. Otrzymywał mniej ofert, a filmy, do których pisał muzykę, nie odnosiły sukcesów. Dotyczyło to również obrazów realizowanych zarówno przez Żuławskiego („Szamanka”, „Wierność”), jak i Wajdę („Panna Nikt”). Również czwarta część opowieści o Panu Kleksie („Triumf Pana

Kleksa”) przejdzie raczej niezauważona. Andrzej nie należał do osób, które zabiegałyby o poklask i miały parcie na szkło. Może dlatego, że nie rozpychał się w środowisku filmowym, za swoją muzykę otrzymał tylko jedną nagrodę. W 1977 r. uhonorowano go na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych za soundtrack do zapomnianego już dziś obrazu „Czerwone ciernie”. Tak naprawdę powinien dostać nagrodę na tym festiwalu za muzykę do „Człowieka z marmuru”, tylko akurat ten film nie miał prawa być uhonorowany żadną statuetką. Mało kto kojarzy, że pojawiająca się w „Człowieku z żelaza” słynna „Ballada o Janku Wiśniewskim” jest śpiewana na inną melodię niż oryginalna pieśń stoczniovców.

„Muzyka była na jednej nucie – powiedział mi Andrzej. – Trzeba było coś z tym zrobić, bo w oryginalnej wersji ballada nie wywołałaby żadnych emocji. Dlatego Wajda poprosił mnie o napisanie nowej muzyki”.

W 1981 r. ukazuje się płyta z muzyką do „Człowieka z żelaza”, tyle że została ona wydana nie w Polsce, lecz we Francji pod tytułem „L'Homme de fer – Wajda”.

„Siłą muzyki Andrzeja Korzyńskiego – tłumaczył mi Andrzej Żuławski – jest to, że znajdziemy w niej połączenie dzikich gitar ze wzruszającymi, lirycznymi tematami. A kino to są te dwa żywioły: energia, akcja i liryzm. Andrzej ma w sobie zdumiewające połączenie obu tych cech. To jest jeden z nielicznych na świecie kompozytorów, którzy są stworzeni do robienia muzyki filmowej. On ma tę całą

muzykę w sobie. To jest ogromny talent, a czy ten talent był wykorzystywany i uzyskał pełnię swoich możliwości czy nie... Ale o kim z nas można tak powiedzieć”.

ZAGRANICZNY SUKCES

Gdyby nie dwóch Anglików – Votel i Bird – może dziś twórczość Andrzeja Korzyńskiego byłaby zapomniana. Na szczęście zagraniczny sukces płyt wydanych początkowo w Wielkiej Brytanii, a później nawet w Nowej Zelandii odbił się echem w polskiej prasie muzycznej. Michał Wilczyński, szef kwartalnika „Lizard”, w 2010 r. założył GAD Records. Jak dotąd wydał ponad 200 płyt, głównie z archiwalnymi, niepublikowanymi wcześniej nagraniami polskich artystów. W 2014 r. wznowił album formacji elektronicznej Korzyńskiego, Arp Life, znanej z muzyki do „Człowieka z marmuru”. Obecnie w katalogu firmy znajduje się 17 płyt z nagraniami Korzyńskiego. I może najważniejsze – Wilczyński odnalazł w archiwach Wrocławskiej Wytwórni Filmowej taśmy z muzyką do filmu „Diabeł”.

W ciągu ostatnich 10 lat koncert Sony wydał tylko dwie płyty z muzyką Korzyńskiego, a Warner Music żadnej, mimo że po przejęciu katalogu Polskich Nagrań wytwórnia posiada wiele nagrań Korzyńskiego z lat 60. i 70.

18 lutego 2016 r. wraz z Andrzejem Korzyńskim i operatorem Andrzejem Jaroszewiczem polecałem do Nowego Jorku. Tam w prestiżowym Lincoln Center, dzięki staraniom Daniela Birda, odbył się drugi amerykański przegląd filmów Andrzeja Żuławskiego. Reżyser jeszcze jesienią poinformował organizatorów, że ze względu na stan zdrowia nie przyjedzie. Traf chciał, że Żuławski zmarł dzień przed naszym wyłotem.

Pół roku później miała miejsce premiera mojego filmu dokumentalnego o Andrzeju Korzyńskim „Zagubiony diament”. Po niej odbyłem z kompozytorem wiele spotkań w całej Polsce i poleciliśmy na festiwal do Norwegii. Nasza znajomość przerodziła się w przyjaźń, którą zawsze będę wspominał jako jedno z najważniejszych doświadczeń w moim życiu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Film „Andrzej Korzyński. Zagubiony diament” można zobaczyć na stronie vod.tvp.pl pod linkiem: <https://vod.tvp.pl/website/zagubiony-diamant-andrzej-korzyński,28767361>.

Najlepszy prezent na Pierwszą Komunię Świętą



- ❖ Dziewiętnastowieczne ryciny
- ❖ Ekskluzywne wydanie w bordowej oprawie ze złoceniami
- ❖ Możliwość zakupu Biblii z dodatkową osobistą dedykacją
- ❖ Obwoluta komunijna, w środku kronika rodzinna

KOD RABATOWY: DO RZECZY 2022
• **DARMOWA DOSTAWA** + 10% rabatu na wydawnictwom.pl
• kod rabatowy ważny do 15 maja*



**STWORZONA
PRZEZ RYSOWNIKA
MARVEL STUDIOS
I DC COMICS**

JEDYNA BIBLIA
W FORMIE KOMIKSU
POSIADAJĄCA IMPRIMATUR
832 STRONY
NOWOCZESNEGO
PRZEKAZU SŁOWA
BOŻEGO



*Kod rabatowy upoważnia do darmowej wysyłki i 10% zniżki przy zakupie produktów: Biblia domowa z obwolutą komunijną, Biblia domowa z obwolutą komunijną z dedykacją, Biblia komiks wydanie II poszerzone, Biblia komiks wydanie II poszerzone z dedykacją. Do wykorzystania na stronie wydawnictwom.pl. Promocje nie łączą się.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBOmax

Batman. Dorastanie



★★★★★
REŻ. MATT REEVES
„BATMAN”
(„THE BATMAN”)
USA 2022

wyst. Robert Pattinson, Zoe Kravitz, Jeffrey Wright

Podobnie jak „Joker” Todda Philipsa, tak i nowy „Batman” udaje kino lat 70. XX w. „Joker” czerpał z dorobku Martina Scorsese, „Batman” przypomina „Francuskiego łącznika” czy „Serpico”. Główny bohater stawia dopiero pierwsze kroki w fachu mrocznego mściciela. Działa w Gotham od dwóch lat, traktowany jest bardziej jak dziwak niż legenda. Zresztą tak wygląda – jakby uciekł z konkursu Eurowizji.

Reżyser Matt Reeves (znany m.in. z „Projekt: Monster” i odświeżonego cyklu „Planeta małp”) zapowiadał bardziej kryminał niż film o superbohaterach i superłotrach. Słowa dotrzymał, mowa tu głównie o relacjach przestępczego podziemia Gotham oraz jego klasy politycznej. I znów, podobnie jak w „Jokerze”, oskarżonym jest

„system, który nie działa”. A winnymi biali, uprzywilejowani, bogaci (wysłuchajcie się w jeden z monologów Seliny Kyle granej przez Zoe Kravitz), nieważne, czy w ratuszu albo policji czy w nocnych klubach gangsterów. Tę stajnię Augiasza zamierza oczyścić Riddler (Paul Dano), żywiący głęboką osobistą urazę do świata, bo także pochodzący z grona skrzywdzonych, poniżonych i zapomnianych.

Skoro o aktorach: Robert Pattinson jako Batman/Bruce Wayne jest trochę zbuntowanym nastolatkiem (choć starszym niż ten z serialu „Gotham” i oczywiście liczącym więcej niż naście lat). Niektórzy piszą, że charyzmatyczny, mniej się zdaje manieryczny. Przycmili go starsi koledzy po fachu: John Turturro jako mafioso Carmine Falcone, Colin Farrell jako Oswald Cobblepot/Pingwin.

Komisarzem Jimem Gordonem tym razem został Jeffrey Wright. Pamięamy go z „Westworld”. Także muzyka Michaela Giacchino momentami mocno przypomina ów serial.

Film Reevesa to opowieść o tym, że zemsta prowadzi jedynie do eskalacji przemocy. Lekcję tę młody Batman musi poznać i sobie przyswoić. Dorastanie (a właściwie dorośnięcie) Bruce’a Wayne’a nie obejmuje jednak jego poglądów na zepsute Gotham: wciąż uważa, że to siedlisko zła można uratować. W planach są bowiem kolejne dwa filmy oraz kilka seriali z nowego uniwersum Mrocznego Rycerza. Przyjmując te zapowiedzi z umiarkowanym entuzjazmem, w nowej wersji postać Batmana gubi gdzieś intrygującą dwuznaczność i tajemnicę, a pozostaje uzbrojony w gadżety Strażak Sam. ©

NOWE SEZONY: „ZADZWOŃ DO SAULA”

Szósty i ostatni sezon znakomitego serialu Vince’a Gilligana podzielony został na dwie części. Pierwszych siedem odcinków już trafia do Netflix (w tygodniowych odstępach), na kolejne sześć będzie trzeba czekać do lipca i sierpnia. Śliski, acz wciąż posiadający ludzkie odruchy i serce prawnik Saul Goodman próbuje wywikłać się z wojny

narkotykowych karteli, jednocześnie wraz z żoną szykuje grubą przekręt – śledząc jego drogę do piekła, pamiętajmy, że czeka nas także wyjaśnienie tajemnicy jego życia już po zakończeniu kryminalnej kariery. ©

Piotr Gociek

• sezon 6 „Zadzwoń do Saula”, („Better Call Saul”), USA 2022, Netflix

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 3 „Barry”, USA 2022

HBOmax

• sezon 1 „Zachowaj spokój”, Polska 2022

• sezon 1 „Ryk” („Roar”), USA 2022

apple tv+

Pół żartem, pół serio KINO

Któż lepiej sparodiuje Nicolasa Cage'a niż sam Cage? Gwiazdor „Skarbu narodów” leci na Majorkę, ale nie na wycieczkę śladami Chopina, lecz do pracy. Zniechęcony do aktorstwa, skompromitowany w oczach córki i byłej żony tudzież zadłużony po uszy przyjął propozycję spędzenia weekendu z fanem, opiewającą na okrągły milion dolarów. Na miejscu okazuje się, że nuda mu nie grozi. Gospodarza (kolejna dobra rola Pedra Pascala) mają na oku agenci CIA, zwalczający pokątny handel bronią. Cage, instruowany przez swoje, niewidzialne dla innych, młodzieńcze wcielenie, wreszcie może udowodnić, że pozory mylą, czerep rubaszny skrywa duszę anielską, a kłamaż do paska ozdobiona wizerun-



★★★★★
REŻ. TOM GORMICAN
„NIEZNOŚNY CIĘŻAR TALENTU”
USA 2022

wyst. Nicolas Cage,
Pedro Pascal,
Sharon Horgan

kiem tarantuli wyraża jego osobowość. Autoironia czy jednak narcyzm?

Bolesna konfrontacja aktora bufona z realiami – to temat stary jak kino. Niedawno eksploatował go z powodzeniem Daniel Brühl („Jedenaste: znaj sąsiada swego”). Cage – a raczej jego scenarzyści – próbują być jeszcze bardziej przewrotni. Pogrywają wizerunkiem gwiazdora produkcji klasy B, etatowego pretendenta do Złotych Malin, ignorując to, że bratanek Coppoli zaliczył sporo występów „w poważnych filmach dla dorosłych ludzi”. Gdyby najlepszych dowcipów nie umieszczono w zwiastunie i przepracowano by sceny końcowe, byłoby jeszcze śmieszniej. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GASNĄCE GWIAZDY

HBOmax



★★★★★
REŻ. ALEXIS BLOOM, FISHER STEVENS
„CARRIE FISHER I DEBBIE REYNOLDS PRYWATNIE”
(„BRIGHT LIGHTS: STARRING CARRIE FISHER AND DEBBIE REYNOLDS”) USA 2016

Pierwsza zmarła córka, dzień po niej matka. Dokument, który miał pokazać konsolidację rodziny, stał się epitafium dla księżniczki z „Gwiezdnych wojen” i aktoreczki z „Deszczowej piosenki”. Debbie Reynolds i Carrie Fisher pod koniec życia były nierozłączne, mieszkaly w sąsiednich domach. Wcześniej różnie między nimi bywało. Nie znały innego życia niż hollywoodzkie. Ojciec Carrie uciekł w objęcia Elizabeth Taylor i w narkotyki, ojczym okazał się hazardzistą i pijakiem. Historię własnego upadku opowiedziała w „Pocztówkach znad krawędzi”. Tarczą obu pań (i odtrutką na nostalgię) jest autoironia, którą praktykuje również producent filmu Todd Fisher (zbieżność nazwisk nieprzypadkowa). 87-lletnia Debbie goni resztkami sił, wyprzedaje pamiątki, ale nie chce zejść ze sceny. Carrie narzeka, że producenci kosmicznej sagi zmuszają ją do diety i gimnastyki. Nie wiedzą, że za chwilę opadnie kurtyna.

STARRING CARRIE FISHER AND DEBBIE REYNOLDS”) USA 2016

WOJNA Z BLISKA KINO



★★★★★
REŻ. DÉNES NAGY
„W ŚWIECIE DNIA” („TER-MÉSZETES FÉNY”)
WĘGRY/LITWA/ NIEMCY/FRANCJA 2021

wyst. Ferenc Szabó, László Bajko,
Tamás Garbacz

Trudno w to uwierzyć, ale niegdyś Węgrzy stawiali się Rosji, i to z bronią w ręku. Nie dalej, jak 80 lat temu, 100 tys. honorowców wspierało Wehrmacht na wschodzie. Czasem na pierwszej linii, częściej pilnując porządku na okupowanych terytoriach. Robota mało zaszczytna i rzadko efektywna, podobnie jak film Nagya. Obietnica zawarta w tytule pozostaje niespełniona. Światło jest skąpe (jak to na przednówku), a sceny kluczowe rozgrywają się po zmierzchu. Bratankowie, uganiający się po lasach i wioskach za partyzantami, grzęzną w błocie, dosłownie i metaforycznie. Dialogi zredukowano do minimum, kamera lubuje się w zbliżeniach. Po seansie w pamięci zostają zwłaszcza poszarzała twarz kaprala Semetki, który marzy o powrocie do domu i współczuje tubylcom, ale jako człek rozproszony stara się tego zanadto nie okazywać. Pacyfści będą usatysfakcjonowani, wyznający kult munduru – oburzeni. ©©

Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „LEGO GWIEZDNE WOJNY: SAGA SKYWALKERÓW

Ale że co? Że LEGO dla dzieci? Że ojcowie wysuplują niemałe sumy na kolejne zestawy wyłącznie z myślą o dzieciach? Że pytają córek, czy aby zamiast tego zestawu z Elszą nie wolą jednak tego z Hanem Solo, bo uważają, że takie mogą ich córkom bardziej przypaść do gustu? No może, może,

nie roztrząsam, ale już gry z serii LEGO to nie tylko rozrywka dla dzieci, lecz także przyjemny odświeżacz dla dorosłych. „Saga Skywalkerów” to lekka i zabawna podróż przez historię opowiedzianą w dziewięciu filmach (trylogie: oryginalna, prequeli, sequeli). Mamy tu wszystko: Jedi, moc, miecze



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

światła, blastery, myśliwce i ścigacze. Oraz mnóstwo znajdziek. Niech moc będzie z wami! **Radosław Wojtas**
Gatunek: Zręcznościowa
Platforma: XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC
Producent, wydawca PL: Traveller's Tales/TT Games

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Inflanty po polsku

Latgalia, Inflanty, Kurlandia – egzotycznie brzmią te nazwy dla nas, którym północne kresy kojarzą się wyłącznie z Litwą. A przecież polska szlachta inflancka wielce zasłużyła się w historii Polski, że wspomniemy tu tylko Manteufflów, Platerów czy Tyzenhauzów. Znow taki uniwersytet w Dorpacie kończyli tak świetni nasi rodacy jak: Tytus Chałubiński, Benedykt Dybowski, Wincenty Lutosławski, Józef Weyssenhoff. A, dajmy na to, w Jęglawie (do 1918 r. Mitawie), choć Polaków nie było tam wielu, przez dwa lata mieszkał Roman Dmowski, a w mieście tym urodziła się nie tylko rosyjska caryca Katarzyna I, lecz także Mamert Stankiewicz, zasłużony oficer polskiej marynarki, bohater znanej książki Karola Borchardta „Znaczy Kapitan”.

Polskie Inflanty to nie tylko przeszłość, zabytki i cmentarze, lecz także dzień dzisiejszy. Nasza kolonia na Łotwie liczy obecnie od 40 do 60 tys. osób. Działają tam polskie związki, oczywiście kościoły i szkoły. I o historii, i o współczesności Łotwy i Estonii piszą Sławomir Koper i Tomasz Stańczyk w najnowszej książce ze swego, jakże wartościowego kresowego cyklu wydawanego nakładem Frondy.

Wielokrotnie przekonałem się sam, że naprawdę nieliczni Polacy wiedzą o tym, że stolica Łotwy – Ryga – była jednym z głównych portów Rzeczypospolitej. A sprawiali mieszczanie ryjscy немало kłopotów królowi Stefanowi Batoremu. Woleli wprowadzić jego zwierzchnictwo od zależności od Moskwy, ale jako zawziętym luteranom nie podobał im się polski katolicyzm, a buntowali się m.in. z powodu... kalendarza. Nie zaakceptowali bowiem poprawki dokonanej przez papieża Grzegorza XIII,



FOT. DO RZECZY



FOT. DO RZECZY

twierdząc, że oto wstrętni papiści chcą – jak czytamy – „pozbawić uczciwych ludzi dziesięciu dni, by ugruntować wpływy katolicyzmu”. To nie były żarty, wszczynano rozruchy uliczne, wybijano szyby w kościołach, w końcu – już za Zygmunta III Wazy – przywódców zamieszek skazano na karę śmierci i wyrok wykonano. Ale w kwestii kalendarza juliańskiego ryżanie postawili na swoim i posługiwali się nim jeszcze przez trzy stulecia. Oczywiście najdłużej liczono po staremu czas w państwach prawosławnych, w Rosji aż do rewolucji bolszewickiej, a w Grecji jeszcze dłużej, bo do roku 1923. W świecie protestanckim Ryga była jednak ewenementem.

Sławomir Koper i Tomasz Stańczyk podejmują w swojej książce przeróżne tropy, bynajmniej nie oczywiste. Oto np. w tej „Wyprawie do polskich Inflant” docieramy do Preili, gdzie znajduje się ruiny zamku, należącego do

przybyłej tam w XV w. niemieckiej rodziny Borchów, których nazwisko i herb wykorzystał – jak się okazuje – w jednym ze swych opowiadań... Andrzej Sapkowski. Swoją drogą, łatwo zauważyć, że w powieści o wiedźminie nie brakuje imion i nazw dziwnie podobnych do inflanckich.

Czytelników „Wyprawy do polskich Inflant” czeka więcej podobnych niespodzianek. Między innymi dowiedzą się o bałtyckich korzeniach Katarzyny Kobro, sławnej rzeźbiarki, żony Władysława Strzebińskiego, jednej z naszych najwybitniejszych plastyczek. Z kolei udowadniają autorzy konfabulacje żony Krzysztofa Komedy, Zofii, znanej postaci warszawskiego środowiska artystycznego, która szczyła się pochodzeniem z kurlandzkich baronów. Wszystko wskazuje jednak, że prawo do siedmiopalkowej korony nad herbem mogła dzielić z Nikodemem Dyzmą...

Rozpisuję się o powyższych, z pewnością nie najważniejszych kwestiach, bo są one przykładem tego, jak napisana jest ta książka będąca połączeniem historycznego wykładu, reportażu, eseju i gawędy, a nawet, powiedziałbym, pogawędki, w której nie brakuje także pożytecznych dla turystów informacji o tamtejszym hotelarstwie czy gastronomii. O dziwo, to gatunkowe pomieszczenie nie przeszkadza wcale w lekturze „Wyprawy do polskich Inflant”, z której dowiadujemy się o wielu ciekawych sprawach, także tych dość luźno związanych z historią Łatgalii i innych części Inflant. Co nie zmienia faktu, że z tym większą niecierpliwością będziemy teraz czekać na zapowiadany przez autorów kolejny tom ich kresowej serii, nie o czym innym, a o historii polskich Inflant właśnie, potraktowanej pewnie już bardziej solennie. ©©



★★★★★
SŁAWOMIR KOPER,
TOMASZ STAŃCZYK
„KRESY PÓŁNOCY.
WYPRAWA
DO POLSKICH
INFLANT”
FRONDA,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dusza narodu

Wasyl Słapczuk – dobry pisarz, dobry poeta, osiem lat temu wydano u nas jego świetną powieść „Księga zapomnienia”. W księgarniach znajdziecie teraz tom „Nowiutki rower starych binokli”, intrygujący poetycki concept album. Bohaterem wszystkich wierszy jest Pawło Tyczyna (1891–1967), ważna figura ukraińskiej literatury XX stulecia, a także działacz partyjny i polityk – minister oświaty ukraińskiej SSR, przewodniczący jej Rady Najwyższej. Rzadko się zdarza, by notabla od socjalistycznej kultury do dziś pamiętano jako poetę – Słapczuk pisze o nim z kpina, opowiadając jednocześnie kawał historii Ukrainy (a Tyczynę nazywając wprost niewolnikiem). Jeszcze kilka lat temu cała ta konstrukcja wydawać by się mogła polskiemu czytelnikowi zanadto hermetyczna, dziś bez trudu – jak mniemam – znajdzie czytelników i admiratorów. Przechodzimy wszyscy nie tylko przyspieszony kurs nauki bycia krajem frontowym NATO, lecz także ukraińskiej kultury i literatury.

Autorem przekładu wspomnianego tomu Słapczuka jest Bohdan Zadura, który przygotował niegdyś także potężną antologię ukraińskiej poezji „Wiersze zawsze są wolne” (dwa wydania – pierwsze w dwóch tomach, drugie w twardej

oprawie). Aneta Kamińska zestawiała dekadę temu tom „Cząstki pomarańczy. Nowa poezja ukraińska” – książka ukazała się w wersji dwujęzycznej jako wspólne przedsięwzięcie Ha!art i Narodowego Centrum Kultury. Rok później odpowiedź pojawiła się po drugiej stronie granicy, bo w Łucku wydano antologię „Grawitacja wzajemności”, także dwujęzyczną. Przekładu i wyboru dokonała Ołena Kryształśka, redakcją i posłowiem zajął się Zbigniew Włodzimierz Fronczek, pisarz i redaktor z Lublina. Nie wiedziałem o tej ostatniej publikacji, ale pan Zbigniew przesłał ją niedawno do „Do Rzeczy” w odpowiedzi na mój tekst o literaturze ukraińskiej. Dzielę się więc radością lektury.

Współczesna poezja ukraińska pojawia się w lubelskiej serii Wschodni Express (Warsztaty Kultury), wiersze Andrija Lubki czy Jurija Andruchowycza wydawało Biuro Literackie. W tej samej serii PIW co tom Słapczuka dostępny jest zbiór

„Drohobycz” Serhija Żadana przełożony przez Jacka Podsiadłę. Sięgam po nie coraz częściej, bo duszy narodu bez poezji nie poznasz. W jednym z wierszy Słapczuka Cyganka wróży Tyczynie: pokochają cię dwie kobiety: Ojczyzna-matka i Ojczyzna-żona. „Jedna jak dusza bez ciała, druga jak ciało bez duszy”. ©©



★★★★★
WASYL SŁAPCZUK
„NOWIUTKI
ROWER STARYCH
BINOKLI”
PIW 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Jak reformować polskie wojsko? Raport ośrodka analitycznego Strategy & Future przynosi obfity materiał do przemyśleń. Odpowiedzi w wielu miejscach zbieżne z wnioskami wyciąganymi dziś z wojny obronnej Ukrainy.



AUTORZY RÓŻNI
„ARMIA NOWEGO
WZORU”
ZONA ZERO

„Jak przypadki wpływają na nasze życie?” – zastanawia się amerykański fizyk i popularyzator nauki, znany z książki „Krótka historia rozumu”. Poprzednie wydanie tej książki ukazało się w Polsce jako „Matematyka niepewności”.



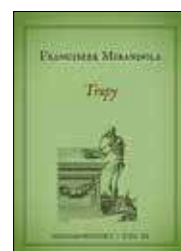
LEONARD
MLODINOW
„CHWIEJNYM
KROKIEM”
ZYSK I S-KA

Jedna z najważniejszych powieści XX stulecia nareszcie po polsku. Powieść, której streścić się nie da, kultowy tekst amerykańskiego postmodernizmu, podobnie jak „Tęcza grawitacji” tegoż autora (swoją drogą warto ją wznowić).



THOMAS
PYNCHON
„V”
MAG

Klasyka polskiej weird fiction. Pięknie wydany tom (redakcja i wstęp: Krzysztof Grudnik) to część serii „Niesamowitnicy”. Ukazały się w niej także „Spojrzenia” Jana Huskowskiego i „Idąca śmierć” Stanisława Czosnowskiego.



FRANCISZEK
MIRANDOLA
„TROPY”
WYDAWNICTWO IX

Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„YANS”

Tom trzeci zbiorczego wydania serii komiksowej „Yans” dla wielu czytelników będzie najciekawszy – cztery zebrane tu albumy są w Polsce najsłabiej znane. Rysował je już Zbigniew Kasprzak (Kas), który od szóstego tomu cyklu zastąpił Grzegorza Rosińskiego. Strona graficzna jest zresztą największym atutem serii SF o agencie czasowym i jego ukochanej. Ze scenariuszami bywało różnie, część



AUTORZY RÓŻNI
„YANS”, TOM 3
EGMONT 2022

z nich szybko się zestarzała. Kolekcjonerska edycja Egmontu przynosi obfity i bardzo ciekawy materiał dodatkowy, zarówno o scenarzystce (André-Paul Duchâteau), jak i kulisach zmiany (w latach 1998–1999) rysownika serii. ©©

poleca Piotr Gociek

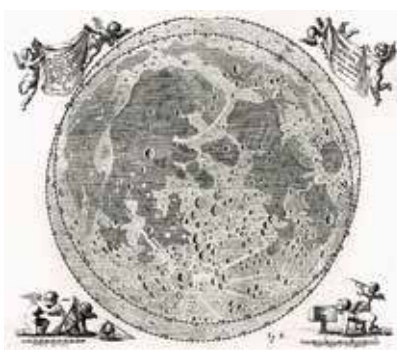


RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Lew Lechistanu i Heweliusz

Jan III Sobieski, wybitny monarcha i genialny dowódca, pogromca Osmanów, defensor fidei, Lew Lechistanu. Hojny mecenas artystów i naukowców, w tym Jana Heweliusza, którego był patronem. Sobiescy objęli naukowym mecenatem cały kompleks przedsięwzięć Heweliusza – badania nieba oraz publikacje, a król podczas wizyt w Gdańsku wizy-



FOT. DIGITAL CENTER PAN BIBLIOTEKA GDAŃSKA

tował obserwatorium uczzonego, żywo interesował się astronomią (tak jak innymi naukami ścisłymi), tak że nawet sam Heweliusz we wstępie do jednego ze swych dzieł pochwalił wiedzę astronomiczną polskiego monarchy.

Wystawa „Księżyc i Tarcza Sobieskiego. Heveliana dawne i sztuka współczesna” otwarta w ubiegły piątek w Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie ukazuje Jana Heweliusza jako uczzonego i artystę. Obok dzieł Heweliusza (a są to pięknie i bogato wydane, luksusowo oprawione, mające ciekawą historię woluminy, wpisane w 2021 r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO) znalazły się m.in. inspirowane Heweliuszem współczesne rzeźby, grafiki, obrazy, instalacje i multimedia. ©©

GDZIE? Warszawa, Muzeum Pałacu Króla Jana III
KIEDY? do 15 sierpnia



FOT. MNP

MIEDZYWOJENNA „PLASTYKA”

Na wystawę o wiele wyjaśniającym tytule – „Tradycja i nowoczesność. Sztuka w międzywojennym Poznaniu. Stowarzyszenie Artystów Wielkopolskich »Plastyka« (1925–1939)” – składa się ponad 300 prac wielu gatunków: malarstwa, rzeźby, rysunku i grafiki, ceramiki, tkaniny i witrażu. Mnogość gatunków i różnorodność stylów. Program poznańskiego stowarzyszenia „Plastyka” był otwarty i demokratyczny, łączył tradycjonalizm z nowoczesnością, uwzględniając także pierwiastki sztuki ludowej. ©©

GDZIE? Poznań, Muzeum Narodowe
KIEDY? do 8 maja



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Wyzwoleni w tańcu

Ten afrofuturystyczny kolektyw łączy w swych utworach dźwięki inspirowane afrobeatem, funkiem, disco, post-punkiem i nowoczesnym electro.

Londyński oktet didżejski Ibibio Sound Machine założyli producenci Max Grunhard, Leon Brichard i Benji Bouton, entuzjaści afrykańskiego groove z lat 70. i 80. Liderką jest natomiast angielsko-nigeryjska wokalistka Eno Williams, która śpiewa i wygłasza manifesty po angielsku i w ojczystym języku ibibio.

Produkcję czwartego albumu, „Electricity”, grupa powierzyła cenionemu producentowi Hot Chipowi, który wyraźnie rozbudował dotychczasowe brzmienie zespołu. Otwierający utwór „Protection from Evil” doskonale ilustruje nową

formułę. Pulsujący zestaw perkusyjny, poszarpane dźwięki, klawisze o zmiennej wysokości tonu i rozedrgany bas tworzą hipnotyzującą ramę, na której tle Eno Williams wygłasza dwujęzyczną, onomatopeiczną mowę. W utworze tytułowym wokalistka naśladuje zrobotyzowane wokale Kraftwerku, a „17 18 19” deklamuje w manierze Grace Jones. Po tym piorunującym wstępie dostajemy nasycone nocną atmosferą ballady, syntezatorowe wibracje rodem z LCD Soundsystem, lśniącego electro-euro-disco w stylu Giorgia Morodera, hymniczny house czy afrykańskie polirytmy.

Ibibio Sound Machine wynieśli swoje piosenki, produkcję i rytmikę na zupełnie inny poziom, nie rezygnując przy tym ze swoich afrocentrycznych korzeni. ©©



★★★★★
ART. BUDYŃ & CHANGO
„UKRYTE DO WIADOMOŚCI”
MYSTIC

Zmarł Jacek „Budyń” Szymkiewicz, gwiazda sceny alternatywnej, lider m.in. Pogodno. Na płycie są piosenki „o seksie i śmierci, czyli najlepszy zestaw w świecie reklamy”. Wybitne teksty zmuszające do autorefleksji i intrygująca muzyka. „Przeżminie wszystko, nawet żal po wszystkim”.



★★★★★
JOEL ROSS
„THE PARABLE OF THE POET”
BLUE NOTE

Wibrafonista Joel

Ross ze swoim oktetem stworzył suitę nawiązującą do kościelnego nabożeństwa. Tematem jest cierpienie i ból współczesnego świata. Stylistycznie jest to wyrafinowany, pełen niuansów post-bop zabarwiony wpływami muzyki latynoskiej i klasycznej. ©©



★★★★★
IBIBIO SOUND MACHINE
„ELECTRICITY”
MEROE

Dwadzieścia pytań



Krzysztof Masłoń

Teleturniejów ci u nas dostatek, a choć w niektórych telewizjach mamy nawet ich nadmiar, to jednak swój pomysł reaktywowania nadawanych jeszcze we wczesnych latach 60. zeszłego wieku „Dwudziestu pytań” uważam za całkiem do- rzeczny. Pozwoliłem sobie co prawda znacznie zmodyfikować założenia tegoż programu rozrywkowo-edukacyjnego, dostosowując je z jednej strony do nawyków młodszych pokoleń obytych w szkołach z tzw. testami zamkniętymi, a ze strony drugiej do łatwego do zweryfikowania poziomu wiedzy ogólnej prezentowanego przez uczestników podobnych sprawdzianów. Mogłoby to wyglądać np. tak:

1. Kto był sprawcą katastrofy smoleńskiej?

- a) Lech Kaczyński
- b) Antoni Macierewicz
- c) pancerna brzoza

2. Kto napisał „Pana Tadeusza”?

- a) Andrzej Wajda
- b) Olga Tokarczuk
- c) Aleksander Puszkina

3. Najważniejsza data w dziejach Polski

- a) 1 maja 2004 r.
- b) 10 lipca 1941 r.
- c) 22 lipca 1944 r.

4. II Rzeczpospolita była państwem:

- a) faszystowskim
- b) nazistowskim
- c) tyranią

5. Niewolnictwo na ziemiach polskich wprowadził:

- a) Kościół katolicki
- b) szlachta
- c) król

6. Powstanie warszawskie rozpoczęło się:

- a) 29 listopada 1830 r.
- b) 19 kwietnia 1943 r.
- c) 8 marca 1968 r.

7. Najwybitniejszym Polakiem w dziejach był:

- a) Lech Wałęsa
- b) Feliks Dzierżyński
- c) Adam Michnik

8. Sprawcami Holokaustu byli:

- a) Polacy
- b) Ukraińcy
- c) Arabowie

9. Najlepszym, ale niedocenionym prezydentem Polski był:

- a) Bolesław Bierut
- b) Wojciech Jaruzelski
- c) Bronisław Komorowski

10. Największym zagrożeniem dla współczesnego świata jest:

- a) ocieplenie klimatyczne
- b) pandemia
- c) Jarosław Kaczyński

11. Drugą wojnę światową wygrał:

- a) Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich
- b) RFN
- c) Szwajcaria

12. Przywódcą najbardziej niedemokratycznego państwa w obecnym świecie jest:

- a) Władimir Putin
- b) Kim Dzong Un
- c) Andrzej Duda

13. Kto zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną?

- a) Kazimierz Kutz
- b) Edward Gierek
- c) Ewa Kopacz

14. Kto zwyciężył w bitwie pod Grunwaldem w 1410 r.?

- a) zakon krzyżacki
- b) Litwini
- c) Tatarzy

15. Największe zasługi dla III Rzeczypospolitej położył:

- a) Donald Tusk
- b) Leszek Miller
- c) Leszek Balcerowicz

16. Druga wojna światowa wybuchła:

- a) 10 maja 1940 r.
- b) 22 czerwca 1941 r.
- c) 7 grudnia 1941 r.

17. Najznakomitszym filmem w dziejach kinematografii był:

- a) „Pancernik »Potiomkin«” Siergieja Eisensteina
- b) „Czapajew” Siergieja i Gieorgija Wasiljewów
- c) „Cyrulik syberyjski” Nikity Michalkowa

18. Odzyskanie niepodległości w 1918 r. Polsce dał:

- a) Lenin
- b) Fryderyk Habsburg
- c) David Lloyd George

19. Wyróżniki polskości to:

- a) bigos
- b) kołtun
- c) gorzała

20. Kto wszczął wojnę na Ukrainie?

- a) Ameryka
- b) NATO
- c) Wołodimir Zełenski

Podanie prawidłowych odpowiedzi wydaje się bezcelowe, gdyż w zasadzie wszystkie uznać można za takie. A na pewno na pytania: 1, 4, 5 (jeśli chodzi o króla, to wszyscy

polscy monarchowie spełniają wymóg pytania, może z wyjątkiem Stanisława Augusta Poniatowskiego, bo taki był kulturalny), 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12 (wskazana odpowiedź „c”), 14, 15, 16, 17, 20 (ze wskazaniem na odpowiedź „c”). Odpowiedź „Adam Mickiewicz” na pytanie numer 2 wykluczyłbym, gdyby jednak upierano się przy niej, zadać wypadłoby pytanie dodatkowe, czy rzekomy autor „Pana Tadeusza” był: a) Białorusinem, b) Litwinem, c) Żydem. Odnośnie do pytania numer 3 wyjaśniam dla wygody przyszłych organizatorów „Dwudziestu pytań”, że data oznaczona literką „a” wskazuje na dzień wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, „b” przypomina zagładę Żydów w Jedwabnem, a „c” to dzień ogłoszenia Manifestu PKWN, obchodzony w PRL jako święto narodowe. Wyjaśnienia wymagają takie, a nie inne odpowiedzi na pytanie numer 13: Kazimierz Kutz znalazł się tu ze względu na imię, ale nie tylko dlatego, Edward Gierek – wiadomo czemu, a Ewa Kopacz zdobyła sławę, wywołując meble (drewniane) z Warszawy.

Jak sądzę, dla projektowanego teleturnieju z powodzeniem znalazłoby się miejsce w telewizji TVN, która mogłaby w jego realizacji wykorzystać doświadczenia zebrane przez wiele lat w „Milionerach”. A zwracam uwagę, że koszty produkcji byłyby niewielkie. Prowadzenia „Dwudziestu pytań” mógłby podjąć się którykolwiek ze znakomitych prezenterów tej stacji, choćby „Szkła kontaktowego”, a pomysłów na zagadnienia podobne proponowanym nigdy nie brakowało przy Wiertniczej. Z nagrodami nie przesadzałbym, mogłyby to być na przykład: I – wstęp na najbliższą konwencję wyborczą Platformy Obywatelskiej, II – lunch z Moniką Olejnik, III – czapka śliwek. ©©



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek robi wiele, by przygotować Kościół katolicki do klęski w jednej z najważniejszych batalii współczesności. Urzędujący papież relatywizuje nauczanie Kościoła na temat homoseksualizmu, broni biskupów uwikłanych w kontakty seksualne z młodymi mężczyznami, rehabilituje dysydenckie organizacje potępiane przez jego poprzedników i promuje hierarchów, którzy otwarcie głoszą herezję

Srodowiska LGBT uznały Franciszka za „swojego” papieża już w 2013 r., kiedy na pokładzie samolotu odmówił potępienia kontaktów seksualnych między osobami tej samej płci. „Kim jestem, aby osądzać?” – zapytał retorycznie, indagowany o duchownego, który w młodości utrzymywał kontakty intymne z mężczyznami. Po dziewięciu latach pontyfikatu jest całkowicie jasne, że homoseksualni aktywiści nie pomylili się co do Ojca Świętego. Franciszek jest ich wielkim przyjacielem, a w ostatnich miesiącach wyraźnie intensyfikuje wysiłki na rzecz odrzucenia katolickiej doktryny i przyjęcia przez Kościół wizji seksualności, którą za jedynie słuszną uważa współczesny świat.

Wśród konserwatywnych obserwatorów życia Kościoła uśmiechy politowania przemieszanego z rozżaleniem wywołała w marcu sprawa bp. Gustava Óscara Zanchetty. To stary znajomy Franciszka jeszcze z czasów, w których przyszły papież pełnił urząd metropolity Buenos Aires; obaj współpracowali w argentyńskim episkopacie. W 2013 r. papież Bergoglio uczynił go ordynariuszem diecezji Orán w Argentynie. Rychło okazało się, że władza nie służy nowemu biskupowi: już w 2015 r. do Watykanu napłynęły pierwsze oskarżenia Zanchetty o wykorzystywanie seksualne seminarzystów. W Stolicy Apostolskiej postanowiono jednak sprawę przemilczeć. Sytuacja zaogniła się, gdy dwa lata później do sieci wyciekły zdjęcia prezentujące



Torowane klęski Kościoła

nagiego ordynariusza. Papież zareagował... wsparciem Zanchetty. Poleciał mu przyjechać do Rzymu i obdarzył wygodną synekurą w Domu św. Marty, w którym sam mieszka. Amator wdzięków młodych seminarzystów przebywał pod okiem papieża do 2021 r., kiedy musiał wyjechać do Argentyny z powodów procesowych. W marcu tego roku został skazany na cztery i pół roku więzienia; sąd stwierdził, że rzeczywiście wykorzystywał kleryków, zarówno w budynkach seminarium, jak i we własnym domu.

OBRONA PRZEGRANEJ SPRAWY

Zacięta obrona Zanchetty przypomina inną sprawę, tym razem z Chile. W 2015 r. z woli Franciszka ordynariuszem diecezji Osorno w tym kraju został bp Juan Barros Madrid, protegowany ks. Fernanda Karadimy, oskarżanego o liczne przestępstwa seksualne wobec nieletnich. Przeciwno nominacji wybuchły gwałtowne protesty, ale papież ich nie słuchał. Jeszcze w styczniu 2018 r. bronił jak lew bp. Barrosa, choć według niektórych krytyków miał on dobre wiedzienie o postępach ks. Karadimy lub nawet w nich uczestniczyć. Od postawy Franciszka odciął się wtedy nawet kard. Seán O'Malley, przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Osób Małoletnich.

Amator wdzięków młodych seminarzystów przebywał pod okiem papieża do 2021 r., kiedy musiał wyjechać do Argentyny z powodów procesowych

Wreszcie papież zmiękł; dla ratowania wizerunku swojego i Kościoła w Chile nakłonił cały tamtejszy episkopat do złożenia na swoje ręce dymisji, z których część przyjął. W gronie zwolnionych z obowiązków znalazł się też bp Barros. Co ciekawe, w tym samym roku papież zdecydował się też zdegradować kard. Theodore'a McCarricka: choć według świadectwa abp. Carla Marii Viganò od lat miał wiedzę na temat jego homoseksualnych ekscesów z seminarzystami, zareagował dopiero wówczas, gdy w przestrzeni publicznej pojawiły się oskarżenia o wykorzystywanie przez Amerykanina nieletnich.

W czerwcu 2021 r. świat homoseksualny jak co roku obchodził swój „miesiąc dumy”, manifestując na ulicach miast całego zachodniego świata przywiązanie do rozwiązłości i nienawiść do naturalnego porządku rzeczy. Papież postanowił w szczególny sposób włączyć się w te

Transparent z podobizną papieża Franciszka na marszu poparcia dla LGBT, Avellino, Włochy, 15 czerwca 2019 r. FOT. IVAN ROMANO/GETTY IMAGES



bluźniercze obchody: wysłał listy do osób, które od lat wykonują w Kościele katolickim krecią robotę, torując drogę seksualnej rewolucji i dążąc do obalenia nauczania opartego na Tradycji i Piśmie Świętym.

Jeden z nich skierowany został do Francisca DeBernardo, dyrektora wykonawczego organizacji New Ways Ministry, amerykańskiej grupy, która od 50 lat angażuje się na rzecz „duszpasterstwa” środowisk homoseksualnych, a częściowo również na rzecz swobody mordowania dzieci nienarodzonych. New Ways Ministry dąży otwarcie do wprowadzenia w Kościele „małżeństw” jedнопłciowych, tym samym nie kryjąc swojej heretyckości. W 1999 r. Kongregacja Nauki Wiary pod kierownictwem kard. Józefa Ratzingera zakazała liderom tej grupy, zakonnicy Jeannine Gramick i ojcu Robertowi Nugentowi, posługi wśród homoseksualistów, właśnie w związku z licznymi błędami, które szerzyli; w 2010 r. od New Ways Ministry odcieła się jednoznacznie Konferencja Episkopatu USA. Papież jednak postanowił dysydencją organizację zrehabilitować. W liście do DeBernardo podziękował mu za jego wieloletnią pracę i za „serce otwarte na bliźniego”. Pochwalił też współzałożycielkę s. Gramick, pisząc, jakoby była ona „odważną kobietą, która podejmuje decyzje na modlitwie” i która „wiele wycierpiała”. Po-

parcie papieża dla New Ways Ministry nie było przypadkowe; kilka miesięcy później Franciszek wysłał odręcznie napisany list do samej s. Gramick. Oceniał, że zakonnica, która wspiera ruch LGBT, a w 2014 r. apelowała do prezydenta Obamy o finansowanie aborcji poza granicami USA, działa zgodnie ze „stylem Boga”; podziękował jej za posługę i zachęcił do dalszej pracy. Nieco później na oficjalnej stronie Synodu Biskupów pojawił się link do strony New Ways Ministry; któryś z urzędników Watykanu następnie go usunął, ale gdy sprawa została nagłośniona, link wrócił i znajduje się na stronie synodalnej do dziś.

Być może za Franciszkowe poparcie dla New Ways Ministry odpowiada ks. James Martin SJ, amerykański jezuita i duszpasterz środowisk LGBT, którego z papieżem łączy bliska więź. Ksiądz Martin od 2017 r. jest konsultantem watykańskiego Sekretariatu ds. Komunikacji; w 2019 r. został przez papieża przyjęty na audiencji prywatnej. To właśnie on był adresatem drugiego papieskiego listu „na miesiąc dumi”. W czerwcu 2021 r. otrzymał od Franciszka niezwykle ciepłe pismo, stawiające go za wzór kapłanom na całym świecie (sic!) i przekonujące, że – podobnie jak s. Gramick – ks. Martin działa „w stylu Boga”. Nie wiadomo, co dokładnie jest Bożym stylem ks. Martina: w Polsce jest znany między innymi z rozpowszechniania na Twitterze wizerunku Matki Bożej z Częstochowy w tęczowej aureoli oraz z przesyłania życzeń na parady LGBT.

BUDOWA PROGEJOWSKIEGO ZAPLECZA

Nie należy tych gestów lekceważyć; Franciszek swoje nastawienie pro-LGBT potwierdza też w ruchach kadrowych. W marcu 2021 r. Kongregacja Nauki Wiary ogłosiła dokument przypominający o tym, że błogosławienie związków homoseksualnych jest w Kościele zakazane. Według mediów za dokumentem stał podsekretarz Kongregacji, abp Giacomo Morandi. Papieżowi pismo miało się jednak bardzo nie spodobać. W styczniu tego roku abp Morandi został usunięty z Kongregacji, a sam tekst został zignorowany w krajach niemieckojęzycznych, których najbardziej dotyczy. Franciszek nie zdobył się też na ani jedno krytyczne słowo pod adresem czolowych hierarchów Kościoła w Niemczech, którzy w ramach Drogi Synodalnej postulują uznanie aktów homoseksualnych za moralnie neutralne, a samego homoseksualizmu za zupełnie

Papież Franciszek zataił w swoim nauczaniu granice dobra i zła w dziedzinie związków między ludźmi

normalny. Biskup Georg Bätzing, który domaga się zmiany Katechizmu Kościoła Katolickiego, wrócił z ubiegłorocznej audiencji u papieża bardzo zadowolony; kard. Reinhard Marx, który głosi „prymat miłości w związku” niezależnie od płci, pozostaje członkiem elitarnej Rady Kardynałów. Co więcej, Franciszek nie cofa swojego wsparcia dla arcybiskupa Luksemburga, kard. Jeana-Claude’a Hollericha, który podobnie jak Bätzing i Marx chce homoseksualnej rewolucji w Kościele; Hollerich jest relatorem generalnym Synodu o Synodalności i szefem procesu synodalnego w Europie, w ten sposób mając w rękę wszelkie potrzebne narzędzia do tego, by wcielić w życie chore rojenia spod znaku Niemców czy amerykańskiej New Ways Ministry.

POŻAR DOKTRYNY

To wszystko jest możliwe także dlatego, że papież Franciszek zataił w swoim nauczaniu granice dobra i zła w dziedzinie związków między ludźmi. W posynodalnej adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia” napisał, że rozwodnicy w nowych związkach mogą samodzielnie decydować w swoim sumieniu, czy ich obiektywnie grzeszna sytuacja nie jest właśnie tym, czego chce od nich Bóg. Jeżeli może to zrobić rozwodnik, to może i homoseksualista: związek między intymnością a prokreacją już nie istnieje. Działania Franciszka na rzecz rewolucji LGBT są zatem niezwykle spójne: mają podbudowę teoretyczną, opierają się na konsekwentnie budowanych kadrach, zyskują wyrazistą propagandową otoczkę. Z pewnym przekąsem można powiedzieć, że papieżowi zamarzyło się zająć miejsce Nerona, patrzącego na wywołyany przez siebie pożar Rzymu: chce oglądać, jak płonie podpalona przezeń katolicka doktryna. Różnica polega na tym, że o ile historycy spierają się o faktyczną rolę cesarza w pożodze Wiecznego Miasta, o tyle odpowiedzialność Franciszka zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

Gramatyka i polityka

Muszę zastrzec – nie jestem filologiem polskim. W ogóle nie jestem filologiem. Od dziecka mówiłem jednak w domu po polsku (rodzice przywiązywali do języka polskiego wielką wagę), a w szkole po miejscowemu. Aby się nie odróżniać. A te języki (to znaczy polski i lokalna gwara) różniły się wyraźnie. Moi koledzy i ja skończyliśmy wreszcie szkołę, nawet uniwersytety, niektórzy polonistykę. Ja wybrałem kierunek suchy, ale z przewagą logiki. Prawo. Studia skończyłem na innym uniwersytecie, niż je zacząłem. Przez upór, mimo relegacji w latach 60. i 70. Ale ponieważ zabroniono mi zaraz po obronie pracy magisterskiej pracować w zawodzie, zmuszony byłem wybrać inny. Wybrałem dziennikarstwo, choć był to trudny wybór w owych czasach. Umożliwił to zbieg okoliczności. Język i logika bardzo mi wówczas pomogły i pomagają dzisiaj w jego wykonywaniu. Nikt nie przekona mnie do poprawności zwrotów w rodzaju „na ten moment”. Za bardzo mi to przypomina „zwis męski” czy „podgardle dziecięce”, nowotworki językowe z lat wielkiej budowy socjalizmu.

Pisałem o tym, że Polska utraciła niepodległość 22 lipca 1944 r. Nadal jestem tego zdania. Elity mordowano w obu strefach okupacyjnych, resztą zajął się UB. Zostały jej żałosne szczątki, ton nadają dziś fajnopolacy. Do tzw. upadku komunizmu Polska była okupowana przez Sowietów przy pomocy dziesiątek tysięcy kolaborantów, a zwłaszcza kapusiów bezpieki. Nie ma chyba ani jednej polskiej rodziny, w której nie było TW. Stan ten wywołał niesłychany kompleks niższości wśród Polaków, niweczający niewątpliwe sukcesy wychowania obywatelskiego w Międzywojniu. Ten kompleks niższości przekłada się także na nazewnictwo w urzędowym języku polskim (i na gramatykę). Pierwszy z przykładów, jaki nasuwa mi się na myśl, to upiorne określenie „Pomorze Przednie”. Używa się go w mediach jako nazwy dla tej części Pomorza, która znajduje się w Niemczech i wchodzi w skład nazwy kraju związkowego Republiki Federalnej Niemiec. Mianowicie „Mecklenburg-Vorpommern”. Po polsku nazwę tego nowego landu (powstał dopiero po zjednoczeniu Niemiec) ustalono na „Meklemburgia-Pomorze Przednie”. To oczywiście bezsensowna i nielogiczna kalka z niemieckiego. Przyjrzyjmy się zatem jej z bliska.

Meklemburgia – w porządku. Nazwa ma ustaloną tradycję w języku polskim. Mało kto jednak wie, że jest pochodzenia



Językoznawca Jan Miodek tłumaczył, że „na Ukrainie” to poprawna forma. Potem sam zmienił zdanie

FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

Jan Bogatko

„W Ukrainie” czy „na Ukrainie”? Jak nakazuje gramatyka? Czego wymaga polityka? Czy istnieje „Pomorze Zadnie”, skoro jest „Pomorze Przednie”? Jedziemy do Lipska czy do Lipsziga? A może na Irlandię, skoro to wyspa? W jakim języku powinny być kierunkowskazy z odległościami do zagranicznych miast?

zachodniostowiańskiego (obodrzyckiego), dokładniej to kalka nazwy „Weligard”, przeniesionej na staroniemiecki „miki-le”, czyli wielka, od owego „Weligardu”. Z członem „Vorpommern” pojawiają się już problemy. Jest to nazwa stosunkowo nowa. Określa ona Pomorze Zaodrzańskie (na zachód od Odry, z perspektywy Berlina przed Odrą, stąd „Vor”); obejmująca takie grody jak Szczecin, Strzałów (Stralsund) czy Kamień oraz wyspy, takie jak Uznam, Wolin i Rugia. Wiadomo też dokładnie,

kiedy ta nazwa w Niemczech powstała: w roku 1532 wskutek podziałów administracyjnych na Pomorzu. Później jeszcze przez 12 lat całe Pomorze było rządzone z jednego centrum władzy w Niemczech (1625–1637), mianowicie „Vorpommern” (Pomorze Zaodrzańskie po polsku, Przedodrzańskie w dosłownym, lecz bezmyślnym tłumaczeniu na polski) wraz z „Hinterpommern”, czyli Pomorze Zaodrzańskie z perspektywy Berlina, na wschód od Odry. Czyli Przedodrzańskie, z perspektywy

Warszawy. A nazwy geograficzne w Polsce i za granicą określa się z perspektywy miasta stołecznego. Przykład? Proszę: Podhale to nie „Zahale”.

Przenieśmy się nad Nysę. Po polsku nazywa się ona Nysa Łużycka w odróżnieniu od Nysy Kłodzkiej (dzieli się ona na wiele odcinków o różnych nazwach, co przeczytać można, przejeżdżając przez liczne mosty na tej rzece na trasie Zgorzelec – Polanica-Zdrój. Ale uwaga: dla Niemców Nysa to rzeka na Śląsku. Na Śląsku bowiem i Zgorzelec (po niemiecku Görlitz) to jakoby Śląsk. To po prostu nieprawda. Sprawa jest z pozoru skomplikowana, ale w istocie prosta, aczkolwiek dwuwarstwowa. Warstwa pierwsza: Gdzie Śląsk, a gdzie Łużyce? Łużyce od Śląska dzieli z grubsza rzeka Kwis. Na wschód od Kwisy jest Śląsk, a na zachód są Łużyce. Granice historyczne zmieniła granica polityczna. I tak w latach 1815 i 1816 powstała pruska Prowincja Śląsk. Objęła ona swym zasięgiem na zachodzie ziemie łużyckie, tym samym Zgorzelec (po niemiecku Görlitz) stał się miastem leżącym administracyjnie na Śląsku, aczkolwiek terytorialnie pozostającym na Łużycach. Oczywiście dla Niemców Śląsk to właśnie owa pruska Prowincja Śląsk, a nie historyczna kraina. To zezwala bowiem na umieszczenie tablic informacyjnych na długo przed niemieckim Zgorzelcem, jadąc od strony Drezna, że oto wjeżdżamy na Śląsk (Schlesien). W ten sposób pielęgnuje się pamięć o ziemiach utraconych. W niemieckim Zgorzelcu (tego określenia się nie używa, zastępując je nazwą Görlitz) jest zatem konsekwentnie Muzeum Śląskie. W polskim Zgorzelcu natomiast mamy Muzeum Łużyckie.

NASZA PŁYTKA PAMIĘĆ

Polska pamięć historyczna jest poza tym płytka. W polskim Zgorzelcu kierunkowskazy prowadzą do Görlitz i do Dresden. Na granicy belgijsko-niemieckiej drogowskazy wskazują drogę do „Aix de Chapelle”. Czyli do Akwizgranu. Nieznana nazwa? Niemiecka nazwa to Aachen. W Polsce mieszkańcy Zgorzelca jeżdżą do Bautzen i Cottbus. Mało kto wie dzisiaj, że to Budziszyn i Chociebuż! Tak, to właśnie w Budziszynie 30 stycznia 1018 r. Bolesław Chrobry zawarł traktat pokojowy z cesarzem Henrykiem II, potwierdzający przynależność do Polski Łużyc i Milska. Weźmy sam Zgorzelec. Historycznie polski i niemiecki Zgorzelec to jedno i to samo miasto. Polski Zgorzelec leży przed Nysą (z perspektywy Niemiec za rzeką). Ale

Polacy mieszkający w Zgorzelcu nazywają niemiecką część miasta, łamiąc język, „Gorlic” (jakoby fonetycznie Görlitz) z odmianą „w Gorlicu”. Także autobusy przewożące pasażerów przez Nysę mają tablice z nazwami Zgorzelec/Görlitz lub odwrotnie. A przecież jest w Polsce też inne, podzielone przez politykę, wojnę czy historię miasto: Cieszyn. To miasto za Olzą zwie się zwyczajnie Czeski Cieszyn. Zatem można.

Polityka to sztuka podstępna. Sztandarowym przykładem takiej polityki jest określenie „polskie obozy zagłady”. Początkowo, niewinnie, starano się mnie przekonać (kiedy byłem redaktorem niemieckiego radia publicznego), że termin ten ma wyłącznie znaczenie geograficzne. Szybko okazało się, że niezupełnie. Geograficzne, ale w jakim okresie? Czy kiedykolwiek w dziejach były w Polsce obozy zagłady? Jeśli tak podejmiemy do problemu, to oka-

**Tłumaczyłem kiedyś,
że polski i ukraiński
są do siebie podobne,
ale nie są tożsame i po polsku
mówi się „na Ukrainie”**

że się, że rzekome znaczenie geograficzne tego terminu to nonsens. I tak np. Majdanek czy Sobibór były w Generalnym Gubernatorstwie, wchodzącym w skład Rzeszy Wielkoniemieckiej/Grossdeutsches Reich. Najstraszniejszy z nich, Auschwitz, leżał zgoła na terenie Reichu! Zatem geograficzne jakoby uzasadnienie posługiwania się nazwą „polskie obozy zagłady” to propagandowe kłamstwo, i to niezwykle skuteczne. Nigdy nie zapomnę wstrząsającego wystąpienia prezydenta USA Baracka Obamy 29 maja 2012 r. – i to na domiar złego podczas uroczystości związanych z pośmiertnym uhonorowaniem Jana Karckiego Prezydenckim Medalem Wolności – w którym użył on określenia „polski obóz śmierci”. Ambasador RP, obecny na tym wydarzeniu, nie zareagował. Protestu nie było. Nikt nie trzasnął drzwiami. Prezydent się wprawdzie zmytygował, ale słowo „przepraszam” nie padło. Nie wiem, kto pisał Obamie to przemówienie.

Słów kilka o nazwach miast. Znany niemiecki historyk, urodzony i wychowany w Poznaniu (do 1939 r. był zresztą obywatelem polskim), mówiący doskonale po polsku i po ukraińsku, Gotthold Rhode,

współpracujący z radiem Deutschlandfunk w Kolonii (gdzie byłem redaktorem), napisał w rocznicę napaści Niemiec na Polskę tekst, który miał być emitowany w języku polskim. Zdziwienie moje było przeogromne, kiedy wyczytałem w nim, że Polska planowała najwidoczniej atak na Niemcy, ponieważ przy poległych we wrześniu polskich oficerach znaleziono mapy, na których już – cytuję z pamięci – „znajdowały się polskie nazwy niemieckich miast na wschodzie, jakie otrzymały one po 1945 r.”. Wyjaśniłem, że one nazywały się tak zawsze, podobnie jak polskie miasta po niemiecku, np. Krakau (Kraków) czy Lemberg (Lwów).

DOŁOŻENIE KONSERWATYSTOM

Na Antarktydzie, ale w Australii. Na Ukrainie (na Węgrzech, na Malcie), ale w Irlandii. Nie słyszałem, by Węgrzy czy Maltańczycy protestowali przeciwko polskiemu nazewnictwu. Nie ma zresztą w nim niczego pejoratywnego, wbrew opiniom pewnych Ukraińców, którzy tak właśnie uważają. Dzisiaj „w Ukrainie” piszą i mówią w Polsce te media, które do napaści Rosji na Ukrainę były jednoznacznie rusofilskie. Ich celem nie jest miłość do Ukrainy, lecz jedynie wola dołożenia konserwatystom.

Nie zapomnę, jak wiele lat temu przyszedł do mnie kolega z redakcji ukraińskiej Deutsche Welle w Kolonii, kiedy byłem tam redaktorem, ze skargą, że w programie polskojęzycznym DW używa się określenia „na Ukrainie” zamiast „w Ukrainie”, jak to jest po ukraińsku. Wyjaśniłem, że wprawdzie polski i ukraiński są do siebie podobne, ale nie są tożsame i że po polsku mówi się „na Ukrainie”. Kolega bardzo się zdenerwował i złożył to na karb „polskiego kolonializmu”. Zbyłem to uwagą, że pewien Rusin został nawet królem Polski (Michał Korybut Wiśniowiecki), co go bardzo dziwiło, ale nie udobruchało.

Nieco później wybuchła afery ze Lwowem. W oficjalnych materiałach UEFA o miastach gospodarzach Euro 2012 podano, że Lwów był pod polską okupacją. „Lwów to kwintesencja Ukrainy. Właśnie tu przetrwały język i kultura kraju, pomimo praktycznie ciągłej okupacji” – można tam było przeczytać. Autorzy nie wyjaśnili jednak, dlaczego ten język tam przetrwał: bo Polska była krajem wolnym i nie zabraniała mniejszościom pielęgnować własnych kultur. I zgodnie z tą tradycją nie zabrania nadal. Ale to już inny temat.



W Królewcu (prawie) wszystko się zaczęło



Grzegorz Kucharczyk

Roman Dmowski podkreślał, że od przynależności Królewca i Prus Wschodnich zależy przyszłość Polski i Niemiec, a tym samym całej Europy Środkowej i Wschodniej

Gdyby nie rozbiory Polski, Prusy nigdy nie stałyby się europejską potęgą, a skoro tak – to nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec przez tę zmilitaryzowaną monarchię. Potężne, agresywne Niemcy nieoddzielone od imperialnej Rosji to recepta

na konflikt światowy, który wybuchł w sierpniu 1914 r. Bez wielkiej wojny nie byłoby zaś totalitaryzmów i kolejnej wojny światowej, z której Związek Sowiecki wyłonił się – by sparafrazować słowa obecnego rosyjskiego prezydenta – jako największe geopolityczne

dobrodzieństwo XX w.: od Łaby do Władywostoku. Do zbierania ziem ruskich w wersji 2.0 Putin przystąpił 24 lutego 2022 r.

Nie byłoby zaś znaczenia Prus, gdyby nie suwerenność w Księstwie Pruskim ze stolicą w Królewcu. Pruskiego księstwa nie byłoby, gdyby nie fatalna decyzja dwóch ostatnich Jagiellonów o dopuszczeniu Hohenzollernów do władzy nad Pregołą jako świeckich władców. Najpierw król Zygmunt I Stary zgodził się na mocy traktatu krakowskiego z 1525 r. na to, by Albrecht Hohenzollern – ostatni wielki mistrz zakonu krzyżackiego w Prusach – po zrzuceniu szat zakonnych i apostazji z katolicyzmu na luteranizm

Koronacja Fryderyka I w Królewcu
w 1701 r. FOT. DOMENA PUBLICNA



Gdy w 1454 r. mieszczenie i rycerstwo państwa zakonu krzyżackiego skupieni w Związku Pruskim oddawali się pod opiekę Kazimierza Jagiellończyka, król Polski, ogłaszając wcielenie do Korony ziem państwa zakonnego, postanawiał jednocześnie, że jednym z nowych województw będzie województwo królewieckie ze stolicą w Królewcu. Przebieg wojny trzynastoletniej i postanowienia drugiego pokoju toruńskiego (1466) sprawiły, że województwo to ostatecznie nie powstało. Po utracie Malborka Krzyżacy przenieśli swoją stolicę właśnie do Królewca, który do 1525 r. był nową stolicą państwa zakonu krzyżackiego.

Perspektywę powstania województwa królewieckiego oddaliła decyzja Zygmunta Augusta z 1563 r. o rozszerzeniu prawa do dziedziczenia księstwa pruskiego na te linie dynastii Hohenzollernów, które wyłączane były z prawa do władania w Królewcu na mocy traktatu z 1525 r. Ostatecznie brandenburscy Hohenzollernowie za zgodą Polski objęli władzę w Królewcu w 1618 r. (wcześniej sprawując kuratelę nad chorym Albrechtem Fryderykiem). Berlin i Królewiec w jednym ręku to śmiertelne zagrożenie dla polskiego Gdańska. Jednak u nas już wtedy mało kto patrzył uważnie na mapy.

Księstwo Pruskie ze stolicą w Królewcu stało się w XVII w. źródłem politycznej potęgi Hohenzollernów; odskocznią, dzięki której na początku kolejnego stulecia podjęli skuteczne starania o królewską koronę. Założony przez pierwszego księcia pruskiego w 1544 r. Uniwersytet w Królewcu (decyzję Albrechta zatwierdził król Zygmunt August) przez kolejne dekady był ważnym centrum życia intelektualnego wspólnoty protestanckiej, promieniującym również na ościenne ziemie Rzeczypospolitej.

Brandenburscy Hohenzollernowie przychodzili do Królewca w momencie, gdy w Rzeszy rozpoczynała się niszcząca wojna trzydziestoletnia (1618–1648). Jedną z najbardziej zniszczonych prowincji była Brandenburgia, regularnie rabowana przez armie katolickie (cesarskie) i protestanckie (szwedzkie). Księstwo Pruskie było z daleka. Królewiec nie doświadczył „niemieckiej wojny” i tam się schronił elektor Jerzy Wilhelm Hohenzollern – ojciec Fryderyka Wilhelma, który przeszedł do historii jako Wielki Elektor (1640–1688).

Największym osiągnięciem jego długiego panowania było uzyskanie pełnej suwerenności w Księstwie Pruskim na

mocy układów welawsko-bydgoskich z 1657 r. W ten sposób Hohenzollern okazał się jedynym realnym zwycięzcą potopu. Umiejętnie lawirując między Polską (której winien był pomoc jako lennik) i Szwecją (której stronę wziął zaraz na początku wojny), osiągnął rzecz najważniejszą – zrzućenie zależności lennej od Rzeczypospolitej. Od 1657 r. Hohenzollern w Królewcu sprawował supremum dominium.

Jako elektor brandenburski Hohenzollern był formalnie lennikiem cesarza (z katolickiej dynastii Habsburgów). Jako książę pruski nie podlegał nikomu. Królewiec – w przeciwieństwie do Berlina – nie leżał w obrębie Rzeszy. To dlatego syn Wielkiego Elektora, Fryderyk III (jako elektor brandenburski), uzyskawszy w 1701 r. zgodę na koronację królewską, tytułował się „królem w Prusach” (Fryderyk I). Koronacja odbyła się 18 stycznia 1701 r. w Królewcu, który w ten sposób niejako po raz drugi stawał się „Królewską Górą” (Königsberg) – po tym, jak w 1255 r. pierwotną lokację miasta nazwali tak Krzyżacy na cześć przebywającego wtedy na nadbałtyckiej „krucjacie” przeciw Prusom króla Czech Przemysław Ottokara.

KRÓLEWIEC – WARSZAWA WSPÓLNA SPRAWA

Od Welawy (uzyskanie suwerenności) biegła droga do królewieckiej koronacji. Jednak nie była to droga prosta i nic jeszcze nie było przesądzone. Trzeba bowiem pamiętać, że wśród stanów księstwa pruskiego – szlachty i mieszczaństwa, etnicznie pochodzenia niemieckiego, wyznaniowo protestanckich – perspektywa suwerennej władzy elektorów brandenburskich nad Pregołą nie budziła zachwytu. Wręcz odwrotnie. Obawiano się (i słusznie), że Hohenzollern będzie przenosił do Księstwa Pruskiego ustrojowe wzorce absolutyzmu, panujące już wcześniej w Brandenburgii. Przed 1657 r. zawsze była możliwość apelacji do polskiego suwerena. Pamiętano jeszcze, jak w 1635 r., gdy Rzeczpospolita stała u szczytu potęgi, król Władysław IV wziął stronę stanów w sporze z elektorem, co potwierdził, przybywając 14 lipca 1635 r. do Królewca z 2 tys. żołnierzy. W mieście nad Pregołą król Polski przebywał miesiąc, a wyjeżdżając, pozostawił w Królewcu swojego namiestnika, Jerzego Ossolińskiego. Po Welawie odwołania od absolutystycznych zapędów Hohenzollerna już nie było.

W latach 60. XVII w. Królewiec tęsknie spoglądał na Warszawę. Rzeczpospolita,

stał się jako książę pruski lennikiem Korony Polskiej.

WOJEWÓDZTWO KRÓLEWIECKIE?

Stańczyk na obrazie Matejki „Hołd pruski” zamartwiał się przyszłością. Jednak w 1525 r. nie wszystko jeszcze było stracone. Okazało się bowiem, że jedyny syn pierwszego księcia pruskiego, Albrecht Fryderyk, był umyślowo chory i nie miał męskiego potomstwa, a uprawnieni do dziedziczenia bracia księcia Albrechta umierali, nie pozostawiając synów. W tej sytuacji – zgodnie z zapisami traktatowymi z 1525 r. – Księstwo Pruskie miało powrócić do Korony Polskiej i stać się jednym z województw koronnych.

■ chociaż osłabiona wojnami, ciągle była postrzegana przez pruskie stany jako atrakcyjny model ustrojowy. Jednym z przywódców antyelektorskiej opozycji stanowej był przywódca mieszczańskich Hieronim Roth. W latach 1661–1663 Królewiec oraz szlachta pruska raz za razem wysyłali listy do króla Jana Kazimierza i „stanów sejmujących”, nalegając, by Rzeczpospolita nie rozdawała ich praw elektorowi „jak jabłka i gruszki”.

Wielki Elektor ocenił sprawę jako poważną i podjął stosowne środki. Najpierw w lipcu 1662 r. jego namiestnik w Księstwie Pruskim, ks. Bogusław Radziwiłł (zdrayca znany z potopu), zablokował swoimi wojskami miasto, by uniemożliwić wyjazd delegacji mieszczańskich królewieckich do Warszawy. Następnie w październiku 1662 r. Hohenzollern przybył osobiście do Królewca w towarzystwie 3 tys. żołnierzy. Armaty zostały wycelowane w miasto, a dragoni Hohenzollerna porwali Hieronima Rotha. Został osadzony w jednej z brandenburskich twierdz, gdzie przeżywał aż do swojej śmierci w 1678 r.

Rok po ekspedycji Wielkiego Elektora do Królewca jego mieszczańskie w końcu złożyli przysięgę na wierność Hohenzollernowi jako suwerennemu księciu pruskiemu. Porwanie w 1670 r. przez agentów brandenburskich płk. Christiana von Kalcksteina z Warszawy, a następnie jego egzekucja w twierdzy w Kłajpedzie zadała kolejny cios antybrandenburskiej opozycji w Księstwie Pruskim. Rządne państwo wiedziało, jak wykorzystać nastroje, które po 1657 r. panowały wśród pruskiej szlachty i mieszczaństwa Królewca. Jednak już wtedy Rzeczpospolita rządym państwem nie była. Sprawnie działali brandenburscy agenci wpływu (jurgielnicy), skutecznie paraliżując za pomocą liberum veto jakiegokolwiek próby aktywizacji polskiej polityki na pruskim odcinku. Taki los spotkał plany snute w połowie lat 70. przez króla Jana III Sobieskiego, który we współpracy z Francją i ze Szwecją planował przywrócić suwerenność Polski w Księstwie Pruskim (tajne układy z lat 1675–1677).

ROSYJSKI EPIZOD

Królewiec nie stał się więc nigdy stolicą polskiego województwa, choć – jak widać w pewnym momencie – wielu jego mieszkańców chciało się znaleźć pod polskimi rządami kojarzonymi z wolnością pod prawem. W XVIII w. Prusy Wschodnie wraz z Królewcem przez kilka lat znalazły się natomiast pod rządami zupełnie inne-

Królewiec nie stał się nigdy stolicą polskiego województwa, choć w pewnym momencie wielu jego mieszkańców chciało się znaleźć pod polskimi rządami kojarzonymi z wolnością pod prawem

go mocarstwa – carskiej Rosji. W 1756 r. zawiązała się skierowana przeciw Prusom Fryderyka II koalicja mocarstw kontynentalnych: Austrii, Francji i Rosji. Jednym z epizodów wojny siedmioletniej (1756–1763) było opanowanie przez Rosjan w 1757 r. Prus Wschodnich i Królewca. Caryca Elżbieta nakazała złożenie sobie przysięgi na wierność przez wschodniopruską szlachtę i królewieckich mieszczań, traktując tę ziemię jako na trwałe przyłączoną do Rosji.

Gdy karta wojny się odwróciła za sprawą „cudu domu brandenburskiego”, czyli śmierci carycy Elżbiety (nałogowej alkoholiczki) w 1762 r. – to zaś oznaczało, że w sytuacji, gdy król Prus „leżał już na łożotkach”, nowy car Piotr III nie tylko wycofał wojska rosyjskie z wojny, lecz także zawarł sojusz z Prusami – do Królewca i Prus Wschodnich powróciła monarchia Hohenzollernów. Jednak aż do swojej śmierci (w 1786 r.) Fryderyk II nie przyjeżdżał do odzyskanej prowincji, uważając zbyt ochocze złożenie hołdu Rosji przez mieszczańskich królewieckich i szlachtę wschodniopruską za akt zdrady.

Do zasady „raz rosyjskie, zawsze rosyjskie” powrócił w czasie drugiej wojny światowej Stalin. W rozmowach z zachodnimi aliantami, gdy domagał się przyłączenia Królewca wraz z określeniem do Związku Sowieckiego, powoływał się na czasy wojny siedmioletniej, gdy Prusy Wschodnie i Królewiec po raz pierwszy stały się rosyjskie.

ZŁOTY WIEK XIX

W XIX w. Królewiec – obok Szczecina – stał się jednym z najlepiej prosperujących portów pruskich nad Bałtykiem. Ukończona w drugiej połowie stulecia strategiczna Pruska Kolej Wschodnia, łącząca Królewiec z Berlinem, nie tylko miała znaczenie militarne, lecz także przyczyniała się do ożywienia wymiany handlowej, z której korzystało miasto nad Pregołą. W przeciwieństwie do Gdańska, który w wyniku rozbiorów Polski utracił swoje jednolite zaplecze gospodarcze (dorzecze Wisły dostało się w obręb trzech państw), Królewiec zachował ten ważny czynnik rozwoju ekonomicznego.

W 1861 r. odbyła się w Królewcu druga i ostatnia królewska koronacja. Koronę włożył sobie na skronie (podobnie jak w 1701 r. uczynił to pierwszy „król w Prusach” Fryderyk I) Wilhelm I, od 1871 r. pierwszy cesarz niemiecki. W tym drugim przypadku żadnej koronacji nie było, ale obwołanie Hohenzollerna cesarzem niemieckim (Deutscher Kaiser) zostało starannie zainscenizowane przez Bismarcka w Sali Zwierciadlanej pałacu wersalskiego 18 stycznia 1871 r. Data nie była przypadkowa. „Żelazny kanclerz” chciał nawiązać w ten sposób do pierwszej królewieckiej koronacji.

TRZECIE PODEJŚCIE

W czasie pierwszej wojny światowej Prusy Wschodnie były jedynym obszarem Rzeszy Niemieckiej zajęтым czasowo przez obce wojska. W sierpniu 1914 r. ruszyła w kierunku Królewca ofensywa wojsk rosyjskich. Druzgocąca klęska Rosjan pod Tannenbergiem (bitwa okrzyczana przez niemiecką propagandę jako „rewanż za Grunwald”) pokazała, że ruch ten był całkowicie nieprzemyślany. Jednak rosyjska ofensywa zmusiła Niemców do wycofania paru dywizji z frontu zachodniego. Do dzisiaj część historyków twierdzi, że w ten sposób Rosjanie uratowali Paryż przed niemiecką ofensywą, której zabrakło tych oddziałów, które powstrzymywały marsz Rosjan na Królewiec.

W czasie wielkiej wojny i podczas paryskiej konferencji pokojowej (styczeń–czerwiec 1919 r.) za sprawą obozu narodowo-demokratycznego powróciła w nowej formie koncepcja królewieckiego województwa. Stojący na czele Komitetu Narodowego Polskiego Roman Dmowski w swoich memoriałach wysyłanych do aliantów przekonywał o konieczności oddzielenia Prus Wschodnich z Królewcem od Niemiec. „Północna część Prus Wschodnich, ta niemiecka placówka założona przez zakon krzyżacki w obcym kraju, musi wobec swego odosobnienia od Niemiec być związana w przyszłości z państwem polskim. Może ona być albo autonomiczną prowincją tego państwa, albo oddzielną małą republiką związaną z Polską unią celną, co jedynie może

zapewnić jej pomyślność ekonomiczną” – przekonywał w lipcu 1917 r. swoich brytyjskich czytelników Roman Dmowski („Zagadnienia środkowo- i wschodnioeuropejskie”).

Przy tej samej okazji Dmowski podkreślał, że od przynależności Królewca i Prus Wschodnich zależy przyszłość Polski i Niemiec, a tym samym całej Europy Środkowej i Wschodniej, czyli niewrażliwego dla bezpieczeństwa całego Starego Kontynentu regionu. Alternatywa była bowiem – jak pisał Dmowski w 1917 r. – następująca: „Albo przyszłość niemiecka mówiącej po niemiecku dwumilionowej ludności pomiędzy ujściem Wisły i Niemna będzie zabezpieczona kosztem pociągającym za sobą zniszczenie całego narodu polskiego”, albo naród polski „odzyska swe niezawisłe stanowisko w Europie w warunkach zapewniających mu swobodny rozwój, przez co wspomniany wyżej, zniemczony szmat ziemi będzie oddzielony od Niemiec”. Na konferencji pokojowej, gdy się okazało, że na skutek brytyjskiej dywersji nawet Gdańsk nie stał się na powrót polski, tym bardziej trudno było myśleć o polskim Królewcu.

Podczas drugiej wojny światowej Królewec aż do czasu podjęcia przez aliantów tzw. bombardowania strategicznego był właściwie na uboczu działań wojennych. Dwa wielkie bombardowania sił powietrznych RAF 26 sierpnia oraz w nocy z 29 na 30 sierpnia 1944 r. obróciło koronacyjne miasto królów pruskich w perzynę. Najprawdopodobniej podczas drugiego z tych nalotów została zniszczona słynna bursztynowa komnata przechowywana właśnie w Królewcu po wywiezieniu jej przez Niemców z pałacu w Carskim Siole.

KANT Z POWOJENNA NAZWĄ MIASTA

Koniec niemieckiego Królewca nastąpił 9 kwietnia 1945 r., gdy miasto po trwającym niemal cztery miesiące oblężeniu zdobyła Armia Czerwona. Jak już wspomniano, Stalin wystąpił z pretensjami do Królewca wraz z okregiem, czyniąc się spadkobiercą carskiej Rosji. Ostatecznie na konferencji wielkiej trójki w Poczdamie przesądzono, że Królewec wraz z okregiem zostanie przyłączony do Związku Sowieckiego. Moskwa zyskiwała kolejną bazę morską nad Bałtykiem,

ponieważ miasto „wybitnego sowieckiego filozofa Immanuela Kanta” (jak pisano w sowieckich przewodnikach) stało się bardzo szybko wielkim garnizonem (i tak jest do dzisiaj). Stalin dopilnował ponadto, by Królewec (od 1946 r. – Kaliningrad) z okregiem został włączony do rosyjskiej republiki sowieckiej, a nie na przykład litewskiej. Jakżeby inaczej wyglądała sytuacja tego miasta i całej Europy Środkowej, gdyby sowiecki dyktator zdecydował inaczej! Jedno jest pewne – do dzisiaj za sprawą należącego do Rosji okręgu kaliningradzkiego widmo Stalina ciąży nad architekturą bezpieczeństwa całej Europy Środkowej.

Obecna nazwa miasta – na cześć jednego z sowieckich ludobójców (Kalinin, jako przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRS, był w czasach stalinowskich formalnie głową państwa sowieckiego) – odzwierciedla hybrydowość postsowieckiej Rosji. Przez pewien czas po rozpadzie ZSRS rozważano nadanie miastu nowej nazwy – Kantograd – w nawiązaniu do jego najsłynniejszego obywatela. Autor „Krytyki czystego rozumu” ostatecznie przegrał jednak z sowieckim aparaczką. Signum temporis.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ALIOR BANK

POŻYCZKA Z GWARANCJĄ

RATA STAŁA JAK SKAŁA

RRSO 16,11%

- 7 zł – średni miesięczny koszt za każdy pożyczony 1000 zł
- Okres pożyczki od 3 do 5 lat

www.aliorbank.pl

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) Pożyczki z Mikrokosztami VII wynosi 16,11%; całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów): 18 300 zł; całkowita kwota do zapłaty: 25 435,60 zł; oprocentowanie stałe: 8,69%; całkowity koszt pożyczki: 7135,60 zł, w tym prowizja: 2616,90 zł (14,3%), odsetki: 4518,70 zł; 55 miesięcznych rat, w tym 54 równe raty w wysokości 462,47 zł, ostatnia rata: 462,22 zł. Kalkulacja została dokonana na 21.03.2022 r. na reprezentatywnym przykładzie.

Maksymalna kwota pożyczki wraz z kredytowanymi kosztami wynosi 70 000 zł. Ostateczne warunki kredytowania zależą od zdolności kredytowej klienta, kwoty pożyczki, daty wypłaty pożyczki oraz daty płatności pierwszej raty. Szczegóły oferty oraz Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.



Piotr Semka

Minęło 40 lat od nadania pierwszej audycji podziemnego Radia Solidarność. Władze potraktowały pojawienie się radia jako wyjątkowo bezczelne wyzwanie ze strony podziemia

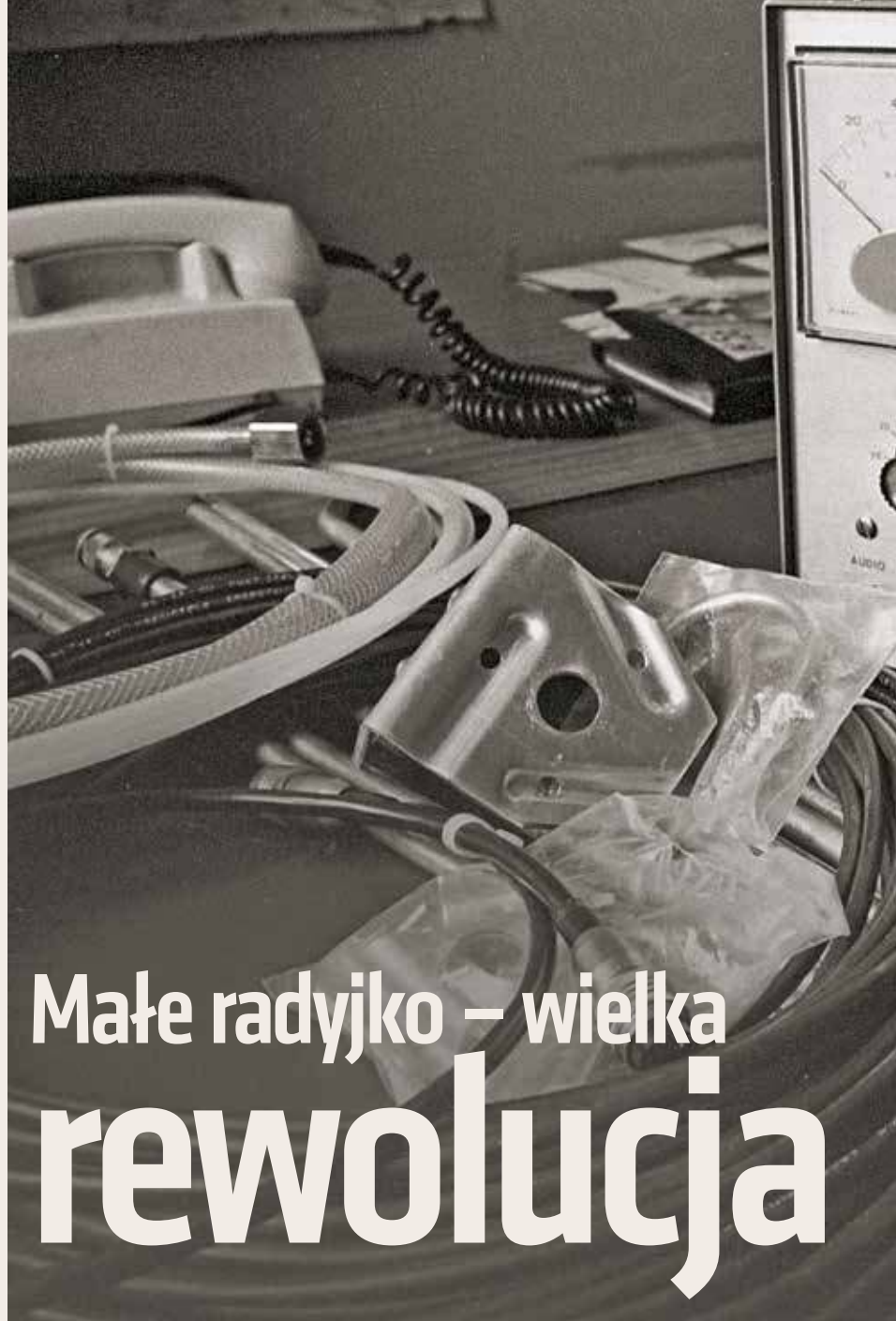
Czterdzieści lat temu swoją pierwszą audycję wyemitowało podziemne Radio Solidarność. Audycja nadana w Poniedziałek Wielkanocny 12 kwietnia 1982 r. była ogromnym sukcesem propagandowym podziemia Solidarności i postawiła na nogi zaskoczony aparat MO i SB.

Realizacją tego pomysłu zajęło się małżeństwo Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, których po aresztowaniu w 1983 r. zastąpiło wielu kolejnych szefów.

Radio działało siedem ciężkich podziemnych lat, by zakończyć funkcjonowanie po zwycięstwie wyborczym Solidarności w czerwcu 1989 r.

PONIEDZIAŁEK BŁYSKAJĄCYCH ŚWIATEŁ

Pierwsza audycja nadana została w Poniedziałek Wielkanocny 12 kwietnia 1982 r. o godz. 21. Dwóch działaczy podziemia – Janusz Klekowski i Marek Rasiński – wdrapało się z nadajnikiem na dach wysokościowca przy ul. Grójeckiej 19/25 w Warszawie. Budynek wybrano tak, by był wysoki i znajdował się wśród licznych kamienic i bloków warszawskiej Ochoty. Do tej pierwszej audycji podziemni radiowcy przygotowali się z dużym namysłem. Wybrano na dzień edycji Wielki Poniedziałek. Wynikało to z założenia, że mobilizowani wiele razy od 13 grudnia 1981 r. milicjanci zapewne zostaną na święta zwolnieni, gdyż władze nie spodziewały się, by w czasie Wielkanocy mogło dojść do jakichś większych zajęć. Informacje o tym, że należy poszukiwać audycji na skalach radioodbiorników, przyniosły warszawiakom ulotki, które rozrzucono w tłumach wychodzących z kościołów, począwszy od Wielkiego Piątku. Były w nich podane godzina audycji i prośba o potwierdzenie udanego odbioru poprzez miganie światłem w mieszkaniu.



Małe radyjko – wielka rewolucja

Treść radiowego przekazu zdominowały informacje o sytuacji więźniów politycznych znajdujących się w areszcie przy Rakowieckiej. Audycję otwierał słynny potem już motyw zagrany na prostym flecie w myśl pierwszych taktów okupacyjnej piosenki „Siekiera, motyka”.

Ten dość frywolny sygnał wywoławczy nowej radiostacji był zresztą swoistym znakiem firmowym Zofii Romaszewskiej, która do swojego stylu konspiracji zawsze włączała pewien element ironii i humoru. Romaszewska na początku była ze swoim pomysłem na okupacyjny motyw osamotniona. Janusz Klekowski, współzałożyciel radia, wspominał po latach: „Zbyszek

Romaszewski i ja chcieliśmy, żeby to była melodia patetyczna, zgodna z duchem czasu. »Z dymem pożarów« czy »Rota«. Ale cokolwiek nam przychodziło do głowy, to się okazywało, że już gdzieś wykorzystano tę melodię. Zosia Romaszewska, współtwórczyni radia, obstawiała od początku za pierwszymi taktami »Siekiera, motyka« – znanej warszawskiej piosenki z czasów okupacji, co wydawało się nam zbyt lekkie. W końcu na tym stanęło i okazało się, że był to doskonały pomysł”.

Bardzo szybko zaczęło być modą wśród warszawiaków, aby na pytanie, skąd ktoś zna jakąś najnowszą antypaństwową pogłoskę, odpowiadać za



było niemal powiesić siekiere. Wskazówka zegara pokazuje 21, wszyscy gapią się na tarcze, mają włączone radyjka na odpowiednie częstotliwości i nic. Cisza. Radyjka milczą. Na twarzach niektórych drukarzy widzę lęk, że władzy udało się złapać ekipę mającą nadawać program. I nagle w tej ciszy słychać dźwięk okupacyjnej fujarki. Z piersi chyba 150 drukarzy, którzy byli wówczas na zmianie na Nowogrodzkiej, wylał się gigantyczny ryk triumfu i zaraz potem porządkujące okrzyki: ciszej, ciszej, zamknijcie się, bo chcemy usłyszeć, co mówią w radiu. Myślę, że nigdy nie przeżyłem tak wielkiej satysfakcji jak w ciągu tych 10 minut”.

POMYSŁ NA CZAS MOROWY

Za tym pomysłem stał mało dziś pamiętany fenomen gigantycznego wkładu w rewolucję Solidarności ludzi z wykształceniem technicznym. Począwszy od lat 40., gdy w Polsce coraz wyraźniejszy stawał się brutalny stalinizm, młodzież z patriotycznych rodzin inteligenckich starała się wybierać kierunki techniczne, a nie humanistyczne, gdzie nacisk ideologiczny był o wiele silniejszy. Po raz pierwszy widoczne było to w czasie października 1956 r., kiedy to wiece na Politechnice Warszawskiej były o wiele wyraźniejsze pod względem haseł antykomunistycznych niż na innych uczelniach. Tak samo w czasie Marca '68 strajki na Politechnice Warszawskiej w o wiele większym stopniu miały wyrazisty charakter antykomunistyczny, pozbawiony złudzeń wobec socjalizmu od tych, które pojawiały się o wiele częściej np. na Uniwersytecie Warszawskim.

Tak samo było po rozpoczęciu tworzenia struktur Solidarności na terenie całego kraju. Inteligencja techniczna nadawała ton aktywności politycznej w wielu regionach Solidarności na terenie całego kraju. Po strajku bydgoskim po 1981 r. z inicjatywy inżynierów łączności radiowej pojawił się pomysł zbudowania całej serii nadajników, które mogłyby pomóc poszczególnym regionom utrzymywać ze sobą łączność, nawet gdyby władze próbowały je odciąć od oficjalnych linii.

Pracami nad taką specjalną solidarnościową siecią łączności kierował prof. Ryszard Kołyszko. Zbigniew Romaszewski spotkał go w czasie zimy po 13 grudnia 1982 r. w mieszkaniu prof. Jana Kielanowskiego, jednego z nestorów warszawskiej opozycji. Jak wspominał Romaszewski:

pomocą krótkiego gwizdnięcia pierwszych taktów „Siekiery, motyki”. Lubiło tak robić szczególnie wojenne pokolenie, które powtarzało w ten sposób okupacyjny zwyczaj naśladowania sygnału BBC: „Bum-bum, bum, bum, bum”.

Janusz Klekowski tak wspomina sam moment nadawania audycji: „Na dachu Marek Rasiński trzymał antenę, a ja sprawdzałem odbiór kilka metrów dalej na małym radiu. Nagle zobaczyliśmy, że niemal cała Warszawa w zasięgu naszego wzroku migocze od zapalanych i gaszonych świateł. To był najpiękniejszy moment naszego życia, czułem euforię, patrząc na te światła”.

Jan Abgarowicz, działacz podziemnej grupy Regionu Mazowsze o kryptonymie Armenia, pracował wówczas jako korektor w drukarni przy Nowogrodzkiej, gdzie składano „Expres Wieczorny”, „Przegląd Sportowy”, „Życie Warszawy” i „Słowo Powszechne”.

„Tego dnia jak zwykle w drukarni panował niezły hałas, bo pracowało tu aż 17 linotypów. A jednak im bliżej było godz. 21, na którą zapowiadano audycję, tym bardziej wszystko wokół cichło. Za to każdy wyciągał ze swoich toreb małe radyjko tranzystorowe. Gdy już tylko paru minut brakowało do 21, było takie napięcie, że w dojmującej ciszy można

FOT. WOJCIECH KOPCZYŃSKI/PAF

„Miałem pomysł, żeby zamienić sprzęt do komunikacji między regionami Solidarności na nadajniki, z których można było nadawać programy radiowe. Profesor Kołyszko potwierdził, że jest to realne. Prace chwilę potrwały, ale na przełomie marca i kwietnia byliśmy już gotowi. Była na to najwyższa pora, bo nastroje po grudniowej rozprawie komuny z Solidarnością zaczynały być minorowe. A podziemne kierownictwo Związku chciało powoli rozkręcić nastroje w myśl sloganu »zima wasza, wiosna nasza«.

Sukces pierwszej audycji z 12 kwietnia przeszedł najśmielsze oczekiwania. Następnego dnia po emisji cała Warszawa huczała, czuć było ogólną radość i wszyscy czekali na kolejne emisje. Najważniejszym z punktu widzenia zbiorowych emocji elementem nadawania audycji radiowych była praktyka migania światłami po udanej transmisji. W teorii mająca służyć jedynie technikom radia do określenia skuteczności emisji fal radiowych. Miganie światłami zamieniło się jednak w spon-taniczną demonstrację przeciw ekipie Jaruzelskiego. Ludzie mieszkający na wielkich osiedlach po zakończonych audycjach wychodzili specjalnie na balkony, aby obserwować masowe mruganie światłami.

Jak wspominał Piotr Skwieciński, wówczas działacz młodzieżowej konspiracji: „Genialny był pomysł, żeby słuchacze zamigali światłami trzy razy, jeśli odbiór był bardzo dobry, dwa razy – jeśli zadowalający i jeden raz – jeśli niezadowalający. Całe miasto się rozbłysło”.

Sam Romaszewski przyznawał potem po latach: „Chociaż starano się, nie byliśmy w stanie tego efektywnie sprawdzać na mieście. Bardziej było to efekt jednoczący warszawiaków niż niosący jakieś informacje dla nas, emiterów”.

Ekipy Radia Solidarność najczęściej nadawały z windziarni w wysokościowcach. Tam też podłączano się do zasilania windy. Antenę wystawiano na zewnątrz za pomocą pożyczonej przez jednego z działaczy wędki szczupakowej. Jak wspominają aktywiści radia, miało to jedną niedobłą konsekwencję. Właściciel wędki był zapalonym wędkarzem i zamęczał wszystkich pytaniami, czy aby nie straci wędki w czasie kolejnych akcji.

Romaszewski wspomina: „Tylko naszą pierwszą audycję nadawaliśmy, jak to określaliśmy, »z ręki«, czyli nadający w czasie emisji był przy nadajniku i obsługiwał go. Potem ze względów bezpieczeństwa zdecydowaliśmy się już na

Kierownictwo MSW zwróciło się z prośbą o pomoc do bratnich resortów państw socjalistycznych o technologiczną pomoc w stworzeniu systemu namierzania „wrogich radiostacji”

inną procedurę. Nadajnik był umieszczany w odpowiednim miejscu i włączany z użyciem mechanizmu opóźniającego. Nasi ludzie odchodzili i potem zabierali nadajnik dopiero po paru dniach, gdy nabrali pewności, że nie został on namierzony i nie jest obserwowany przez bezpiekę. Chodziło o to, „żeby w najgorszym razie stracić urządzenie, a nie ludzi”.

Władze potraktowały pojawienie się Radia Solidarność jako wyjątkowo bezczelne wyzwanie ze strony podziemia. Specjalistom z MSW od techniki radiowej zarządono, że mają stworzyć lotne patrole, które miały się zajmować telepelengacją, czyli namiarem radiowym ewentualnych nadajników. Ten zapał dowództwa resortu wywołał kłóliwne uwagi nawet w samym środowisku milicyjnym, gdzie pod nosem sarkano, że Polacy takie działania skojarzą ze znanymi z filmów rajdami niemieckich samochodów radiopelengacyjnych, które krążyły po ulicach okupowanej Warszawy, szukając AK-owskich radiostacji.

Historycy IPN wskazują, że z zachowanej dokumentacji MSW wynika, iż kierownictwo resortu zwróciło się z prośbą o pomoc do bratnich resortów państw socjalistycznych o technologiczną pomoc w stworzeniu systemu namierzania „wrogich radiostacji”.

RADIO I MAŁA POLITYKA

Znaczenie radia było w tym czasie dość istotne. Jak wspominała Zofia Romaszewska: „W tym samym czasie, to jest wiosną 1982 r., w śledztwie w sprawie zastrzelenia sierżanta MO Karosa strasznie bito Stanisława Matejczuka (członka konspiracyjnej grupy młodzieżowej, która próbowała rozbroić milicjanta). Poinformowaliśmy w radiu o tym biciu i proszę sobie wyobrazić, że przestali”.

To małżeństwo Romaszewskich wymyśliło Radio Solidarność, ale szybko

przekonało się, że władze podziemnego regionu Mazowsze, na czele ze Zbigniewem Bujakiem, reagują na to raczej z krytycyzmem niż z wdzięcznością.

Romaszewski wspomina: „Grupa Bujaka przyjęła Radio »S« z wyraźnie mieszanymi uczuciami. Myślę, że po prostu nie podobało im się, że dzieje się coś ważnego poza nimi. Zablockowali więc nam kontakty z zagranicą i pieniądze z zagranicy. Pamiętam poświęcone tym sprawom spotkanie z Bujakiem, bardzo ostre w przebiegu, w mieszkaniu na osiedlu Kludyny na Żoliborzu. My mieliśmy już jednak wtedy pieniądze ze składek związkowych zbieranych w zakładach i z kolei zagroziliśmy, że ich nie odprowadzimy do Regionu. Dzięki temu odblokowali nam tę pomoc z Zachodu”.

Wojciech Stawiszyński, który przejął prace nad zespołem Radia Solidarność po aresztowaniu Romaszewskich w sierpniu 1982 r., podkreśla, że wokół tej pomocy z Zachodu narosło potem wiele mitów. Jak wspomina: „Nadajników wykonaliśmy własnym sumptem ponad 100 egzemplarzy w czterech rodzajach. Najlepiej sprawdzały się nadajniki, które wysyłały sygnał, który wyciszał głos w telewizorze i zjawiał się niespodziewanie. Ten rodzaj emisji robił na widzach najbardziej poruszające wrażenie i tworzył przekonanie, że Solidarność to jakaś silna organizacja, która potrafi włączyć się w prace wszechpoteżnej komunistycznej telewizji. Ale wszystko to było wynikiem pracy naszych techników, a nie żadnych cudownych zabawek z Zachodu. Wpadła mi w ręce jedna z książek zachodnich autorów o pomocy CIA dla podziemia solidarnościowego. W książce »Szaleństwo i chwała« Tima Weinera autor pisze, że amerykańskie służby wysyłały nadajniki radiowe dla polskiego podziemia. To bzdura. Wszystko robiliśmy sami”.

Radio Solidarność dotrwało do 1989 r., mając na koncie tylko trzy poważne wpadki. W 1988 r. ekipa radia przyjęła nawet „czeladnika” z Węgier, była to Roza Demsky, opozycjonistka, która chciała skopiować doświadczenia polskich solidarnościowców nad Dunajem. Cztery egzemplarze nadajników weterani Radia Solidarność złożyli w warszawskim Muzeum Techniki. Do dziś są grupą przyjaciół, a ich ulubionym wspomnieniem jest rozświetlona błyskającymi światłami w oknach Warszawa w chłodny kwietniowy Poniedziałek Wielkanocny 1982 r. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

1920
i 2022

Profesor Norman Davies powiedział niedawno, że wiek XX był dla Ukraińców tym, czym dla Polaków był wiek XIX. A więc epoką klęsk, zakończonych fiaskiem zrywów i wielkich rozczarowań. Samotnej, pełnej niepowodzeń walki o niepodległość.

Fortuna odwróciła się na korzyść Ukrainy dopiero na przełomie wieków. Upadek Związku Sowieckiego dał jej niepodległość. Obrona Kijowa przed Rosjanami w roku 2022 będzie zaś dla Ukraińców tym, czym dla Polaków obrona Warszawy przed bolszewikami w roku 1920.

Te słowa Daviesa przypominały mi się, gdy czytałem ciekawą książkę „Czas Samotności. Ukraina w latach 1914–2022”. Dwaj znakomici historycy – prof. Michał Klimecki i prof. Zbigniew Karpus – wyjątkowo dobrze dobrali tytuł. Ukraina w tym okresie rzeczywiście była samotna.

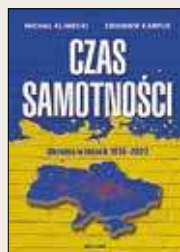
Jedynym wyjątkiem było wsparcie, którego niepodległościowym aspiracjom Ukrainy udzieliła Polska. Mowa o pakcie Piłsudski-Petlura i wyprawie kijowskiej. Wspólna walka o niepodległość zakończyła się nieestety dla Ukraińców wielkim zawodem. Polacy w Rydze dogadali się z bolszewikami za ich plecami i zo-

stawili swoich sojuszników na lodzie.

Zawodem skończył się również sojusz, który część Ukraińców podczas drugiej wojny próbowała zawrzeć z Niemcami. Berlin odrzucił wyciągniętą w jego stronę rękę. Zamiast sprzymierzyć się z narodami uciemiężonymi przez Stalina, Niemcy w 1941 r. narzucili im równie ludobójcze i krwawe jarzmo.

Zachód po raz kolejny rozczarował Ukrainę w 2014 r. Mimo że w memorandum budapeszteńskim Anglosasi zagwarantowali ukraińską integralność terytorialną – gdy Rosjanie zajęli Krym, Amerykanie i Brytyjczycy nie przybyli na ratunek.

Jak jest teraz, gdy Kijów po raz kolejny walczy z rosyjskim najazdem? Czy Ukraina nie jest już samotna? Autorzy książki wskazują, że agresja Putina spowodowała, iż Zachód wreszcie okazał większe zainteresowanie Ukrainą i jej strategicznym znaczeniem.



★★★★★
**MICHAŁ KLIMECKI,
ZBIGNIEW KARPUS**
**„CZAS SAMOT-
NOŚCI. UKRAINA
W LATACH
1914–2022”**
BELLONA

Zachód w odpowiedzi na inwazję wprowadził atomowe sankcje na Rosję i dostarcza Ukraińcom pokaźne ilości nowoczesnej broni. Czy będzie to wsparcie wystarczające? To się okaże już wkrótce. Wojna wchodzi bowiem w fazę rozstrzygającą. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Węgierski
skandal króla

Dziwnym trafem najwybitniejsi władcy z dynastii Piastów byli również największymi kobieciarzami. Wszystkich przeliczytował Kazimierz Wielki, który oprócz licznej gromadki kochanek miał jednocześnie trzy legalne żony. Kolejnych ślubów udzielali mu wysocy dostojnicy kościoła, nie przejmując się specjalnie bigamią króla.

Na swoją dwuznaczną sławę Kazimierz pracował już jako następca tronu. Mając lat 19, pojawił się na czele polskiego poselstwa na węgierskim dworze, gdzie królową była jego starsza siostra, Elżbieta. Stało się to przyczyną ogromnego skandalu.

Królewicz bowiem, nie zwracając uwagi na fakt, że był już żonaty, zachwyił się dwórką siostry, Klarą Zach. Zapewne nie spodziewał się oporu, damy dworu z reguły nie odmawiały względów mężczyznom królewskiej krwi. Spotkał się jednak z odmową i poprosił siostrę o pomoc. Na jej polecenie udawał obłożnie chorego i królowa odwiedziła go w towarzystwie Klary. Pod jakimś pozorem jednak opuściła komnatę, pozostawiając brata samego z dziewczyną, a ten zgwałcił dwórkę.

Po wyjeździe królewicza Klara poskarżyła się ojcu, jednemu z najbogatszych węgierskich magnatów. Ten zaprzagnął zemsty i z mieczem wdarł się do zamkowej jadalni, usiłując zamordować monarszą rodzinę. Zdołał

zranić króla Karola Roberta, a Elżbiecie odrąbać cztery palce u dłoni, zanim padł pod ciosami dworzan.

Zamach na rodzinę królewską uchodził za jedną z największych zbrodni w tej epoce i reakcja węgierskiego dworu okazała się wyjątkowo okrutna. Zwłoki Zacha poćwiartowano i rozesłano do najważniejszych miast królestwa, a jej brata rozerwano kołniami. Sąd królewski oficjalnie skazał na śmierć wszystkich członków rodu do trzeciego stopnia pokrewieństwa, a dalszych powinowatych ukarał wygnaniem. Klarze natomiasz obcięto nos, wargi oraz palce u rąk i obwożono w klatce po kraju, zmuszając, by przeklinała ojca.

To oficjalna wersja wydarzeń, historycy obecnie jednak powątpiewają w przekazy kronikarzy. Nikt nie podważa tragicznego końca rodu Zachów, ale cała afery mogła mieć zupełnie inne podłoże. Felicjan Zach od wielu lat należał do opozycji i wprowadzie uznał Karola Roberta, ale nigdy nie powrócił do dawnego znaczenia. Był człowiekiem ogarniętym żądzą władzy i prawdopodobnie stanął na czele antykrólewskiego spisku, a sam zamach nie miał nic wspólnego z uwiedzeniem Klary. Afera przyniosła jednak Kazimierzowi wyjątkowo złą sławę w Europie, nad czym usilnie pracowali Krzyżacy. Nie przeszkodziło to jednak w królewskiej koronacji Piasta, co nastąpiło 25 kwietnia 1333 r. ©©

Oligarcha i przyjaciel Putina Wiktor Medwedczuk po nieudanej próbie ucieczki w mundurze ukraińskiego żołnierza z aresztu domowego FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Wojna oligarchów



Maciej Pieczyński

Zełenski pokonał i próbował politycznie dobić Poroszenkę, wyzwolił się spod wpływów Kołomojskiego, a teraz dobrał się do skóry Medwedczukowi. Ukraińscy oligarchowie robią własne interesy, czasem zgodne z tym narodowym, czasem wręcz przeciwnie

Tuż po napaści rosyjskiej Wiktor Medwedczuk uciekł z aresztu domowego, w którym przebywał od maja 2021 r. Przebrany za ukraińskiego żołnierza próbował prawdopodobnie zbiec do Naddniestrza, skąd miał być ewakuowany przez FSB do Rosji. Został jednak zatrzymany przez SBU. Zdjęcia przyjaciela Putina w kajdankach, z nietęgą miną, obiegły Internet, stając się kolejnym propagandowym zwycięstwem Kijowa. Zełenski zaproponował Moskwie wymianę prorosyjskiego polityka za ukraińskich jeńców. Pytany o to przez dziennikarzy rzecznik Kremla odciął się od Medwedczuka, stwierdzając, że przecież nie jest on obywatelem Rosji. Żona polityka Oksana Marczenko zaapelowała do władz w Londynie o wymianę jeńców brytyjskich w niewoli rosyjskiej na męża. Wreszcie sam Medwedczuk w nagraniu, opublikowanym przez ukraińskie służby, zwrócił się do Putina i Zełenskigo, aby wymieniono go na mieszkańców i obrońców oblężonego przez Rosjan Mariupola. W chwili, gdy idzie do druku ten numer „Do Rzeczy”, nie wiadomo jeszcze, jak potoczą się losy prorosyjskiego polityka.

KUM PUTINA

Wiktor Medwedczuk był w latach 90. wziętym i bogatym prawnikiem. Wcześniej, w czasach ZSRS, jako obrońca z urzędu ukraińskiego dysydenta i poety Wasyla Stusa domagał się wyższego wymiaru kary niż prokurator. Był szefem kancelarii prezydenta Leonida Kuczmy. Przyjaźnił się z Władimirem Putinem, który jest ojcem chrzestnym jego córki. Poznali się w 2003 r. Medwedczuk wielokrotnie odwiedzał Putina w Moskwie i w Soczi, towarzyszył mu podczas

oglądania wyścigów Formuły 1 i turniejów sambo. Rosyjski dziennikarz Michaił Zygar przekonywał swego czasu, że żadna kwestia dotycząca Ukrainy nie może być załatwiona bez udziału „kuma Putina”. Po aneksji Krymu rząd USA objął Medwedczuka sankcjami, oskarżając go o przyczynianie się do konfliktu na Ukrainie. Polityk umiejętnie kreował się na człowieka, który ze względu na świetne relacje z Putinem idealnie nadaje się do roli pośrednika pomiędzy Moskwą a Kijowem.

Współtwórca i jeden z liderów partii Opozycyjna Platforma – Za Życie, która otwarcie opowiada się za zbliżeniem z Rosją. Wiele wskazuje na to, że Medwedczuka wspierał podczas swojej prezydentury Petro Poroszenko, co mogło być częścią nieformalnego porozumienia z Kreml. Przykładem są działania SBU, wymierzone w traderów LPG, umożliwiające firmom kontrolowanym przez prorosyjskiego polityka przejęcie ok. 40 proc. ukraińskiego rynku. Ponadto za Poroszenki Medwedczuk był negocjatorem pomiędzy Kijowem a separatystami, lobbując za upodmiotowieniem „republik ludowych”. Pośredniczył też w rozmowach o wymianie jeńców.

W interesy Medwedczuka uderzył dopiero Zełenski. W lutym 2021 r. zamknął prorosyjskie kanały telewizyjne 112, ZiK i NewsOne, należące do Tarasa Kozaka, bliskiego współpracownika Medwedczuka, a w rzeczywistości do samego Medwedczuka. Niedługo potem kum Putina został objęty sankcjami. W maju trafił do aresztu domowego w związku z podejrzeniem o zdradę stanu. Zarzuty dotyczyły m.in. ujawnienia tajemnicy państwowej, tworzenia informacyjnej armii działającej na rzecz antyukraińskich interesów czy próby kradzieży surowców na anektowanym Krymie we współpracy z okupantami. Areszt Medwedczuka, będącego wówczas deputowanym do Rady Najwyższej, był możliwy, ponieważ Zełenski, zgodnie z obietnicą wyborczą, zniósł immunitet.

KOŁOMOJSKI I POŁOWICZNA ZEMSTA

Wołodmyr Zełenski uważany był za polityczne dziecko Ihora Kołomojskiego. Obaj pochodzą z obwodu dniepropietrowskiego na południowym wschodzie Ukrainy. Zełenski z Krzywego Rogu, Kołomojski – z Dniepra (dawniej Dniepropietrowsk). Obaj pochodzą też z rosyjskojęzycznych rodzin żydowskich. Zanim Zełenski został głową państwa, jako komik rozśmieszał

widzów telewizji 1+1, należącej do Kołomojskiego. Również ta stacja wyprodukowała i wyemitowała słynny serial „Sługa narodu”, w którym przyszły prezydent gra prezydenta pochodzącego z „ludu”, zwykłego Ukraińca na czele państwa. Pomysł na to, by komediowa fabuła stała się rzeczywistością, powstał ponoć w głowie Kołomojskiego, gdy ten popadł w konflikt z Poroszenką. Stracił zajmowane wówczas stanowisko gubernatora obwodu dniepropietrowskiego, a należący do niego największy na Ukrainie bank Prywat został znacjonalizowany. Zełenski swój start w wyborach prezydenckich ogłosił na antenie telewizji Kołomojskiego. Komik miał być „zemstą” oligarchy na Poroszenku. A po dojściu do władzy – gwarantem jego interesów. Plan sprawdził się połowicznie. Zełenski wygrał, ale wiele wskazuje na to, że od patrona się odciął. Nie tylko nie pomógł Kołomojskiemu odzyskać znacjonalizowanej własności, lecz także przymusił w Radzie Najwyższej przepisy zakazujące zwrotu banków poprzednim właścicielom, nawet jeśli zostały odebrane z naruszeniem prawa.

W 2014 r. Kołomojski, jako bodaj jedyny ukraiński oligarcha, stanął twarzą po stronie Kijowa przeciwko Moskwie. Państwo wciąż jeszcze pogrążone było w porewolucyjnym chaosie, więc zaangażowanie biznesmena było kluczowe dla obrony przed prorosyjską rebelią obwodu dniepropietrowskiego, zamieszkałego w większości przez ludność rosyjskojęzyczną, podatną na propagandę separatyzmu. Fotel gubernatora proponowano wielu oligarchom, ale zgodził się tylko Kołomojski. Sam wiele zainwestował w walkę z wpływami Moskwy. Finansował bataliony ochotnicze. Przekazał im należące do PrywatBanku furgonetki, służące do konwojowania pieniędzy. Przerobione zostały na transportery opancerzone. Za każdego schwytanego zwolennika „Noworosji” płacił 10 tys. dol. Zapowiedział, że na Dniepropietrowszczyźnie separatyzm nie przejdzie. I dotrzymał słowa. Pomógł też w utrzymaniu Charkowa przez Kijów – tamtejszego mera przekonał do proukraińskiego kursu. Na konferencjach prasowych występował w prześmiewczej koszulce z napisem „żydobandero-wiec”. Oligarcha przyczynił się w sposób znaczący do utrzymania integralności terytorialnej Ukrainy. Oczywiście dostrzegł w tym własny interes. To jednak nie umniejsza jego realnych zasług.

■ Pięć lat później zmienił jednak front. W listopadzie 2019 r., gdy Zełenski i jego partia rządili już Ukrainą, a Kołomojski wciąż nic z tego nie miał, uraczył opinię publiczną prorosyjskimi i antyzachodnimi wypowiedziami na łamach „The New York Times”. „Ludzie chcą pokoju, dobrego życia, nie chcą być na wojnie” – przekonywał oligarcha. Podobnej retoryki używał w kampanii wyborczej Zełenski, obiecując jednak dążenie do zakończenia konfliktu, ale bynajmniej nie drogą kapitulacji. Tymczasem Kołomojski zasugerował, że w konkretnych warunkach Ukraina może porozumieć się z Rosją. Zarzucił Stanom Zjednoczonym, że chcą prowadzić wojnę „do ostatniego Ukraińca” i „nawet nie dają nam pieniędzy na to”. Zagroził, że jeśli Amerykanie „będą się wymądrzać” w relacjach z Kijowem, to Kijów zwróci się w kierunku Moskwy. „Rosyjskie czołgi będą stały pod Krakowem i Warszawą, a wasze NATO będzie robiło w portki i kupowało pampersy” – grzmiał. Wyraził przekonanie, że ani Unia Europejska, ani NATO nigdy nie przyjmą Ukrainy. Zachód w jego opinii zawiódł, nie otworzył rynków, nie dostarczył obiecanej pomocy. Dlatego – argumentował Kołomojski – należy dążyć do poprawy relacji z Rosją, która jest silniejsza niż Zachód. A trauma wojny w Donbasie minie w ciągu kilku lat i normalne stosunki staną się w pełni możliwe. „Nie ma sensu tracić czasu na puste rozważania. Moskwa z radością nas przyjmie do nowego Układu Warszawskiego” – stwierdził miliarder. Jednocześnie zapewnił, że „nie kocha Rosji”.

Po 24 lutego pozostał w kraju jako jeden z niewielu oligarchów. Prawdopodobnie jednak nie z powodów patriotycznych, lecz z obawy o ekstradycję do Stanów Zjednoczonych, które objęły go sankcjami z powodu malwersacji finansowych. Z drugiej strony, jak zauważył mer Dniepra Borys Fiłatow, Kołomojski został w zagrożonym agresją mieście, a mógł wyjechać choćby do swojej rezydencji w Bukowelu na zachodzie kraju. O tym, że nie wyjechał, wiadomo stąd, że widziano go w synagodze (którą sam zresztą sfinansował). Nie wychyla się. Nie wiadomo, czy teraz też, jak osiem lat temu, wspiera walkę z agresorem. Jeśli tak, to robi to po cichu.

POROSZENKO I EUROPEJSKA SOLIDARNOŚĆ

Z kolei głośno po wybuchu wojny jest o innym przedstawicielu wielkiego biznesu, zaciekle wrogu zarówno

Kołomojskiego, jak i Zełenskiego. Były prezydent i wciąż aktualny oligarcha Petro Poroszenko już w pierwszych dniach inwazji udzielał wywiadu zachodnim mediom, z kałasznikowem w ręku patrolując ze swoimi ludźmi Kijów. Nie tylko finansuje obronę terytorialną w stolicy, lecz także sam się do niej zapisał. Lider opozycyjnej partii Europejska Solidarność na czas wojny najwyraźniej zawiesił politykę, ale raczej zagraniczną, wykorzystując doświadczenie i rozpoznawalność w świecie. Do Macrona zwrócił się publicznie: „Emmanuelu, czekamy na ciebie w Kijowie”, dodając przy tym, że taka wizyta byłaby ważnym gestem. Gdy Boris Johnson porównał wojnę na Ukrainie do brexitu, Poroszenko odpowiedział na antenie brytyjskiej telewizji ITV News: „Tylko dzisiaj mamy 150 ukraińskich dzieci, które zostały zabite przez rosyjskich żołnierzy i rosyjską artylerię. Czy mogę zapytać, ile domów zostało zniszczonych z powodu brexitu? Mamy całe miasta, które zostały całkowicie zniszczone”. W wywiadzie udzielonym francuskiej telewizji BFMTV wezwał europejskich partnerów do wywarcia większego nacisku na Putina.

Gdyby nie wojna z Rosją, Ukrainę toczyłaby wewnętrzna polityczna wojna pomiędzy Zełenskim a Poroszenką. Były prezydent został oskarżony o zdradę stanu i wspieranie terroryzmu. Sąd zatrzymał jego paszport i zajął majątek. W porozumieniu z prorosyjskim politykiem Wiktorem Medwedczukiem Poroszenko miał kupować węgiel z okupowanych terenów Donbasu, finansując w ten sposób separatystów, a także wstrzymać dostawy węgla z RPA, tym samym uniemożliwiając dywersyfikację źródeł energii. Według Poroszenki sprawa ma charakter polityczny i jest zemstą Kołomojskiego za PrywatBank, wykonaną rękami Zełenskiego. Biorąc pod uwagę stan relacji „sługi narodu” z jego dawnym patronem, teoria ta jest dość wątpliwa. Jeśli rzeczywiście to było polityczne zamówienie, to zamawiającym nie był Kołomojski, tylko sam Zełenski. Europejska Solidarność to największa siła na opozycji. Zarzut zdrady stanu to uderzenie w czuły punkt Poroszenki, który konsekwentnie budował wizerunek antyrosyjskiego patrioty. Szermował nacjonalistyczną retoryką, ale jednocześnie podpisał niekorzystne dla

Ukrainy porozumienia mińskie, których przestrzegania (w rosyjskiej, skrajnie niekorzystnej interpretacji) domagał się przed inwazją Putin. Ponadto przez pierwszy rok wojny w Rosji funkcjonowała należąca do ukraińskiego prezydenta fabryka słodczy Roshen – aż do momentu zajęcia majątku przez rosyjski Komitet Śledczy. Poroszenko, będąc u steru państwa, nie uderzył w prorosyjskie interesy „kuma Putina” Wiktora Medwedczuka. Być może dlatego, że były to częściowo również jego interesy. Medwedczuka unieszkodliwił dopiero Zełenski. Choć i tutaj doszukiwano się podtekstów politycznych. Medwedczuk, walczący o elektorat rosyjskojęzyczny, potencjalnie bardziej zagrażał Zełenskiemu niż Poroszence.

Dziś już jednak nie zagraża ani Zełenskiemu, ani Poroszence, ani niepodległości i integralności terytorialnej kraju, którego jest obywatelem. Wielce prawdopodobne, że gdyby Rosjanie zdobyli Kijów, to właśnie Medwedczuk zostałby przywódcą podporządkowanej Putinowi, marionetkowej Ukrainy.

Wojna zmienia układ sił. Ukraina przez wiele lat była rządzona przez licznych i walczących ze sobą oligarchów, którzy bronili jej interesu, gdy akurat był zbieżny z ich rachunkiem ekonomicznym. Dziś Kijów zależny jest głównie od pomocy z Zachodu, od wyszkolenia i determinacji własnych żołnierzy. Ale deoligarchizacja zaczęła się na długo przed 24 lutego. W listopadzie 2021 r. Zełenski podpisał ustawę, która miała ograniczyć wpływ przedstawicieli wielkiego biznesu na politykę. Osobom, wpisanym do specjalnego rejestru oligarchów, zabroniono finansowania partii i kandydatów w wyborach, udziału w demonstracjach politycznych oraz uczestnictwa w prywatyzacji mienia państwowego. Wysocy urzędnicy zostali zobowiązani do składania oświadczeń o każdym kontakcie z oligarchą. Ustawa miała bardziej symboliczny niż realny wymiar, była jednak krokiem w stronę zmniejszenia wpływu przedstawicieli wielkiego biznesu i potężnych magnatów medialnych na politykę. Gdy po napaści rosyjskiej oligarchowie zaczęli masowo uciekać z kraju, Zełenski dał im 24 godziny na powrót, w przeciwnym razie grożąc wyciągnięciem bliżej nieokreślonych konsekwencji. Część z nich posłuchała.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



JAK ROSJA REMONTOWAŁA „MOSKWĘ”

Ukraińcy zatopili dumę rosyjskiej Floty Czarnomorskiej – krążownik „Moskwa”. Według mediów statek zatonął też przez chciwość i korupcję. Przypomniano ostatnie przetargi na jego modernizację, po których blisko 700 mln rubli

przeznaczonych na zmianę wyposażenia „zaginięło”, a całkowicie odnowiono jedynie pociski przeznaczone do testów. To dlatego statek okazał się po agresji na Ukrainę niezdolny do ochrony powietrznej.

NA TROPIE TEŚCIOWEJ

Rosyjska telewizja Tsargrad wyemitowała program o „śledztwie” dziennikarskim blogera Siergieja Zergulii. Ten dowodził, że „odkrył” w Moskwie nieruchomości, które miała

posiadać rodzina ukraińskiego prezydenta. Miało tam być m.in. mieszkanie teściowej Zelenskiego. W ślad za tymi odkryciami ruszyli prokremlowscy dziennikarze. I szukali owej teściowej. Okazało się, że to 53-letnia mieszkanka Moskwy, która po prostu tak samo się nazywa. Olga Kijaszkowa powiedziała „The Moscow Times”, że teraz obawia się o własne życie.

ATAK, KTÓREGO NIE BYŁO

Tajwańska sieć telewizyjna – Chinese Television System – w ubiegłym tygodniu wyemitowała pasek informacyjny o tym, że Chiny zaatakowały krytyczną infrastrukturę

w regionie Tajpej oraz okręty tajwańskiej floty. Zaznaczono, że „może to oznaczać wybuch wojny”; a prezydent wprowadził stan wojenny. Okazało się jednak, że telewizja omyłkowo wyemitowała komunikat przygotowany na potrzeby ćwiczeń z departamentem straży pożarnej Tajpej. Nadawca przeprosił mieszkańców, których wystraszył.

TROSKLIWI JAK NIEMCY

Niemiecki koncern produkujący opony – Continental – ogłosił, że wznowia produkcję w Rosji. W oświadczeniu zaznaczył, że decyzja nie była podyktowana chęcią osiągnięcia zysku. Chodzi po prostu o zwykłą ludzką troskę o pracowników. „Naszym pracownikom i menedżerom w Rosji grożą poważne konsekwencje karne, jeśli powstrzymamy się od zaspokajania lokalnego popytu” – stwierdziła firma. I podkreślała, że opony są „z zasady” przeznaczone do użytku cywilnego. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Autonomiczna przyszłość

Internet obiegało nagranie przedstawiające amerykańskich policjantów zatrzymujących samochód, w którym nie było kierowcy. Jak się okazało, autonomiczny pojazd został zatrzymany, bo „zapomniał” włączyć światła. Po zauważeniu sygnału do zatrzymania chevrolet bolt grzecznie się zatrzymał, a po nieudanej próbie dostania się policjanta do środka i odejścia stróża prawa ruszył dalej. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej za najbliższym skrzyżowaniem. Jak wyjaśnia firma Cruise, właściciel auta, nie była to jednak próba ucieczki, lecz zgodna z algorytmem próba zaparkowania

auta w bezpieczniejszym miejscu. Samochód nie zapalił światła. I komu teraz przyznać mandat? Właścicielowi? Programiście? To jedno z wyzwań stojących przed prawodawcami na całym świecie.

W zeszłym tygodniu Wielka Brytania ogłosiła, że w nowelizowanym kodeksie drogowym już wkrótce dopuści w określonych sytuacjach jazdę w trybie autonomicznym – np. w korkach na autostradzie. W takim przypadku kierowcy mają zyskać prawo do oglądania telewizji na wbudowanym ekranie, choć używanie telefonów komórkowych ma pozostać zabronione. Dopiero

w 2025 r. mają zostać na Wyspach wprowadzone przepisy całkowicie uwzględniające technologiczną rewolucję na drogach.

Nowe rozwiązania są pilnie potrzebne nie tylko na drogach. Coraz więcej firm w Europie jest już gotowych do dostarczania pizzy czy przesyłek pocztowych za pomocą autonomicznie latających dronów lub autonomicznych minipojazdów na kołach, które bez problemu poruszają się już po chodnikach i same potrafią dostosowywać trasę do zmieniającej się sytuacji na drodze. Nadchodząca rewolucja to więc zapewne nie kwestia dekad, ale zaledwie kilku lat. ©



Ryszard Gromadzki z Buczy

„Buczka to Ukraina”. Jeśli te słowa – napisane sprayem na murze przy wjeździe do miasta – potraktować jako metaforę, to Rosja utraciła kontrolę nad Ukrainą nieodwracalnie. Bez względu na to, jak się zakończy „specjalna operacja” Putina

Buczka – 30-tysięczne miasto u wrót Kijowa – była okupowana przez Rosjan od 3 do 30 marca. Jej fragmenty zostały zrównane z ziemią. Według lokalnych władz ponad 400 mieszkańców zostało zamordowanych przez okupantów. Ludzie ginęli od kul snajperów na ulicach, podczas ewakuacji korytarzami humanitarnymi. Byli zabijani strzałami w tył głowy, po torturach. Wśród ofiar znaleziono ciała kobiet i dzieci.

ALEJA ROZSTRZELANYCH

W masowej mogile na terenie przylegającym do cerkwi w centrum Buczy ekshumowano 67 ciał. Prokurator Ruslan Krawczenko, prowadzący śledztwo w sprawie rosyjskich zbrodni wojennych w Buczy, mówi, że ofiary, które pochowano w tym prowizorycznym grobie, zostały tam przewiezione z ulic. Niektóre leżały nawet dwa tygodnie. Dopiero w połowie marca, kiedy zaczęło robić się cieplej i sytuacja groziła wybuchem zarazy, okupanci zgodzili się na zebranie ciał. Najwięcej ofiar znaleziono na ulicy Jabłonskiej. Mieszkańcy Buczy mówią o niej teraz „aleja rozstrzelanych”. Przez kilkanaście dni marca ulica była zaślana trupami. Według relacji nielicznych mieszkańców ulicy Jabłonskiej, którzy pozostali na miejscu, zbieranie ciał wiązało się z ogromnym ryzykiem, bo pod niektórymi ciałami Rosjanie zostawiali miny.

Lekarz Anton Podował, który brał udział w przenoszeniu ciał zamordowanych mieszkańców, zauważył, że większość zginęła od kul snajperów. – Zabijali z pełną premedytacją, dla sportu, celując w głowy ludzi, którzy w desperacji wychodzili z piwnic w poszukiwaniu bliskich, jedzenia czy wody – opowiada Podował. Dodaje, że ciała znajdowane są wciąż

w piwnicach domów, w płytkich grobach na terenie skwerów i parków, w okolicznych lasach. – Wiele ciał ma ślady bicia i tortur. Kobiety były gwałcone – zaznacza.

ŚMIERĆ ZA TATUAŻ

Duża część domów i mieszkań w Buczy została splądrowana i ograbiona przez Rosjan. Wszędzie widać ślady kul. Na ulicy Centralnej mieszkańcy wskazują blok, w którym zainstalowała się rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa. Ściślej rzecz ujmując, FSB urządziła tam katownię, do której trafiali głównie młodzi mężczyźni. Sprawdzano ich domniemane związki z „faszystowskim reżimem” w Kijowie. Sprawdzano biciem. Jak relacjonują sąsiedzi, jeden z przesłuchiowanych przez katów mężczyzn, Igor Litwienienko, został zamordowany za to, że na jego przedramieniu Rosjanie odkryli tatuaż, który uznali za banderowski. Zmasakrowane ciało Igora sąsiedzi znaleźli po kilku dniach w jednej z piwnic. Śmierć groziła nie tylko za „banderowskie tatuaże”, lecz także za posiadanie telefonu komórkowego.

ŚWIADEK ZBRODNI

Mężczyzna napotkany w tłumie ludzi czekających na pomoc humanitarną pod budynkiem rady miejskiej w Buczy

opowiada, że podczas okupacji miasta przez Rosjan dokumentował ich zbrodnie. Okazało się, że Ihor i jego żona Raisa są pasjonatami fotografii. Pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa Ihor zrobił kilka zdjęć ludzi zastrzelonych przez Rosjan. Wspólnie z Raisą opowiadają historię swojej sąsiadki. 25 marca kobieta postanowiła wyjść na ulicę po wodę. Owinęła się białym prześcieradłem w przekonaniu, że to ją uchroni. Po chwili rozległ się strzał. Rosyjski snajper trafił ją w głowę. Kobieta zginęła na miejscu. Wraz z mężem i córką sąsiadki ściągnęli jej ciało z ulicy. Obmyli z krwi i ułożyli na drabinie. Przez kilka dni trzymali zwłoki w komórcie w ogrodzie. Pochówek był możliwy dopiero po 30 marca, kiedy Rosjanie wycofali się z Buczy. – Dlaczego to robiłeś? Przecież mogłeś zginąć – pytam Ihora. – Dla historii – odpowiada krótko.

GDZIE JEST ZEŁENSKI?

Ihor i Raisa mówią, że mieli sporo szczęścia. Stacjonujący w pobliżu ich domu Rosjanie nie byli tak brutalni jak „kadyrowcy”, czyli Czeceńcy z gwardii Ramzana Kadyrowa. To oni budzili największy postrach. Ale nie oni jedni.

Osiemdziesięcioletnia Lidia Siłakon opowiada, że kiedy do jej domu wtara-



FOT. RYSZARD GROMADZKI

Przebaczenia nie będzie

gnęli „Buriaci”, pierwsze, o co zapytali, to „Gdzie jest Żelenski?”. – Oni byli gorsi niż Niemcy. Wiem, o czym mówię, urodziłam się krótko po tym, jak niemieckie wojska wkroczyły do Kijowa. Nasza matka sama wychowała troje dzieci – mówi staruszka.

Kiedy do Buczy wkroczyli Rosjanie, poruszająca się z trudem Lidia była w domu sama. Przez kilka dni jej córka Lora nie miała żadnych wiadomości, czy matka żyje. W końcu zdesperowana postanowiła pójść do jej domu, choć mogła to przypłacić życiem, a na pewno narazić się na gwałt. – Pomyślałam: zostawia 50-letnią babę. Muszę iść do mamy – wspomina Lora. Obie kobiety wybuchają płaczem, kiedy przypominają sobie spotkanie, do którego nie doszło. – „Mamo, mamo, żyjesz?” – krzyczałam z ulicy w stronę domu, bo rosyjscy żołnierze nie pozwolili mi się zbliżyć do niego. Przed domem stał czołg – relacjonuje Lora. Lidia słyszała wołanie. – Ale nie mogłam się podnieść z łóżka, nie miałam siły, aby odpowiedzieć – wspomina. Kobieta mówi, że kiedy do jej domu weszli Rosjanie, powiedzieli, że przyszedł nas wyzwolić. – Zapytałam ich: Od kogo przyszłście nas wyzwolić? To nasza ziemia!

LORA I PIETIA

Lora i jej mąż Pietia, małżeństwo z 31-letnim stażem, w czasie okupacji Buczy dali świadectwo hartu ducha i człowieczeństwa. W piwnicy przedszkola Jabłoń po wejściu Rosjan przebywało przez kilka dni ponad 500 ludzi. Za sprawą poświęcenia i obrotności Lory i jej męża przeżyli dzięki zapasom z przedszkolnej kuchni.

– Po kilku dniach przestały pracować generator i lodówki. Pokroiliśmy mięso i zasoliliśmy, zostało trochę ryżu i kaszy. Gotowaliśmy to wszystko na ruszcie przy wyjściu z piwnicy i tak przeżyliśmy – opowiada Lora.

– Nie było prądu ani gazu. Światło w piwnicy mieliśmy dzięki olejowym lampkom. Paliły się przez jakieś sześć godzin, ale bardzo kopciły – wspomina Pietia.

W połowie marca po ewakuacji w piwnicy pozostało ok. 60 starych, zniedołężniałych ludzi. Lora i Pietia przy pomocy Wiki i jej męża gotowali dla nich wszystkich to, co pozostało do jedzenia. Donosili wodę ze studni. Za każdym razem musieli w tej sprawie negocjować z Rosjanami. – Robiliśmy, co było można. Nie wszystkim udało się uratować. Jedna 90-letnia

babunia zmarła z powodu braku leków. Tu było jej posłanie – Lora wskazuje miejsce w rogu piwnicy. – Zasłużyłaś z Pietią na niebo – mówię. – Nie mogliśmy inaczej – odpowiada.

WOLONTARIUSZE DR. PODOWAŁA

Według Tarasa Szafranskiego, przewodniczącego rady miejskiej w Buczy, rosyjska okupacja miasta pokazała, że Ukraińcy są silnym, świadomym swojej tożsamości narodem. To samo dotyczy lokalnej społeczności. Zdaniem Szafranskiego zdecydowana większość ludzi, którzy pozostali w mieście, zachowała się lojalnie wobec państwa ukraińskiego, pomimo mordów i represji ze strony Rosjan. – Przypadki kolaboracji z okupantem były bardzo odosobnione – podkreśla Taras Szafranski.

W czasie, kiedy Rosjanie mieli kontrolę nad miastem, radni Buczy starali się nieść pomoc mieszkańcom. W pewnym momencie stało się to niebezpieczne. Funkcjonariusze FSB zaczęli weryfikować listy urzędników samorządowych, miejscowi kolaboranci pomagali im rozpoznawać konkretne osoby. – Wtedy dr Podował przyjął część z nas do szpitala jako wolontariuszy. Tak doczekaliśmy końca okupacji – opowiada Szafranski. Na pytanie o zbrodnie wojenne Rosjan odpowiada, że według jego wiedzy ponad 90 proc. spośród 400 ofiar była poddawana torturom. Wiele ofiar, które zginęły od strzału w potylicę, miało ręce związane z tyłu. Widział jedno ciało, które miało wyłupione oczy. – Wierzę, że nikt ze sprawców nie zostanie bezkarny. Ustalimy ich nazwiska, znajdziemy i postawimy przed sądem – zapewnia Taras Szafranski.

TO JEST UKRAINA

– Uciekłam z Doniecka przed „ruskim mirem”. A „ruski mir” dopadł mnie tutaj – mówi jedna z kobiet mieszkających w schronie z desek i blachy, w których ludzie pozbawieni mieszkań chronią się przed zimnem wśród blokowisk. Obok na ruszcie gotuje się herbata. – Dobry czaj. Z polskich darów – zachwala Alek, jeden z mężczyzn siedzących przy palenisku. Kiedy pytam, czy nie boją się powrotu Rosjan, zaprzeczają. – Nikogo się nie boimy. Tu jest Ukraina – mówi Siergiej. On, Alek i Gierman, z którymi rozmawiam, dzieląc się kubkiem gorącej herbaty, bardzo obrazowo opisują, co robią Rosjanom, jeśli jeszcze raz spróbują wyprawić się na Buczę. – Tego poniżenia, jakiego doświad-

czyliśmy z ich strony, tej pogardy nigdy im nie wybaczymy – zarzeka się Ludmiła, jedna z kobiet, które przetrwały okupację Buczy w piwnicy przedszkola Jabłoń. – Wychowywałam się w rodzinie sowieckiego wojskowego. W naszym domu mówiło się tylko po rosyjsku. Przysięgam, że po tym, co oni zrobili w Buczy, będę mówił tylko po ukraińsku.

INSTYNKT PRZETRWANIA

Dwa tygodnie po wyjściu Rosjan z Buczy w większej części miasta nie było prądu, wody, gazu, dostępu do Internetu. Ludzie żyją w bardzo trudnych warunkach. Ale rozpacz nie widać. – Płakaliśmy przez pierwszy tydzień. Teraz trzeba żyć – mówią oczekujący na pomoc przed budynkiem gimnazjum w Buczy. Pierwsze piętro budynku zostało przekształcone na centrum pomocy, wszędzie uwijają się wolontariusze i potrzebujący wsparcia. Na drugim piętrze szkoły stacjonuje oddział ukraińskiego wojska. Czuć kozacki ryt. Osełdce, sumiaste wąsy. Większość wygląda na weteranów Afganistanu. Chyba dają ludziom realne poczucie bezpieczeństwa.

Do Buczy wraca życie. Z ulic, na których jeszcze kilkanaście dni temu toczyły się zażarte walki, bardzo szybko usuwane są wraki spalonych czołgów i samochodów pancernych. Na obrzeżach miasta zobaczyć można na własne oczy skalę fiasko rosyjskiej operacji. W niektórych pojazdach zostały resztki mundurów. Prawdopodobnie ich załogi spłonęły żywcem.

KORZENIE ZŁA

Rozmawiając z ludźmi z Buczy, patrząc na ukraińskich żołnierzy czy ochotników z obrony terytorialnej, ma się wrażenie, że czas, który przeżywa Ukraina po najeździe Rosji, to być może punkt zwrotny w historii kraju. Rzeczywiste narodziny narodu. Ostateczne odcięcie od „ruskiego miru”.

Andrij Gołwin, pop cerkwi w Buczy, na której terenie pochowano ofiary rosyjskich zbrodni, mówi, że wojna Rosji z Ukrainą to nie tylko wojna w tradycyjnym rozumieniu. To mistyczna bitwa sił dobra i zła o „duszę Rusi”. Czy stworzenie ukraińskiej tożsamości na micie zmagania z Rosją może być trwałe bez przebaczenia? Babcia Andrija mówi, że czas na przebaczenie nie nadejdzie zaraz. – Wcześniej potrzeba wyrwać korzenie zła. Kiedy słucha się metropolity Cyryla, nie widać, żeby Rosja była na to gotowa. A bez uznania winy nie może być mowy o przebaczeniu – tłumaczy.

Narkotyki, czyli hańba narodowa po szkocku

FOT. ADRIAN STOK



Teresa Stylińska

Światową stolicą narkotyków są dziś nie USA, zalewane przez transporty kokainy z Ameryki Południowej, nie liberalna Holandia, z łatwym i legalnym dostępem do narkotyków miękkich, i nie azjatyckie kraje „złotego trójkąta”, kraina opium i haszyszu. Jest nią spokojna, mała, zaledwie pięciomilionowa Szkocja

Właśnie w Szkocji zażywanie środków odurzających pochłania, w przeliczeniu na liczbę mieszkańców, najwięcej ofiar. W 2020 r., według National Records of Scotland – to agenda rządowa, połączenie urzędu statystycznego z archiwum państwowym – wskutek zażywania narkotyków zmarło 1339 osób, co daje wskaźnik 27 zgonów na 100 tys. mieszkańców. W ciągu dwóch dni umiera więc siedem osób.

Raport, opublikowany latem 2021 r., zbiegł się w czasie z 25. rocznicą wejścia na ekrany słynnego filmu „Trainspotting”,

przedstawiającego losy kilku zaprzyjaźnionych narkomanów z Edynburga. Można by, z niewielką tylko przesadą, powiedzieć, że film Danny’ego Boyle’a był proroczy – w tym sensie, że narkomania, co uświadamia raport NRS, wrosła w życie Szkocji. Gdyby film powstawał dzisiaj, akcję należałoby jednak przenieść z Edynburga do Glasgow. To Glasgow bowiem, ze wskaźnikiem zgonów przekraczającym 46, jest dziś na czele ponurej listy.

NIE TRZYMALIŚMY RĘKI NA PULSIE

Istotnym elementem obrazu narkomanii w Szkocji jest również ogromne zróżni-

cowanie regionalne. W najbiedniejszych częściach Szkocji wskaźnik zgonów z powodu narkomanii jest aż 18 razy wyższy niż w rejonach najzamożniejszych! Fatalnie wypadła porównanie z Anglią i Walią, bo wskaźnik szkocki jest od angielskiego 3,5 razy wyższy.

W statystyce europejskiej jest jeszcze gorzej. Szkocja nie tylko bezapelacyjnie zajmuje pierwsze miejsce. Gdy patrzy się na wykresy, nie sposób nie zauważyć, że słupek szkocki wystrzeliwuje wysoko ponad wszystkie inne. Szwecja, Norwegia, Wielka Brytania i Irlandia, które zajmują kolejne po Szkocji miejsca, mają wskaźniki mniej więcej czterokrotnie niższe.

Informacje zawarte w raporcie Szkocją wstrząsnęły, choć właściwie nie powinny. Obraz, który się z nich wyłania, nie jest bowiem niczym nowym. Nagie fakty i liczby są od lat znane i oczywiście alarmujące. Jeśli coś naprawdę może szokować, to fakt, że skala narkomanii i liczba zgonów od lat niepowstrzymanie rosną i że nikt i nic nie zdołało tego zahamować. W połowie lat 90., gdy kręcono „Trainspotting”, wskutek zażywania narkotyków umierało co roku ok. 200 osób. W 2015 r.

liczba zgonów przekroczyła 600 i od tego czasu nastąpiło gwałtowne przyspieszenie. W 2018 r. zmarło 1,2 tys. osób, w 2019 r. – 1264. W Polsce przez ostatnie lata wskutek przedawkowania umierało ok. 200 osób rocznie.

Ogromna większość, bo 93 proc., szkockich narkomanów zmarła wskutek przedawkowania, choć – jak się ocenia – 4 proc. wypadków to świadome zażycie dawki śmiertelnej. Zdecydowanie dominowali mężczyźni – aż 72 proc. Za to stosunkowo niewielu było ludzi młodych. Średnia wieku zmarłych to 43 lata, a prawie dwie trzecie ofiar mieściło się w przedziale wiekowym 35–54 lata. To przeczy rozpowszechnionym opiniom, że narkotyki to domena ludzi młodych i niedojrzałych.

Aby obraz był pełen, dodajmy jeszcze jedną, wymowną liczbę: od 2007 r., gdy władzę objęła Szkocka Partia Narodowa, z powodu przedawkowania zmarło ponad 10,5 tys. osób! Nic dziwnego, że rząd znalazł się pod zmasowanym ostrzałem. Broni się, ale słabo, i nawet nie próbuje dowodzić, że na tym trudnym polu robił to, co należało. – To prawda, że nie trzymaliśmy ręki na pulsie – przyznała premier Nicola Sturgeon.

Z BIEDY I BRAKU PERSPEKTYW

– W Szkocji jest 60 tys. osób mających problem z narkotykami. W stosunku do liczby ludności to więcej niż w jakimkolwiek kraju Europy. Tak samo jest z liczbą zgonów. W Słowacji, która ma tyle samo ludności co Szkocja, z powodu narkomanii w 2017 r. zmarło 19 osób. W Szkocji: 1187 – podkreślał na swym blogu David Liddell, przewodniczący organizacji Scottish Drugs Forum.

Od chwili, gdy raport NRS ujrzał światło dzienne, trwają dyskusje, czemu jest tak źle i co teraz należy zrobić. Specjaliści od narkomanii skupiają się na różnicach między regionami zamożnymi i biednymi. To prowadzi do wniosku, że narkomania, ich zdaniem ponad wszelką wątpliwość, jest prostą pochodną biedy. Wynika z ubóstwa, braku pracy i edukacji oraz generalnie z braku życiowych szans. Po narkotyki sięgają ludzie zagubieni, którzy nie dają sobie rady z życiem. W dodatku takie postawy przechodzą z pokolenia na pokolenie, bo dla ludzi z rodzin bez perspektyw narkotyk bywa jedyną odskocznią. Przez to jednak tym trudniej jest przyjść im z pomocą.

Skutek ubóstwa? Ależ Szkocja uchodzi za kraj bogaty i tak też przedstawiają ją zwolennicy niepodległości, gdy dowodzą, że po zerwaniu z Anglią, którego wielu Szkotów nie może się doczekać, Szkocja bez problemu da sobie radę. Ma ropę naftową na Morzu Północnym, jest jednym z głównych centrów bankowych w Europie, niemałe dochody czerpie z turystyki. Jak tu mówić o biedzie?

Dodajmy do tego mnogość, taniość i łatwą dostępność tych środków. Bilans jest tak tragiczny również dlatego, że wielu narkomanów sięga po mieszaninę różnych substancji. To proste i łatwe. Niebezpieczny środek znany jako „uliczne valium”, przed którym mocno przestrzegała ostatnio policja z Glasgow, kosztuje zaledwie 50 centów za porcję.

Szkoccy politycy, niezależnie od barw partyjnych, są zgodni: rozmiary narkomanii i jej tragiczne skutki to prawdziwa „hańba narodowa” i „skaza na honorze Szkocji”. Mówią tak także ludzie z SNP, którym zarzuca się najcięższy grzech zaniedbania. Rząd SNP, dowodzą działacze, jest winien, bo parę lat temu obciął, i to o niebagatelną kwotę 47 mln funtów, fundusze na zwalczanie skutków narkomanii i alkoholizmu. Teraz próbuje to naprawić, zapowiadając, że w ciągu najbliższych pięciu lat na pomoc dla uzależnionych przeznaczy 250 mln funtów.

BEZ „MATKI” W KRAINIE POSTĘPU

Ta zapowiedź jest jednak bardzo ogólnikowa, bo nie wiadomo, jak owa pomoc ma wyglądać. Specjaliści uważają, że należy skupić się na eliminowaniu zagrożeń dla życia. Władze mają obowiązek zadbać o to, by ludzie, którzy nie potrafią zerwać z narkotykami, zażywali je nie na ulicy czy w ponurych spelunach, lecz w warunkach bezpiecznych, najlepiej we własnym domu lub w specjalnych ośrodkach, które nazwano Drugs Consumption Rooms; pilotażowy projekt takich ośrodków jest realizowany w Glasgow, nie wiadomo jednak, z jakim skutkiem. Zaleca się też szersze stosowanie naloksonu, który niweluje skutki przedawkowania, w krytycznej sytuacji ratuje więc życie.

No i konieczna jest dekryminalizacja. Trzeba leczyć, a nie karać – mówią działacze. Na tym polu władze szkockie mają jednak bardzo ograniczone możliwości, polityka narkotykowa pozostaje bowiem w gestii Londynu.

Specjaliści są przekonani, że trudne lata 80., gdy Szkocja stanowiła poletko doświadczalne dla reform Margaret Thatcher – m.in. zamykania kopalń i wprowadzenia pogłównego, czyli podatku od osób – pozostawiły piętno tak głębokie, że wielu ludzi, wówczas młodych, a dziś już zaawansowanych wiekiem, nigdy nie zdołało się z tym uporać. To, ich zdaniem, wyjaśniałoby, dlaczego w Szkocji wśród ofiar narkomanii nadreprezentowani są ludzie starsi.

Bieda i trauma istotnie mogą wiele tłumaczyć. Ale czy wszystko? Strefy ubóstwa są przecież wszędzie, jak Europa długa i szeroka, nie brakuje też krajów o wiele biedniejszych od Szkocji. Intrygujące jest też pytanie, dlaczego od ok. roku 2013 sytuacja gwałtownie zaczęła się pogarszać. Na wykresach dobrze widać, jak krzywa, przez kilkanaście lat wznosząca się stale, ale łagodnie, nagle ostro idzie do góry. Co się wówczas stało?

Nie ma badań, nie ma odpowiedzi, nie ma nawet próby refleksji. Trudno jednak nie stawiać pytania, czy rewolucja obyczajowa, mocno forsowana przez SNP, nie spowodowała rozchwiania społeczeństwa, ze wszystkimi fatalnymi tego skutkami. W ciągu paru lat, poczynając od 2014 r., gdy zezwolono na homoseksualizm, w Szkocji zrealizowano przecież wszystkie postępowe idee, poza jedną tylko eutanazją. Szkocki parlament właśnie się tym zajmuje, ale nastawienie społeczne jest nieprzychylnie.

Efekty rewolucji? Pary jedнопłciowe mają prawo do adoptowania dzieci. Nie wolno podawać w wątpliwość niczego, co stanowi kanon LGBT. Na Joannie Rowling nie zostawiono suchej nitki, gdy zgodnie ze zdrowym rozsądkiem wyśmiała określenie „osoba posiadająca macicę” – bo taka osoba, stwierdziła, to „kobieta”. W planach jest zakaz stosowania terapii konwersyjnej. SNP zapowiada, że jeśli nie uchwali go Izba Gmin, to Szkocja wprowadzi go sama.

Najgorsza jednak i społecznie najbardziej niebezpieczna jest łatwość dokonania zmiany płci. W 2018 r., według National Health Service, miało ją za sobą aż 24 tys. mieszkańców Szkocji! Już dzieci w przedszkolu są uczone, że chłopcem czy dziewczynką nie jest się raz na zawsze. A ostatnio na łamach dziennika „Scotsman” padło fundamentalne pytanie: Czy słowo „matka” zniknie z języka? W krainie postępu jest to pytanie zasadne.

Myśli za milion dolarów



Jacek Przybylski

Przeciętny amerykański pracownik, aby stać się tak bogaty jak Elon Musk, musiałby pracować co najmniej 3 mln lat. Kiedy więc ktoś tak zamożny postanowi zdominować ziemską orbitę swoimi satelitami, to po prostu to robi. A co, gdy nie podoba mu się, jak działa Twitter?

Elon Musk ma 50 lat i majątek tak wielki, że jest nie tylko najbogatszym żyjącym człowiekiem współczesnego świata, lecz także nawet – według obliczeń różnej maści analityków – najbogatszym człowiekiem, który kiedykolwiek stąpał po ziemi. Według magazynu „Forbes” jego majątek netto wyceniany był w kwietniu na 220–270 mld (sic!) dol.

Wycena majątku szefa lub współzałożyciela spółek takich jak Tesla, SpaceX, PayPal, Neuralink czy Boring Company waha się w zależności od tego, na ile wyceniane są posiadane przez niego akcje. Według serwisu MoneyTransfers.com przeciętny Amerykanin, aby móc pochwalić się podobnym poziomem bogactwa, musiałby pracować przez co najmniej 3 mln lat (oczywiście przy założeniu, że będzie swoje marne pensyjki odkładał, a nie trwonił na zakupy spożywcze, kredyt hipoteczny etc.). A to i tak prawdopodobnie zbyt optymistyczny scenariusz. Jest on bowiem oparty na danych o zarobkach podawanych przez Organizację Współpracy

Gospodarczej i Rozwoju (OECD), według której Amerykanin średnio zarabia ponad 69 tys. dol. rocznie. Serwis MoneyTransfers.com zwraca jednak uwagę, że według szacunków Rezerwy Federalnej St. Louis średnia dochodów osobistych w USA w 2020 r. wynosiła zaledwie 35 805 dol. rocznie. Przy takim założeniu przeciętny zjadacz chleba na zdobycie takiego majątku, jakim dysponuje Elon Musk, obecnie potrzebowałby... 6 mln i 100 lat.

Niestety, biednemu wiatr zawsze w oczy. Prawdopodobnie nawet tyle czasu nie starczyłoby, aby dorównać bogactwem szefowi Tesli, Space X i kilku innych firm, bo ten – jeśli wierzyć analitykom – w ciągu najbliższych dwóch lat ma się stać nie tylko miliarderem, lecz także pierwszym na świecie bilionerem.

Sam Elon Musk zapewne zna te wszystkie statystyki. W ubiegłym tygodniu ekscentryczny miliarder zauważył bowiem skromnie na Twitterze, że zaledwie jedna minuta jego „jakościowego myślenia” potrafi przynieść Tesli dodatkowy milion dolarów dochodu.

TRUJĄCA PIGUŁKA

I chociaż jeden jego komentarz w mediach społecznościowych może wywołać gigantyczne wzrosty lub spadki na giełdach, to sam Twitter miliarderowi się jednak nie podoba. Elon Musk uważa bowiem, że „cenzura” na tej platformie społecznościowej jest zbyt agresywna i godzi w fundament demokracji. Biorąc pod uwagę to, że Twitter zawiesił w ubiegłym tygodniu np. konto ArmedForcesUkr, na



Elon Musk to najbogatszy człowiek w historii ludzkości

FOT. CHRISTIAN MARQUARDT/GETTY IMAGES

którym publikowane były treści wspierające Ukraińskie Siły Zbrojne, trudno nie przyznać mu racji. Zresztą z sondażu przeprowadzonego przez miliardera na Twitterze właśnie wynikało, że siedmiu na dziesięciu internautów odpowiedziało przecząco na pytanie, czy słynny ćwierkający serwis wystarczającą wagę przykładają do troski o poszanowanie wolności słowa.

Jeden z najbardziej kontrowersyjnych, a jednocześnie najwybitniejszych światowych przedsiębiorców ogłosił pod koniec marca, że rozważa stworzenie własnej platformy społecznościowej, która lepiej dbałaby o wolność słowa. W kwietniu ruszył zaś na potężne zakupy. Na początku miesiąca ujawnił, że ma już pakiet 9,2 proc. akcji Twittera wart ok. 2,8 mld dol. i jest tym samym największym udziałowcem spółki. Na wieść o tak potężnym nowym inwestorze akcje serwisu założonego w 2006 r. przez Jacka Dorsey'a, Evana Williamsa, Noaha Glassa oraz Biza Stone'a poszybowały tak bardzo, że inwestorzy ćwierkającej platformy tak wielkich zysków z inwestycji nie widzieli od roku 2018. Wkrótce po tym wyszło na jaw, że twórca sukcesu Tesli i SpaceX chce przejąć całego Twittera, by wycofać go z giełdy, i jest w stanie za to zapłacić ponad 40 mld (!) dol. „Zainwestowałem w Twittera, ponieważ wierzę w jego potencjał, by stać się platformą wolności słowa na całym świecie, i wierzę, że wolność słowa jest imperatywem społecznym dla dobrze funkcjonującej demokracji” – napisał Elon Musk, zaznaczając, że od momentu kupna akcji zdał sobie sprawę z faktu, że Twitter w obecnej formie „ani nie będzie prosperować, ani służyć temu społecznemu imperatywowi”. „Twitter ma niezwykły potencjał. Uwolnij go” – zapowiedział ekscentryczny biznesmen.

W reakcji na plan tzw. wrogiego przejęcia – a więc następującego bez konsultacji z zarządem oraz głównymi akcjonariuszami – zarząd Twittera wdrożył plan zwany „trującą pigułką”, który znacząco utrudnia realizację planów miliardera. Historia pokazuje jednak, że takie strategie na dłuższą metę nie działają. Musk jako największy udziałowiec może też zawsze podać do sądu zarząd Twittera. Jeśli więc miliardersię nie rozmyśli, to prędzej czy później dopnie swego. Wiele na to wskazuje. W czwartek 21 kwietnia miliardersię, który sam siebie nazywa „absolutystą wolności słowa”, ujawnił bowiem, jak zamierza sfinansować tak potężną inwestycję. Otóż – jak ogłosił najbogatszy człowiek świata – 21 mld dol. z pakietu wartego 46 mld dol.

Elon Musk ma dostarczyć z prywatnego majątku w gotówce, drugą część miliardersię pożyczył, zastawiając w banku należące do niego akcje Tesli.

Pieniądże potrzebne na kupno Twittera nie są dla niego zbyt duże, skoro samego podatku dochodowego za 2021 r. miliardersię musi zapłacić aż 11 mld (sic!) dol., co prawdopodobnie jest najwyższą kwotą, którą ktokolwiek przekazał amerykańskiemu fiskusowi w całej historii Stanów Zjednoczonych. Oczywiście twórca Tesli również korzysta z doradców podatkowych, dzięki czemu słynny producent samochodów elektrycznych nie płaci podatków tylko w USA, a – według danych amerykańskiego Departamentu Skarbu – ponad 60 proc. międzynarodowych zysków Tesli księgowanych jest w takich krajach jak Bermudy, Kajmany, Irlandia, Luksemburg, Holandia, Singapur czy Szwajcaria.

NIE TYLKO MARS

Nie wiadomo niestety, czy jeśli Musk w końcu przejmie Twittera, to prywatni cenzorzy przestaną mieć tak ogromny wpływ na debatę w demokratycznym świecie. Wiadomo natomiast, że miliardersię interesuje jednak nie tylko pozbawione ograniczeń ćwierkanie na Twitterze. Od wybuchu wojny na Ukrainie drwi również z prezydenta Rosji Władimira Putina, którego wyzwał nawet na pojedynek. Musk wyśmiał również czeczeńskiego watażkę Ramzana Kadyrowa, gdy ten radził, że aby móc startować w jednej lidze z rosyjskim ludobójcą, amerykański miliardersię powinien „napompować mięśnie, by przekształcić się z delikatnej Elony w brutalnego Elona”. Elon szybko zmienił imię na Elona i oświadczył, że skoro Putin boi się z nim walczyć, to jest w stanie stanąć do pojedynku, używając jedynie lewej ręki (choć miliardersię jest praworęczny). Ukraińscy żołnierze, błyskawicznie rozbijając elitarną jednostkę z Czeczenii, sprawili jednak, że nabijanie się z czeczeńskich bojowników, którzy potrafią co prawda gwałcić bezbronne kobiety, ale do walki z zawodowymi żołnierzami już się nie nadają, stało się zbyt łatwe.

Tylko podatku dochodowego za 2021 r. miliardersię musi zapłacić aż 11 mld dol., co zapewne jest rekordową kwotą w historii USA

W sporze z przedstawicielami rosyjskiego imperium Człowiek Roku magazynu „Time” – tytuł ten Musk otrzymał w 2021 r. – zadbał nie tylko o kwestie wizerunkowe, lecz także praktyczne. Gdy Ukraińcy poprosili go o technologiczne wsparcie, tego samego dnia przekazał Ukrainie sprzęt do odbioru sygnału z należących do Muska satelitów Starlink, stając się w niektórych regionach zaatakowanego przez rosyjskich barbarzyńców kraju jedynym dostawcą Internetu.

Co to takiego ten Starlink? To system telekomunikacyjny, którego działanie opiera się na niewielkich satelitach, które kierowana przez Muska firma SpaceX umieszcza na niskiej orbicie okołoziemskiej. Jego celem jest zapewnienie szybkiego Internetu w miejscach, gdzie nie opłaca się inwestować w tradycyjną infrastrukturę. W ramach systemu miliardersię chce umieścić na orbicie ok. 12 tys. satelitów za mniej więcej 10 mld dol. System może być wykorzystywany nie tylko przez mieszkańców krajów objętych działaniami wojennymi czy odległe afrykańskie prowincje. Starlink ma już ponad ćwierć miliona abonentów. Firma chce sprzedawać swoje usługi – zestaw do odbioru kosztuje ok. 2,2 tys. zł, a miesięczny abonament dla polskiego użytkownika wynosi równowartość 449 zł – nie tylko na Ziemi. Jak informował niedawno „Wall Street Journal”, Internet od Muska testują już również pierwsze duże linie lotnicze, dzięki czemu już wkrótce będzie można wreszcie popracować w chmurach bez konieczności cierpliwego radzenia sobie ze słabym i co chwilę zrywającym połączeniem z siecią.

Elon Musk planuje także jeszcze na Ziemi wykorzystać doświadczenia zebrane przy produkcji autonomicznych samochodów elektrycznych i wprowadzić do domów inteligentne humanoidy. Ekscentryczny miliardersię obiecuje, że pierwszy prototyp takiego inteligentnego robota pokaże światu jeszcze w tym roku. Do roku 2050 tego typu maszyny mają zdaniem twórcy Tesli pojawić się niemal w każdym domu i zrewolucjonizować ludzką cywilizację, wspomagając swych właścicieli nie tylko w gotowaniu obiadu i koszeniu trawników, lecz także w wykonywaniu nudnych, męczących obowiązków. Jednocześnie ludzie miliardersię pracują już także nad skonstruowaniem nowego lądownika księżycowego oraz oczywiście nad spełnieniem największego marzenia Elona Muska: kolonizacją Marsa.

Rykoszetem w polską turystykę



FOT. ADRIAN STOK

Otym, że jako sąsiad ogarniętej konfliktu Ukrainy jesteśmy uważani za terytorium budzące pewne obawy, mogliśmy się przekonać chociażby przy okazji rozgrywania finałowego spotkania barażowego eliminacji do mistrzostw świata w piłce nożnej ze Szwecją. W szwedzkich mediach trwała wówczas debata nad tym, czy naprawdę bezpieczne jest rozgrywanie spotkania w Chorzowie. Z naszej polskiej perspektywy wątpliwości te wydawały się absurdalne, choć niestety prawdą jest to, że własne obawy w kwestii wyboru miejsca odpoczynku – nie do końca usprawiedliwione geograficznie – mają również sami Polacy.

BIESZCZADY NÓW CICHE I PUSTE

Przekonali się o tym właściciele i zarządcy bazy turystycznej w Bieszczadach, które jako rejon Polski najbardziej wysunięty na południowy wschód odnotowały po wybuchu wojny drastyczny spadek zainteresowania ze strony turystów. – Pod koniec marca zrobiliśmy dokładne rozeznanie, czyli dzwoniliśmy do wszystkich naszych partnerów, i było



Jakub Wozinski

Podnosząca się z trudem po pandemii branża turystyczna otrzymała za sprawą wojny na Ukrainie kolejny cios. Mimo że Polskę dzieli od frontu w przybliżeniu ok. 1000 km, w oczach zagranicznych turystów podróż do naszego kraju uchodzi za niebezpieczną

wówczas widać, że sytuacja przedstawiała się nieciekawie na cały sezon, w szczególności jeśli chodzi o wycieczki szkolne. Liczba zapytań spadła nawet o 80 proc. Widać było, że wśród turystów panuje niepewność. Sytuacja wojenna na Ukrainie na pewno nie spowodowała jednak spadku poziomu przygotowania całej branży, która czeka na turystów – mówi „Do Rzeczy” Anna Brzechowska, dyrektor Biura Podkarpackiej Regionalnej Organizacji Turystycznej. Jak wiadomo, w pierwszych tygodniach wojny armia rosyjska zagrażała stale Kijowowi, a część ataków rakietowych wymierzona była w cele znajdujące się nawet w niewielkiej odległości od polskiej granicy.

Od momentu, gdy Rosjanie przegrupowali się i skupili na odcinku wschodnim, zmieniła się również percepcja zagrożenia dla polskich terenów przygranicznych. Zdaniem Anny Brzechowskiej efekty są już widoczne: – Teraz słyszymy, że sytuacja powoli się zmienia, i pojawia się coraz więcej rezerwacji na majówkę i późniejszy okres.

Z naszej polskiej perspektywy Bieszczady wydają się wciąż najbardziej odległym rejonem, lecz niestety w oczach wielu obcokrajowców analogicznie najbardziej wysuniętym względem toczącej się na Ukrainie wojny krajem jest właśnie Polska. Zdaniem prezesa Krakowskiej Izby Turystycznej Rafała

Marka w ostatnich tygodniach staliśmy się właśnie ofiarą tego rodzaju percepcji: – Ludzie z założenia uciekają od tzw. strefy buforowej, która wydaje się, że występuje na terenie Polski. W tego typu sytuacji im dalej od konfliktu dany kraj, jak choćby Wielka Brytania, Hiszpania czy Portugalia, tym bardziej turyści obawiają się wyjazdu. Z kolei dla Amerykanów praktycznie cała Europa pogrążona jest w konflikcie. To pokazuje mniej więcej, jakie mamy obecnie perspektywy. Musimy pamiętać o tym, że zarówno w Krakowie, jak i całej Polsce gościmy głównie turystów z Niemiec, Anglii, Francji, Włoch czy też Hiszpanii.

Zachodni turyści, podobnie jak ci z Polski, od samego początku wojny uważnie przyglądają się rozwojowi wydarzeń i z pewnością widząc, że życie w Polsce przebiega bez żadnych zakłóceń, z czasem zdecydują się odwiedzić nasz kraj. Bez nich wyjście z postpandemicznego dołka może być niezwykle trudne. – Z pewnością już nastąpiła pewna poprawa. Po okresie niemal całkowitego braku zainteresowania zagranicznych kontrahentów zauważamy powolne odbudowywanie poziomu rezerwacji, natomiast nie jest ich jeszcze tyle, żeby móc się tym jakoś szczególnie chwalić. Natomiast jeśli spojrzemy na nasz rynek, to Kraków jest znaną marką na świecie, czasami nawet mówi się, że bardziej znaną niż sama Polska, i przez to jesteśmy bardziej nastawieni na turystów zagranicznych, a nasza oferta jest do nich odpowiednio dostosowana. Przez ostatnie dwa lata przyjmowaliśmy głównie turystów krajowych i ta oferta jest nadal aktualna, wiadomo jednak, że nie są to takie pieniądze, na jakie liczyliśmy – dodaje Rafał Marek.

Biorąc pod uwagę całą rodzimą branżę hotelarską i turystyczną, wojna na Ukrainie nie mogła wybuchnąć w gorszym momencie. Po tym, jak rząd zdecydował się wreszcie znieść niemal wszystkie pandemiczne ograniczenia, pierwsze miesiące obecnego roku stały pod znakiem względnego powrotu do normalności. Względnie, gdyż w ostatnim czasie usługi hotelarskie zdecydowanie podrożały. Według danych Izby Gospodarczej Hotelarstwa Polskiego w styczniu co czwarty hotel podniósł ceny o ponad 10 proc. Stale rozpędzająca się inflacja oznacza nie tylko wzrost kosztów dla właścicieli bazy, lecz także zdecydowanie mniej zasobne portfele

klientów i ich mniejszą skłonność do wyjazdów. Dodatkowo w całej branży hotelarskiej daje o sobie wciąż znać problem z brakiem personelu. Kilkakrotne zamykanie i otwieranie hoteli oraz wprowadzanie różnego rodzaju limitów sprawiło, że znaczna część obsługi na trwałe przeniosła się do innych branż. Nie powinno to niestety dziwić, gdyż nawet dziś, gdy po cichu zakończono pandemię, nikt nie może dać żadnej gwarancji, że któregoś dnia rząd nie zechce wrócić do wyniszczającej turystykę i hotelarstwo polityki sanitarnej.

UTRATA DOCHODOWEGO KLIENTA

Polska nie jest z pewnością tak wielką potęgą turystyczną jak Hiszpania czy Włochy, gdzie branża turystyczna generuje nawet 8–12 proc. produktu krajowego brutto, lecz ma wciąż spory niewykorzystany potencjał. Przed pandemią liczba turystów zagranicznych przybywających do naszego kraju stale rosła i podczas gdy w 2019 r. skorzystali oni z 19 mln noclegów, to w 2020 r. już tylko z 6,7 mln, a w 2021 r. – z 7,2 mln. Wprowadzane ograniczenia pandemiczne doprowadziły do spadku ruchu tury-

19 mln

Z TYLU NOCLEGÓW SKORZYSTALI ZAGRANICZNI TURYSŃCI W 2019 R. W 2021 R. JUŻ TYLKO Z 7,2 MLN

stycznego na całym świecie, ale w tym roku wiele krajów, tak jak Polska, zniosło już niemal wszystkie utrudnienia.

Oznacza to, że polskie organizacje zrzeszające właścicieli bazy turystycznej we współpracy z rządem powinny uczynić możliwie jak najwięcej, aby przekonać gości z zagranicy do tego, że Polska nie jest krajem frontowym, a napływający z Ukrainy uchodźcy nie stanowią większej niedogodności, gdyż są sukcesywnie przenoszani z bazy hotelowej do innych lokalizacji. Obecnie wciąż wielu klientów wydzwaniano do hoteli i innych miejsc oferujących noclegi, aby upewnić się, że na miejscu nie ma żadnych uchodźców. Prezes Krakowskiej Izby Turystycznej Rafał Marek zdradza, że tego rodzaju działania są już podejmowane: – Pod koniec lutego przygotowaliśmy jako Krakowska Izba Turystyki

apel do władz wszystkich szczebli, aby przeprowadzić działania marketingowe poza granicami kraju, mające na celu ukazanie Polski jako kraju bezpiecznego dla turystów. Przedstawiliśmy dane ukazujące skalę anulowanych rezerwacji. Widzimy już pewne działania w tym zakresie na poziomie centralnym.

Pomimo że wprowadzenie tzw. paszportów covidowych było od początku przedstawiane jako najlepszy sposób na szybką odbudowę strat w sektorze turystycznym czy lotniczym, dziś widać wyraźnie, że przyniosło trwałą stagnację na rynku. Mało tego, można wręcz postawić tezę, że paszporty szczepionkowe nieustannie wyniszczają branżę, uniemożliwiając podróże milionom osób. W Polsce wiele obiektów, które do tej pory utrzymywało się głównie z zagranicznych turystów, musiało na stałe zmienić profil działalności z oczywistą szkodą dla osiągniętych przychodów. – Na Podkarpaciu nie ma takiego miasta jak Kraków, spadek liczby turystów z zagranicy nastąpił u nas już na początku pandemii. Cała branża zdążyła się przez te dwa lata w sporej mierze dostosować do tej nowej sytuacji. Jeszcze przed dwoma laty część obiektów mocno bazowała na turystach z zagranicy i one znacząco odczuły pierwszą część pandemicznych ograniczeń. Dziś są już lepiej przygotowane do tej sytuacji – mówi Anna Brzechowska.

Polscy przedsiębiorcy są w stanie dostosować się do nowych warunków, jednakże trwałe skurczenie się bardzo dochodowego segmentu rynku pozostaje faktem. Istnieje oczywiście ryzyko, że zbyt energiczne podkreślanie faktu, że w Polsce jest bezpiecznie, może wywołać efekt odwrotny do zamierzonego, lecz podjęcie działań na rzecz skłonienia zagranicznych turystów do tłumnego powrotu do naszego kraju wydaje się dziś jednym z priorytetów. O ile rządowi zależy na dziesiątkach tysięcy miejsc pracy i losie wielu zwykłych biznesów, o tyle trzeba w obecnej sytuacji maksymalnie ułatwić możliwość przybywania do Polski.

Trudno dziś przewidzieć, jak długo jeszcze będzie trwała wojna na Ukrainie, lecz wobec trzeciego z rzędu roku z tak sporymi zawirowaniami wiele podmiotów działających w branży może zwyczajnie nie przetrwać. Powrót do pandemicznych ograniczeń na jesieni mógłby się okazać wręcz tragiczny w skutkach.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tak okradają nas banksterzy

Jeśli ktoś wcześniej nie widział, jak kradną banksterzy, to niech się przypatrzy – teraz widać to jak na dłoni.

Banksterzy włamali się na konta wszystkich – co do jednego – Polaków, którzy trzymają oszczędności w ich bankach – w tym na konta wszystkich emerytów, także tych tak bardzo starych, że zupełnie nieświadomych, iż są okradani. Banksterzy włamali się na konta i kradną. Kradną w dzień i w nocy. Kradną rano, w południe, po południu, wieczorem, przed północą i po północy. Nawet kiedy śpią, to kradną. Bez skrupułów bezpłatnie obracając pieniędzmi Polaków, krok po kroku ograbiają ich z oszczędności uciulanych na „czarną godzinę”, niwecząc dorobek życia niejednego z nich.

A jest to kradzież o tyle doskonała, że pozornie na kontach nic nie ubywa albo ubywa niewiele – koszty opłat bankowych. W praktyce jednak, zważywszy na to, że inflacja sięgnęła 11 proc., z kont tych w ciągu ostatniego roku ulotniło się już bez mała 11 proc. oszczędności Polaków – bez mała 11 proc. realnej wartości ich oszczędności; o tyle więc trzymający w bankach swe oszczędności stali się w ciągu ostatniego roku realnie ubożsi. A banksterom ciągle mało.

O ile bowiem Rada Polityki Pieniężnej po karygodnym falstarcie, czyli aż kilkumiesięcznym opóźnieniu rozpoczęcia cyklu podwyżek stóp procentowych (zamiast zacząć go najpóźniej w kwietniu, zaczęła w październiku 2021 r.), o tyle banki – szczególnie te „poważ-

ne”, te „duże”, te bezpieczne – już ponad pół roku, długie siedem miesięcy, zwlekają z podniesieniem odsetek od chętnie przez nie przetrzymywanych lokat do choćby przyzwoitego poziomu.

I odsetki te – poza wyjątkami, to znaczy poza niektórymi bankami i tylko niektórymi rodzajami lokat w nich – wciąż utrzymywane są na porażająco nieuczciwie niskim poziomie – nierzadko po prostu w pobliżu 0 proc. A przecież wysokość inflacji w Polsce (11 proc.) i wysokość aktualnej stopy referencyjnej Narodowego Banku Polskiego (4,5 proc.) nie jest chyba dla zarządów tych banków tajemnicą. Ba, na pewno nie jest, skoro te same zarządy tych samych banków mają doskonały – wprost wyśmienity – refleks, gdy idzie o podnoszenie wysokości odsetek od udzielonych kredytów. W tym przypadku nie przepuszczą żadnej okazji i nie zmarnują nawet jednego dnia, żeby naliczyć kredytobiorcom wyższe raty od udzielonych im kredytów.

W końcu z czyich kieszeni bankowcy muszą czerpać pieniądze na zyski banków i własne gaże – w 2021 r. zysk netto sektora bankowego w Polsce wyniósł 8,85 mld zł, a tylko w styczniu 2022 r. aż 1,66 mld zł – o 222,7 proc. więcej niż w styczniu 2021 r. „Piękny wynik”, nieprawdaz?

PS Jeśli ktoś uważa, że w tym felietonie użyłem zbyt ostrych słów, to wyjaśniam – tym razem skorzystałem z wolności słowa w taki sam sposób, w jaki polskie banki korzystają dziś z wolnego rynku – bez zahamowań. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Okno możliwości

Jakkolwiek źle by to brzmiało, wojna rosyjsko-ukraińska ma przecież swoje dobre skutki. Czy raczej: może mieć, bo wszystko to są szanse, o których realizację musimy dopiero zadbać. Jest np. szansa, że bardzo szybko posunie się modernizacja polskiej armii. Bardzo prawdopodobne, że powiększy się NATO, a w Polsce znajdą się na stałe dużo większe siły sojuszu niż dotychczas. Jest też szansa, że uchodźcy pozytywnie zadziałają w naszej gospodarce w dłuższym

okresie. Jest również szansa na ostateczne załatwienie w przyszłości drażliwych i psujących wzajemne relacje kwestii historycznych między Polską a Ukrainą – przede wszystkim sprawy wołyńskiego ludobójstwa.

Złego człowieka z bronią może zatrzymać tylko dobry człowiek z bronią

hoplofobów w naturalny sposób się wyciszyły – ale przecież nie będzie to trwać w nieskończoność. A nie jest wykluczone, że część polityków chce potrzymać w sejmowej zamrażarce projekt praktycznie nowej ustawy o broni i amunicji, który nie tylko dostęp do broni racjonalizuje, lecz także wreszcie dostosowuje nasze regulacje do unijnej dyrektywy. Taki projekt jest już bowiem w Sejmie.

Projekt jest w swoich założeniach prosty, a przy tym zachowuje pewne zabezpieczenia i bariery dla cywilnych posiadaczy broni. Nie byłoby więc tak, że pistolet można by sobie kupić w sklepie na rogu na dowód osobisty, a amunicję do niego w najbliższej Biedronce. Ale też nie byłoby tak jak dzisiaj, gdy osoba chcąc posiadać broń musi dokonywać prawnej ekwilibristyki, na ogół występując w roli sportowca, a raczej „sportowca” lub „kolekcjonera”. Ta szkodliwa fikcja wreszcie by się skończyła.

Na strzelnicach od 24 lutego faktycznie pojawiają się tłumy. Ludzie chcą strzelać. Nie boją się wziąć pistoletu do ręki. Kilka podstawowych praw, związanych z posiadaniem broni, nie zmieniło się zaś nigdy. Między innymi ta, że złego człowieka z bronią może zatrzymać tylko dobry człowiek z bronią. Co zresztą właśnie widzimy na Ukrainie, tyle że w dużej skali. ©©

Mnie z przyczyn także prywatnych szczególnie bliska jest sprawa dostępu do broni. Nie, jak to się często bezmyślnie powtarza, „powszechnego”, ale racjonalnego. Dla takiej zmiany otworzyło się właśnie okno możliwości, głosy

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 4397f64803

Biznes jak zwykle



Joanna Bojańczyk

Frywolny biznes mody znalazł się w sytuacji, której jeszcze nie przerabiał. Jak się zachować? Udać, że nic się nie dzieje? Współczuć? Włączyć się do pomocy?

Każdy potrzebuje ubrania. Trzeba mieć płaszcz, buty zimowe, bieliznę. Ale od innych artykułów pierwszej potrzeby ubranie różni się tym, że granica między koniecznością a kaprysem jest trudna do ustalenia. Bo ubranie ma też funkcję społeczną i ona różnicuje. Strój wyznacza miejsce w porządku społecznym, odróżnia od innych, nadaje tożsamość. Chcemy się wyróżniać, ale też staramy się podłączyć do grupy nam bliskiej lub takiej, do której aspirujemy. Tę ostatnią właściwość wykorzystuje moda. Moda istniała, od kiedy człowiek zamienił skóry na ubranie, bo wiąże się z występowaniem hierarchii społecznych. Jednak sposób, w jaki przemysł fashion wykorzystał ją w ostatnich dwóch dekadach XX w. i dwóch pierwszych XXI w., jest w historii ludzkości bezprecedensowy. W naszej sferze cywilizacyjnej ubranie prawie całkowicie oderwało się od swojej funkcji zaspokajania potrzeb i przedstawiało na zaspokajanie aspiracji, pragnień, kaprysów, leczenie frustracji. Kupujemy ubrania niekoniecznie wtedy, gdy ich potrzebujemy, ale dlatego, że nam się podobają, tłumią stres, spełniają zachcianki, są modne. Nawet

jeśli nie bardzo chcemy być modni, wolelibyśmy nie być niemodni.

„My nie sprzedajemy ubrań, sprzedajemy marzenia” – powiedział Paul Polet, jeden z menedżerów firmy Gucci. W tym zdaniu jest istota tego, co obserwujemy, błądząc po centrach handlowym, idąc ulicami luksusowych sklepów w dużych miastach. Ci luksusowi dyktują to, co ma być modne, mniejszą liczbę klientów rekompensując wysokimi, czasem wprost absurdalnymi cenami. Biedniejsi chcieliby mieć te luksusy, ale ich nie stać. Dla nich masówka robi tańsze wersje: imitacje torebek Chanel widzimy na każdym bazarze, trochę lepsze ich wersje w sieciówkach.

PRZESILENIE

Nasza cywilizacja dławi się od nadmiaru ubrań. Nie wie, co z nimi zrobić.

– Żyjemy w czasach, kiedy wyczerpała się w ogóle formuła społeczno-ekonomiczna funkcjonowania świata – mówi Janusz Noniewicz, kierownik Katedry Mody na warszawskiej ASP. To się kończy w konwulsjach. A w modzie kumulują się wszystkie patologie, hierarchie społeczne ustawione przez neoliberalizm – podział na 1 proc. beneficjentów i resztę, która żyjąc w tym układzie, służy temu jednemu

procentowi. Moda mieści się w tym systemie, była elementem propagandy.

Przesilenie następuje zawsze w momencie kryzysu. Pierwszy kryzys rozpoczął się kilka lat temu, kiedy nasiliły się alarmujące wieści o zagrożeniach klimatycznych. W tej sprawie przemysł masowej mody ma wyjątkowo dużo za uszami. Ze swoich fabryk wypuszcza co roku 100 mld ton ubrań rocznie. Moda to gigantyczny truciciel. Żeby włókno stało się tkaniną, a potem ubranie, trzeba zużyć 8 tys. rozmaitych środków chemicznych. Do wyprodukowania kilograma bawełny zużywa się 10 tys. litrów wody, jeden T-shirt to 2720 litrów. Ta produkcja pochłania 11 proc. światowego zużycia pestycydów. W krajach Afryki i Azji pod uprawy karczują się lasy zwrotnikowe. Ale najbardziej wykorzystuje się ludzi, bo ubrania powstają w najbardziej ubogich regionach globu. Jak podaje Greenpeace, w 2015 r. sprzedano ubrań za niewyobrażalną liczbę 1,8 tln dol. – 1 800 000 000 000 000! (dane podaje za tygodnikiem „The Economist”).

W miarę, jak wzrasta produkcja, wzrasta też ilość odpadów – tkanin, skóry, syntetycznych materiałów.

Wysiłki, aby niepotrzebne rzeczy podawać recyklingowi, są na razie nikłe,



wiedzialnie". Ale kolekcja goni kolekcję – celem biznesu fashion jest sprzedać. Szefowa potentata H&M zapowiada dwukrotne zwiększenie produkcji do roku 2030. Na metkach znajdziemy informację, że rzecz, którą kupiliśmy, została uszyta z materiałów z recyklingu. Wtedy nasze sumienie ekologiczne będzie uspokojone. Pominęto informację, że te przetworzone z recyklingu poliestry, które stanowią 80 proc. obecnej produkcji odzieży, już do niczego się nie nadają, tylko do spalenia. Ile tego jest? Kto się przyzna?

BEZ BOTOKSU

Tak zwane budzenie świadomości ekologicznej było tylko przygrywką do tego, jak fashion biznes ma się zachować w sytuacji dużo poważniejszej. Takiej jak wojna, której obecnie jesteśmy świadkami, która wprawdzie najbardziej dotyczy Ukrainę, ale odbija się na całym świecie. Na początek fashion biznes poczuł lekkie poczucie winy i zaczął się tłumaczyć z samego istnienia, wydając mętne sygnały, że ludzie pracujący w tej branży także mają sumienie.

Jednakże tygodnie mody w Paryżu, Nowym Jorku, Mediolanie odbyły się bez przeszkód. Parada próżności nie została niczym niezakłócona. Celebryci stawili się w pierwszych rzędach i w pełnym rynsztunku. Wydano pomruki potępiające Putina, ale przecież należy działać ostrożnie, bo rynek rosyjski jest ogromny, zarówno masowy, jak i luksusowy. Aby trochę ukoić sumienia, dużo pisano i mówiono o paryskim pokazie Balenciagi, który w dekoracjach zimy, mrozu, pustki i uciekających przed wojną ludzi z workami nawiązywał bezpośrednio do wojny. Zapewne odnosił się również bezpośrednio do życiorysu głównego projektanta marki – Demny Gvasalii, Gruzina, który jako 12-latek rzeczywicie w roku 1993 uciekał z atakowanej przez Rosjan Abchazji. – Ja już wojny miałem dość w swoim życiu – odpowiedział pan Gvasalia na pytanie, czy zamierza zrobić pokaz w Paryżu. „Gdybym pokaz odwołał, oznaczałoby to, że się poddaję”.

Na razie odważnym ruchem było wycofanie się wielu marek z Rosji. Ambasadorowie państw Unii Europejskiej zatwierdzili czwarty pakiet sankcji wobec Rosji. Objął 22 kategorie dóbr luksusowych o łącznej wartości szacowanej na 3,53 mld euro. Nowe sankcje dotyczą towarów luksusowych, których wartość

przekracza 300 euro za sztukę. Cóż zrobić biedne kobiety oligarchów, nie mogą wyskoczyć po zakupy do sklepu Gucci czy Dior? Naprawdę rozpacz. Rozpaczają też rosyjskie influencerki, których działalność żerowała na rozpasanym rynku mody. Jak żyć bez Instagrama? Bez botoksu? Oto jest pytanie. Na razie bez odpowiedzi.

Ukraińska edycja magazynu „Vogue”, wydawanego przez Media Group Ukraine na licencji Condé Nast International, zwróciła się z apelem do branży mody i urody o wprowadzenie embarga na import towarów do Rosji. Chodzi głównie o grupy skupiające marki z wyższej półki: LVMH, Kering, Richemont, Prada Group, Swatch Group, Puig, Chanel, Hermès, Dolce & Gabbana. Niektóre z tych firm przekazały dotacje na rzecz uchodźców – LVMH dał 5 mln euro na Czerwony Krzyż, Kering (właściciel m.in. Gucciego) ofiarował pół miliona euro. Niektórzy wyrażają solidarność z Ukrainą, Balenciaga udostępnił swoją platformę dla aktualnych wiadomości z frontu.

Polska moda reaguje głównie werbalnie, wyrażając swoją solidarność z napadniętym narodem. To zrozumiałe, nasze firmy nie dysponują milionami, które do charytatywnej dyspozycji mają potentaci w rodzaju LVMH czy Prady. Marka Lilou przekazała na organizowaną przez Polską Akcję Humanitarną zbiórkę SOS Ukraina ponad pół miliona złotych. Kwotę zebrano dzięki sprzedaży bransoletek ze sznurkami w kolorze flagi Ukrainy. Nastoletnie klientki Lilou zapewne pochwałą się w szkole solidarnością z naszym wschodnim sąsiadem.

Łukasz Jemioł w dobrym nastroju z okazji urodzin publikuje zdjęcia siebie samego na tropikalnej plaży, odpoczywającego na hotelowym łożu (w domyśle hotel pięciogwiazdkowy) itp. Brak wyuczucia? Fotki włączają się w strumień Facebooka obok zdjęć zbombardowanych miast i dworców z tłumami uchodźców.

Dużo bardziej drastyczne są nagrania, które wydostały się z podsłuchanych rozmów rosyjskich żołnierzy rabujących ukraińskie domy. – Mam dla ciebie dwa futra – zawiadamia jeden z nich swoją żonę. – Ale jaki rozmiar: medium czy small? – pyta oczekująca na małżonka i łupy Penelopa żądna dokładnych informacji.

Straszne i wcale nieśmieszne. Na razie w modzie: business as usual.

Cóż zrobią biedne kobiety oligarchów, nie mogą wyskoczyć po zakupy do sklepu Gucci czy Dior? Rozpaczają też rosyjskie influencerki, żerujące na rozpasanym rynku mody

choć producenci zachęcają do tego konsumentów. Ale i tak za zamkniętymi drzwiami niszczy się odpady. Wyrzucamy ubrania dwa razy częściej niż 15 lat temu. Ubrań nikt nie nosi do zderzenia. Nikt nie naprawia, nie łąta, nie ceruje. Kupujemy nowe.

Nawet negacjoniści katastrofy klimatycznej nie zaprzeczają, że te dane są zastraszające.

I biznes mody po raz pierwszy zaczął się tłumaczyć. Terminy „moda odpowiedzialna”, „fair trade” stały się nagle obowiązkowe w reklamie i marketingu. Marketing swoje ostrze skierował w stronę „odpowiedzialności”, wabiąc ich formułkami „kupuj na lata”, „kupuj odpo-



Szansa na wyleczenie chorych na raka płuca



Z prof. Maciejem Krzakowskim, krajowym konsultantem w dziedzinie onkologii klinicznej

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno pojawiła się lista TOP 10 ONKO, najbardziej oczekiwanych leków, na których refundację czekają onkolodzy w 2022 r. Skąd pomysł na stworzenie takiej listy? Czy warto tworzyć tego typu rekomendacje?

PROF. MACIEJ KRZAKOWSKI: W ostatnich latach pojawia się wiele nowych leków przeciwnowotworowych i jest ogromna zmiana w zakresie systemowego, czyli farmakologicznego leczenia chorych na nowotwory. Dokonuje się to dzięki poznaniu uwarunkowań morfologicznych oraz genetycznych i molekularnych nowotworów. Różny jest jednak stopień korzyści, które mogą zyskać chorzy dzięki tym nowym terapiom. Są wśród nich terapie dla chorych, dla których istnieje już więcej niż jedna metoda leczenia; są również takie, gdzie do tej pory nie mieliśmy żadnej dobrej opcji. Kierując się tymi dwiema przesłankami, uznaliśmy, żeby stosować pewną parametryzację nowych leków. Lista TOP 10 w onkologii jest próbą takiej kategoryzacji.

Leki były oceniane przez członków Polskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej. W pierwszej dziesiątce, a ściślej mówiąc – nawet w pierwszej piątce, znalazły się dwa leki w terapii raka płuca. Czy to oznacza, że mamy przełom w leczeniu tego nowotworu, który najczęściej zabija Polaków, jeśli chodzi o choroby nowotworowe?

W leczeniu raka płuca w ostatnich latach widać bardzo znaczny postęp związany z leczeniem farmakologicznym, pojawiło się wiele leków celowanych, nakierowanych na określone zaburzenia genetyczne oraz zostały wprowadzone leki z zakresu immunoterapii. Na liście TOP 10 Onko znalazł się ozymertynib, który u chorych z mutacją w genie EGFR znacznie zwiększa szanse powodzenia leczenia radykalnego, którego celem jest wyleczenie. Lek był stosowany w badaniu klinicznym u chorych w stopniu zaawansowania od I do IIIA po radykalnym leczeniu chirurgicznym. Chorzy w tym stadium nowotworu poddawani jedynie resekcji mięszu płucnego mają od 40 do 70 proc.

szans na pięcioletnie przeżycie (w zależności od stadium zaawansowania nowotworu). Jeśli mają stwierdzoną mutację w genie EGFR, to podanie jako leczenia uzupełniającego ozymertynibu (inhibitora trzeciej generacji) znacznie zwiększa szansę przeżyć pięcioletnich.

Jak wielu chorych mogłoby skorzystać z takiego leczenia?

W Polsce operuje się ok. 3 tys. chorych rocznie – są to chorzy w stopniu od I do IIIA. Mutacje aktywujące w genie EGFR ma ok. 10 proc. chorych. Przewagi leku nie udowodniono w stopniu zaawansowania IA, dlatego sędzę, że rocznie mogłoby z leku skorzystać ok. 250–300 chorych.

Czy faktycznie stosowanie tego leku w tej grupie chorych jest przełomem?

Tak, różnica w medianie przeżycia jest bardzo znaczna, korzyści ze stosowania ozymertynibu są niezależne od tego, czy chory otrzymał chemioterapię pooperacyjną czy nie. Ważne jest też to, że tolerancja leczenia jest dobra, działania niepożądane nie są dużym problemem. Badania wykazały ogromną korzyść ze stosowania takiego leczenia, rzadko kiedy

spotykaną w onkologii. Nie ma argumentu przeciw tej metodzie, lek powinien stać się elementem leczenia radykalnego dla grupy osób z mutacją w genie EGFR.

Ten lek jest już stosowany w uogólnionym niedrobnokomórkowym raku płuca. Teraz okazuje się, że warto go stosować również we wcześniejszych stadiach choroby?

Tak, jest to zresztą zgodne z tendencją, która zarysowała się w wielu nowotworach. Okazuje się, że terapie, które sprawdzają się w leczeniu stadiów zaawansowanych, powinny być automatycznie oceniane we wcześniejszych stadiach, kiedy szanse wyleczenia są dużo większe. Dotyczy to wszystkich nowotworów.

Czy są jeszcze inne terapie, które mogą zwiększyć szansę na wyleczenie chorych na raka płuca?

Tak, to przede wszystkim immunoterapia, czyli leki odblokowujące układ immunologiczny chorych, dzięki czemu zaczyna on atakować nowotwór. Okazuje się, że u chorych po resekcji mięszu płucnego, niezależnie od typu histologicznego raka płuca, stosowanie uzupełniającej immunoterapii atezolizumabem powodowało znamienne zmniejszenie ryzyka zgonu. Wyniki badań pokazują, że immunoterapia pooperacyjna (leczenie adiuwantowe) powinna być stosowana u chorych leczonych radykalnie. Bardzo obiecujące są też pierwsze wyniki badań stosowania immunoterapii przedoperacyjnej. Być może więc kierunkiem dalszych badań będzie poprzedzanie resekcji wstępną immunoterapią, aby zwiększyć szansę doszczętności wycięcia nowotworu.

Inną metodą leczenia chorych na miejscowo zaawansowanego raka płuca jest stosowanie jednoczesnej radiochemioterapii, a następnie leczenie konsolidujące durwalumabem (immunoterapia). W Polsce ok. 350–400 chorych rocznie otrzymuje jednoczesną radiochemioterapię, a 70 proc. z nich później immunoterapię (z zastosowaniem durwalumabu). Problemem jest to, że w Polsce jednoczesna radiochemioterapia jest wykorzystywana w niedostatecznym stopniu, a jest ona zdecydowanie skuteczniejsza niż stosowanie tych metod sekwencyjnie. To leczenie jest w Polsce dostępne, powinno być szerzej wykorzystywane, jak również możliwość stosowania później immunoterapii.

Na razie otwarte pozostaje pytanie, czy korzyści przyniosłoby również zastosowanie durwalumabu u chorych, którzy w pierwszej kolejności otrzymują che-

mioteraapię i następnie radioterapię, gdyż część chorych nie może mieć jednoczesnej radiochemioterapii albo nie ma proponowanego takiego leczenia z powodów organizacyjnych. Obecnie trwają badania nad wartością dodania immunoterapii po leczeniu sekwencyjnym. Jeśli wyniki badań będą pozytywne, to będzie to kolejny krok naprzód.

Jak długo rozwija się rak płuca do stadium, w którym jest możliwe jego potwierdzenie?

Na pewno jest to proces wieloletni, nie wiemy jednak, czy trwa on kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. Na pewno niedrobnokomórkowy rak płuca to nie jest nowotwór, który rozwija się w ciągu dwóch–pięciu lat; to dłuższy proces. Jego główną przyczyną jest ekspozycja na dym tytoniowy, która musi być odpowiednio długa.

Często mówi się o tym, że we wszystkich nowotworach, ale szczególnie w raku płuca, liczy się czas, a szanse na wyleczenie zależą od wczesnego wykrycia choroby. W Polsce funkcjonuje już program przesiewowy za pomocą niskodawkowej tomografii komputerowej, który pozwala na wcześniejsze wykrycie raka płuca. Czy wiele osób korzysta z tych badań?

Program został uruchomiony 1 stycznia 2021 r., nałożyło się to na epidemię COVID-19, szczyty zachorowań i zgonów, przekształcanie ośrodków pneumonologicznych w oddziały covidowe. Często gabinety lekarzy rodzinnych były zamknięte, funkcjonowały tylko teleporady; z tego powodu program źle funkcjonował. Obecnie zgłaszalność jest większa, choć na pewno wiele trzeba jeszcze poprawić, zachęcić pacjentów, a także lekarzy rodzinnych do kierowania na badania. Problemem jest też brak odpowiedniej liczby wykwalifikowanych radiologów, którzy potrafią ocenić wyniki tego badania, co jest bardziej skomplikowane niż w przypadku „zwykłej” tomografii komputerowej. Tu pomocna może okazać się telemedycyna, np. w województwie mazowieckim badanie jest wykonywane w kilku ośrodkach, a następnie przesyłane do Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc, gdzie są oceniane.

Kto powinien zgłosić się na takie badanie?

Każdy w wieku 55–75 lat, kto ma za sobą 20 paczkolet, czyli przez 20 lat palił paczkę papierosów dziennie (również byli palacze, jeśli od rzucenia palenia nie minęło więcej niż 15 lat). Na badanie mogą też zgłosić się osoby od 50 lat, jeśli oprócz 20 paczkolet mają dodatkowe czynniki ry-

zyka w postaci narażenia zawodowego na czynniki rakotwórcze (np. na azbest, nikiel, chrom), przebytego innego nowotworu tytoniozależnego i od wielu lat chorują na POChP (przewlekłą obturacyjną chorobę płuc) lub mają w rodzinie przypadki wystąpienia raka płuca. Warto przede wszystkim przestać palić papierosy, gdyż jest to główny czynnik ryzyka raka płuca.

Wczesne wykrycie jest bardzo ważne; dla porównania: w USA operuje się ok. 20 proc. chorych na raka płuca, podczas gdy w Polsce – 15 proc. Pięcioprocentowa różnica to dużo – zbyt mało mamy chorych diagnozowanych we wczesnym stadium i leczonych radykalnie. W okresie epidemii ta sytuacja jeszcze się pogorszyła: zgłasza się do nas znacznie więcej osób w bardziej zaawansowanych stadiach. Przyczyn jest wiele – chorzy unikali zgłaszania się na wizyty osobiste u lekarza, część poradni lekarzy rodzinnych była zamknięta, a poprzez teleporadę nie sposób podejrzewać raka płuca. Zdarzało się, że chorzy otrzymywali jeden antybiotyk, potem drugi. Odsetek chorych w bardziej zaawansowanych stadiach jest dziś dużo wyższy niż przed pandemią, podobnie jest w wielu innych krajach.

Od kilku lat mówi się o tym, że w Polsce powinny powstać Lung Cancer Unity, centra diagnozowania i leczenia raka płuca, gdyż skróciłoby to diagnozę i poprawiło leczenie. Dlaczego LCU jeszcze nie powstały?

Środowiska lekarzy pneumonologów, torakochirurgów, onkologów po wielu dyskusjach uzgodniły projekt organizacyjny LCU. Projekt został złożony do Ministerstwa Zdrowia już ponad rok temu, zostały określone kryteria, które powinny spełnić ośrodki pretendujące do stania się Lung Cancer Unitem. Czekamy na decyzję ministerstwa. Projekt zakładał system konsorcyjny, gdyż niewiele jest ośrodków będących w stanie zapewnić dostęp do wszystkich metod diagnostyki i leczenia. W Warszawie takim „naturalnym” konsorcjum byłby Narodowy Instytut Onkologii i Instytut Gruźlicy i Chorób Płuc. Ktoś musi jednak podjąć decyzję, że finansujemy taki system konsorcyjny oraz w jaki sposób powinno to być zrobione, a także niezbędne są odpowiednie wyceny świadczeń.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Maciej Krzakowski
– krajowy konsultant
w dziedzinie onkologii klinicznej

TEST „DO RZECZY”: INTELIWENTNA KAMERA OBROTOWA EZVIZ C8PF

Bardzo dobra jakość nagrań w dzień, możliwość zdalnej zmiany pola widzenia o 360 stopni, rewelacyjna funkcja automatycznego przybliżania szczegółów za pomocą drugiego obiektywu, łatwość instalacji, opcja przewodowego lub bezprzewodowego połączenia z Internetem – to największe zalety bezprzewodowej kamery do monitoringu znanej chińskiej firmy Ezviz.

Wzornictwo testowanego urządzenia jest typowe dla tego typu gadżetów. Na pewno nie można udawać, że to nie jest kamera. I dobrze, bo dzięki temu C8PF może odstraszać potencjalnych włamywaczy samą swoją obecnością. Aby kopuła mogła się swobodnie poruszać, kamerę montuje się na wchodzącym w skład zestawu wysięgniku. Kamera może obracać się o 340 stopni, co oznacza, że umożliwia swobodną zmianę pola widzenia o 360 stopni. Testowanym modelem można sterować zdalnie za pomocą aplikacji – w dowolnym momencie można więc rzucić okiem zarówno na ogród, jak i na bramę wjazdową przed domem. W pionie kamera może poruszać się w zakresie 80 stopni, co w większości przypadków powinno być zupełnie wystarczające.

Największą zaletą modelu C8PF są dwa obiektywy: szerokokątny 2,8 mm oraz teleobiektyw 12

mm. Taki zestaw umożliwia jednocześnie obserwowanie szerokiego planu oraz – dzięki funkcji Picture in Picture – nawet ośmiokrotnego przybliżenia o wysokiej jakości obrazu. Po skierowaniu kamery na pełną drogę przy domu można więc jednocześnie oglądać, jak w kierunku bramy zbliża się nieznany pojazd, oraz odczytać jego numery rejestracyjne.

Obraz ma rozdzielczość Full HD (czyli 1920 x 1080), a nagrania rejestrowane w dzień mają bardzo dobrą jakość.

Nie można się przymocować ani do kół, ani do kontrastu.

C8PF to kamera z gatunku inteligentnych.

Oferuje więc nie tylko funkcję wykrywania ruchu, lecz także rozpoznawanie sylwetek

ludzi, dzięki czemu można ograniczyć liczbę powiadomień wysyłanych na smartfon po wykryciu potencjalnego zagrożenia. Dobre jest także to, że kamera jednocześnie nagrywa szeroki plan oraz zbliżenie. Można też ograniczać w aplikacji obszar, który będzie generował alerty, lub np. nakreślić

wirtualną linię, której przekroczenie wywołała alarm.

Kamera jest wyposażona w mikrofon oraz w głośnik, co pozwala nagrywać dźwięk otoczenia, a także prowadzić rozmowę (np. z kurierem, psem etc.). Model C8PF może też po wykryciu ruchu emitować wybrany dźwięk, przypominać, by nie parkować na prywatnym terenie itp.

Plusem tego modelu jest również możliwość użycia karty microSD o pojemności nawet 512 GB (trzeba ją kupić osobno), dzięki czemu można przeglądać nagrania nawet do czterech tygodni wstecz. Ci, którzy wolą przechowywać nagrania w chmurze, mogą skorzystać z usługi oferowanej przez Ezviz (po zakończeniu okresu próbnego roczna subskrypcja dla jednej kamery kosztuje 209,99 zł, a dla wielu kamer 349,99 zł). Producent zapewnia, że obudowa jest odporna na warunki atmosferyczne, dzięki czemu powinna nadawać się do pracy na zewnątrz, choć w polskich warunkach zabezpieczyłbym dodatkowo łącząc np. wodoodporną taśmą.

Wady? Jakość nagrań w nocy jest wyraźnie gorsza. Szkoda też, że w aplikacji nie można wyłączyć oświetlenia podczerwieni, przez co – jeśli testowany model nie jest stosowany na zewnątrz, ale wisi w środku gdzieś blisko okna – kamera w nocy może sama się oślepić. Nieco lepiej dopracowana mogłaby być również sama aplikacja. Mimo tych minusów model C8PF jest wyjątkowo funkcjonalny i oferuje dobry stosunek jakości do ceny. Za testowaną kamerę trzeba zapłacić 769 zł. ©©

Jacek Przybylski

PIONOWA MYSZ MA ULŻYĆ NADGARSTKOM

Niewłaściwe używanie komputerowej myszy może prowadzić do jednej z najbardziej popularnych chorób biurowych, a więc do tzw. zespołu cieśni nadgarstka. Szwajcarska firma Logitech zaprezentowała więc nową, ergonomiczną... wertykalną mysz. Zdaniem producenta nachylenie pod kątem 57 stopni zapewnia relaksujący uchwyt dla średnich oraz małych

dłoni i nie tylko odciąża nadgarstek, lecz także zapewnia bardziej naturalną postawę ramienia i górnej części ciała. Wążący 125 g gryzoń, nazwany Logitech Lift, ma być dostępny jeszcze w kwietniu w trzech kolorach: białym, grafitowym oraz różowym (choć dla osób leworęcznych przygotowano tylko opcję grafitową). Cena: 349 zł.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LAMPA Z GŁOŚNIKIEM

Pogoda powoli się poprawia i jest nadzieja, że wreszcie będzie można urządzać przyjęcia w ogrodzie lub chociaż romantyczne kolacje przy świecach na zadaszonym tarasie.

W stworzeniu odpowiedniej atmosfery pomóc może IKEA Vappeby, a więc połączenie lampy oraz głośnika Bluetooth, umożliwiające strumieniowanie muzyki z aplikacji Spotify i obsługujące funkcję Spotify Tap. Model o oryginalnym wzornictwie spodoba się zapewne nie tylko miłośnikom militarnego designu. Lampa może działać nawet 12 godzin na jednym ładowaniu. Jest też odporna na zachlapania. Cena: 279 zł. ©©



Jacek Przybylski

SIOSTRY GOTUJA

Wiosna w sercu
i na talerzuANNA POPEK Z D. CHRZUZI
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUZI

Wiosna wszystko zmienia, wiosna wlewa w nas siły, entuzjazm i optymizm. Chce się żyć, rozkwitamy, na sercu robi się milej, gdy widzimy, jak wszystko dookoła rozkwita i nabiera barw. Słońce, zapach wilgotnej ziemi, pierwsze zielone pąki drzew, śpiew ptaków sprawiają, że jakoś łatwiej nam się wstaje, nawet o 4 rano (Anna o tej porze budzi się, gdy prowadzi program „Wstaje dzień”, a Magda, gdy ma wczesny, poranny lot). Ten przypływ sił życiowych należy wykorzystać i jeszcze go wzmocnić. Najlepiej poprzez spacer, wycieczki rowerowe czy inne zajęcia na świeżym powietrzu. I oczywiście poprzez dietę. Należy dostosować ją do zmieniającej się pory roku. Chętniej sięgamy wtedy po warzywa, sałaty, nie musimy już jeść ciężkich, tłustych potraw, bo organizm nie potrzebuje tak wiele kalorii. Poza tym więcej czasu spędzamy w słońcu, urządzamy wspólne grillowanie, w miastach organizowane są targi śniadaniowe, pikniki.

Dieta wiosenna jest lżejsza, kolorowa, a witaminy i minerały zawarte w nowalijkach przywracają siły i poprawiają nasz wygląd, dodają nam lekkości. Grajmy w zielone – im więcej zielonego na talerzu, tym zdrowiej dla nas. Sałatki, sałaty z różnymi dodatkami, np. z grillowanymi serami, lekkim mięsem drobiowym czy rybą, będą idealne w naszym wiosennym menu. Począwszy od śniadania, możemy pić zielone soki wyciskane szczególnie z selera naciowego i zielonej pietruszki z różnymi dodatkami. Na obiad jedzmy zupy kremy – z brokułów, zielonego groszku, kalafiora. Niebawem pojawią się szparagi i młode ziemniaczki. Ograniczmy też ciężkie czerwone mięsa. Zmieniamy się na wiosnę i zmieniamy nasze talerze.

Przepis na wyciskany
sok z selera na
piękną cerę

Składniki:

- seler naciowy – ½ pęczka
- 1 pęczek pietruszki
- 2 jabłka
- 1 cytryna

Wszystkie składniki wyciskamy w wyciskarce wolnoobrotowej albo miksujemy w blenderze. Pijemy na zdrowie. ©©



FOT. ADRIAN STOK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Ostatni
kaletnik

Czas jakiś temu, chyba w latach 70., powojenny emigrant z krótką wizytą w ojczyźnie na widok tego, co tu zastał, się zasępił. „Póki będą u was te różne zakłady podnoszenia oczek, ci szewcy zelujący buty, póty nie będziecie krajem nowoczesnym” – powiedział.

Wtedy nie zapamiętałam tego, zacytowała mi teraz te słowa znajoma. Dały mi do myślenia. Cóż – myślało się wtedy – jesteśmy biednym krajem, musimy cerować, łątać, zelować. Rajstopy były częścią garderoby, którą warto było parę razy naprawić. Krawcy nie brzydzili się usługą o nazwie nicowanie. Polegała na odwróceniu materiału ze strony prawej na mniej zniszczoną, lewą, i zrobienie z niej na nowo płaszcz, spódnicy, marynarki czy tam tego, co akurat wyszło z przeróbki, bo przecież zniszczone części trzeba było wyrzucić. I co warte było kwoty płaconej krawcowi.

Minęło 50 lat. Rajstopy kupuje się w supermarkecie, pierwsze oczko – do śmieci. Zelować buty? Koń by się uśmieł. Idźcie z adidasami do szewca i zaproponujcie zmianę zelówek (ci, którzy wiedzą, co to zelówka). Skarpetki wyrzucamy, bo zrobiła się mała dziura, a przecież nikt nie umie cerować. Sweter się zmechacił, kurtka rozdarła na łokciu. Gdzie to naprawić? Nie ma jak, kupujemy nowe. Tylko małe dzieci czasem noszą coś po rodzeństwie, które z tego wyrosło. Ale poza tym żywot ubrania jest coraz



FOT. ADRIAN STOK

krótszy. W Europie co roku wyrzuca się 4 mln ton ubrań.

Hermes to ekskluzywna marka, której jedyny w Polsce sklep znajduje się w Warszawie w Hotelu Europejskim. Robert Dumas, dyrektor Hermesa, już jakiś czas temu zadekretował: „Luksus to to, co się naprawia”. Przyznajmy, że zrobił to jeszcze wtedy, kiedy to nie było modne. I chwalił się, że co roku w pracowniach Hermesa niedaleko Lyonu naprawia się 100 tys. przedmiotów, głównie wyrobów skórzanых. Nad tym, żeby zniszczonej torbie przywrócić utracony blask, pracuje 80 wykwalifikowanych rzemieślników kaletników. Zachęcanie do naprawy można uznać za dodatkową formę reklamy: „Nasz produkt jest tak dobry, że można go używać długie lata, a razem z czasem nabiera wartości”.

I nagle okazuje, że naprawa nie jest symptomem regresu cywilizacyjnego. Kiedy byłam nastolatką, dziwiło mnie, że daleki kuzyn, Francuz, właściciel zamku nosił pocerowane krawaty. Zrozumiałam to w późnej dorosłości, kiedy w okolicy zwinął się ostatni kaletnik, u którego mój tata naprawiał teczkę. ©©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Mierzeja – przekleństwo Elbląga



JACEK KOMUDA

Przekop Mierzei Wiślanej oznacza kontynuację i rozwinięcie idei króla Stefana Batorego, który już w 1577 r. rozważał połączenie zatoki z morzem. Wysłana przezeń komisja w osobach kasztelana Mikołaja Firleja i sekretarza Piotra Kłoczewskiego wskazała najlepsze miejsce do rozpoczęcia prac i miejsce pod budowę przyszłego portu: teren koło wsi Skowronki, dokładnie tam, gdzie dziś odbywa się wielkie przekopywanie.



• Elbląg

I RZECZYPOSPOLITA

RYS. OBA

Decyzję wymusiła sytuacja polityczna. Król prowadził wojnę z Gdańskiem, który nie chciał uznać

jego wyboru i żądał przywrócenia przywilejów odebranych miastu za czasów Zygmunta Augusta. Batory postanowił złamać potężnie ufortyfikowane miasto nie tylko wojną i oblężeniem, lecz także blokadą gospodarczą. 12 lutego 1577 r. wydał „interdykt ognia i wody” oznaczający oblężenie Gdańska infamią. Każdy jego mieszkaniec został wyjęty spod prawa – od teraz można go było bezkarnie zabić, a posiadłości i bogactwa zabrać. 7 marca wydał kolejny uniwersał oznaczający całkowitą blokadę ekonomiczną miasta. Rozkazał

przenieść handel do Elbląga, który zaczął się błyskawicznie rozwijać, gdyż przybijały doń liczne statki, a kupcy i kompanie zaczęli przenosić tutaj przedstawicielstwa i kantory. Kłopot w tym, że miasto odgródzone było od otwartego morza mierzeją, którą dziś zwiemy Wiślaną, w tamtych czasach zaś – Świeżą. Do dziś ogranicza ona przepływ towarów, ponieważ jedyną drogą prowadzi przez Cieśninę Piławską, gdzie czyhają Moskale.

We wczesnym średniowieczu mierzeja nie była przeszkodą, ponieważ był to ciąg wysepek, pomiędzy którymi występowały cieśniny pojawiające się i znikające pod wpływem gwałtownych sztormów. Jedną z dwóch najstarszych – Lochstedt, położona na północ od dzisiejszego Bałtyjska, czyli Piławy – zamuliła się do 1395 r. Drugą cieśniną była Balgijska, która jednak w XVI w. nie nadawała się do żeglugi. W zamian za to po potężnych sztormach w okresie od 1479 do 1510 r. powstała dzisiejsza Cieśnina Piławska, przy niej zaś rozwijało się miasto należące do elektora pruskiego.

Batory jednak zdecydował się postawić na Elbląg; miał związane z nim potężne plany. 19 lipca zażądał od miasta uzbrojenia 10 statków, załączka pierwszej polskiej floty wojennej. Wspomniany sekretarz królewski Kłoczowski wynajął na razie sześć holenderskich jednostek i uzbroił w działa ściągnięte z murów miasta, niestety siły gdańskie wkrótce rozbiły ową eskadrę.

Pomimo zwycięstwa pod Lubiszewem w kwietniu 1577 r. i oblężenia Gdańska wojna nie potoczyła się po myśli króla. Po klęsce wojsk Batorego pod Latarnią i odwrócie gdańszczanie zemścili się za sprzyjanie władcy. 10 września flota 22 uzbrojonych statków wpłynęła do Zatoki Świeżej, pałac nadbrzeżne wioski, grabiąc okolice i zagarniając

jednostki kupców, którzy handlowali z Elblągiem. W sumie zajęli ponad 60 statków. 15 września przybyli pod miasto, które mury miało stare i mało podatne do obrony. Na szczęście dwa dni później nadciągnęła także odsiecz królewska, 200 hajduków i 100 jazdy pod wodzą Kaspra Bekiesza, który pobił na głowę gdańszczan i odpędził od umocnień. Wściekli napastnicy 18 września zaatakowali port w Elblągu, zapalając 24 spichlerze. Gdy jednak na skutek celnego ognia prowadzonego z baszt i murów admirałski okręt Eryka Munka stracił ster i rufę, gdański admirał dał drapakę. W trakcie walk uszkodzeniu uległ pierwszy polski okręt wojenny, galeon „Smok”, który budowany był od czasów Zygmunta Augusta. W ogniu walki zrabano jego maszty, sam jednak statek odprowadzony został w górę rzeki, w bezpieczne miejsce.

Zajazd na port w Elblągu nie był jedynym zbrojnym konfliktem w okolicy. Sto lat wcześniej, w 1463 r., odbyła się w zatoce ogromna bitwa morska pomiędzy okrętami zakonu krzyżackiego a flotą z Gdańska i Elbląga obsadzoną przez wojska polskie, która zadała wielkiemu mistrzowi druzgocącą klęskę. Mierzeja była także sceną innych dramatycznych wydarzeń. W 1233 r. podróżował tędy z misją bp Chrystian z Oliwy, który na terenie Sambii został uwięziony przez Prusaków. W 1242 r. wąski pas lądu zajęty został przez Krzyżaków, którzy wzniesli tutaj ok. roku 1270, przy jednej z cieśnin, zamek znany jako Lochstedt, dziś jego ruiny leżą w pobliżu miasta Rybaki, na terenach kontrolowanych przez Moskwę. Druga ceglana forteca zbudowana została na wschodnim brzegu zatoki – w Baldze, w miejscu, gdzie do 1238 r. wznosił się pruski gród zdobyty przez Krzyżaków. Dziś pozostały z niej jedynie potężne ruiny. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Koronawirus? A co to takiego?

Pamiętają państwo te wszystkie pandemiczne zapewnienia o trosce wobec chorych, zwłaszcza mocno poszkodowanych? Tak, było, ale się... zmyło. Miał być fundusz dla ofiar niepożądanych odczynów poszczepiennych (NOP), wsparcie w rehabilitacji tych, którzy mają powikłania pocovidowe. Teraz przyszedł rachunek za te obietnice, ale państwo, które go otrzymało, udaje, że nie ma sprawy. Nie zapłaci.

Wszyscy się martwili o tych poszkodowanych, pełno było tego na ustach polityków i ekranach mediów. Zobaczymy, jak to wygląda. Fundusz dla poszkodowanych szczepionkami został powołany, ale wpłynęło do połowy lutego jedynie 600 wniosków. Głównie jest to spowodowane tym, że polski system zgłaszania powikłań pocovidowych jest ułomny i tylko procenci promili do niego trafiają. Nawet w Stanach uważa się, że ich system wyławia góra do 10 proc. prawdziwych NOP, a takich przypadków zanotowano tam 340 tys. U nas – 14 tys. Proporcjonalnie to u nas mniej, bo powinno być jakieś 21 tys. Fundusz jest, ale klucze do jego drzwi trzyma system.

W dodatku komunikacja wśród grup poszkodowanych jest utrudniona. Media społecznościowe i ich algorytmy wywołują wszelkie grupy dyskusyjne takich osób, bo automat śledczy kwalifikuje publikowane tam treści jako sekiarskie foliarstwo. W związku z tym prowadzi to do sytuacji – zamierzonej lub nie – w której osoby te nie mogą się nawet policzyć.

Zlikwidowano refundację specjalnych terapii pocovidowych. To już jest ciekawe, bo to covidowy negacjonizm czyściej wody. Nawet przeciwnicy szczepień i antycovidowcy nie zaprzeczali, że powikłania są. A tu niegdyśiejsi apologety sanitaryzmu udają, że COVID zniknął z Ziemi, bo się go nie rehabilituje. A wcześniej szły na to spore środki. Dziś COVID został tak przykryty przez wojnę, że z dnia na dzień znikają jego ofiary, którym przytrafiły się powikłania po tej chorobie.

Te ostatnie ruchy wskazują, że władze jednak traktowały tę pandemię nie jak epidemię, ale jak proces, który się kończy i zaczyna, bez względu na sztukę medyczną. Rehabilitacja powinna przecież trwać aż do wyleczenia, a nie do ogłoszenia, że znosimy restrykcje. Przecież restrykcje nie mają nic wspólnego z powikłaniami. Te trzeba leczyć i po „zatrzymaniu” pandemii. To wskazuję, że jednak chodziło tu niespecjalnie o procedury epidemiologiczne, bo te przestały obowiązywać z dnia na dzień, choć skutki COVID zostały (i zostaną) z nami na dłużej.

Odmowa prowadzenia finansowania specjalnych programów rehabilitacji dowodzi tego, że system „wstydi” się ofiar COVID, bo szeroki zakres rehabilitacji wskazywałby nie tylko na rozmiary choroby, lecz także na niewydolność samego systemu, który masowo dostarczał i dostarcza nieleczonych lub przenoszonych przypadków – skutki uboczne swoich „terapii” covidowych. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Mija rok

Pisanie o sobie nie jest eleganckie, ale raz, około Wielkiejnocy, pozwolę sobie na prywatę. Dokładnie rok temu, gdy weszliśmy do studia TVP z programem „Warto rozmawiać”, okazało się, że program nie ukaże się na antenie. Wstrzymanie przez prezesa Kurskiego emisji poprzedziła twitterowa awantura wszczęta przez posłankę Lichocką w związku z poprzednim programem, w którym kwestionowaliśmy zasadność masowych szczepień i broniliśmy lekarzy ściganych przez izby lekarskie. Przypomnę: chodziło o postępowania dyscyplinarne Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej wobec medyków, którzy mieli odwagę mówić o paraliżu opieki zdrowotnej i tragicznych skutkach tzw. walki z pandemią.

Po 17 latach obecności w TVP nagle program zniknął, a ja, patrząc z perspektywy minionego roku na okoliczności zdjęcia nas z anteny, daleki jestem od Schadenfreude. Nie mam satysfakcji, że wyszło na nasze. Że wszystkie cztery dogmaty, na których oparta była polityka walki z pandemią, okazały się blamażem. Dogmat 1 – o śmiertelnym wirusie, na którego nie ma lekarstwa – obalili sami pacjenci, lecząc się powszechnie i skutecznie amantadyną. Dogmat 2 – o tym, że o chorobie nie decydują objawy, lecz test PCR – odwołała AOTMiT, publikując 22 marca zalecenie (podpisane przez Andrzeja Horbana), by wyrzucić w cholerę wszelkie testy. Dogmat 3 – o skuteczności

izolacji, śledzenia kontaktów, samouwięzienia i kwarantanny – zakwestionowany został tym samym dokumentem Agencji. Dogmat 4 – o zbawieniach efektach masowych szczepień – weryfikowany jest spektakularnie kolejnymi wariantami C-19, które występują najchętniej tam, gdzie najwięcej zaszczepionych. Cena, jaką zapłaciliśmy jako populacja, za szalbierstwo covidowej operacji, jest ogromna. Nie wiem, czy ktoś kiedyś będzie w stanie stworzyć uczciwy bilans strat – ludzkich, ekonomicznych, kulturowych. Choć wojna unieważniła medialnie C-19, to jednak manewry trwają i globalna operacja, teraz pod inną nazwą, może spaść na nas w każdej chwili.

Na koniec jednak zostawiam kilka dobrych wiadomości. Po pierwsze – w roku, który minął, udało się nam ukończyć pełnometrażową wersję filmu dokumentalnego „Blachnicki. Życie i światło”. Po drugie, nagraliśmy z naszą rodzinną orkiestrą płytę opartą na tekstach polskich poetów – Pospieszalscy „Wierszem” – i właśnie świeżutką dostaliśmy do rąk. Po trzecie, widowisko muzyczne, mojego autorstwa, „Z Rakowieckiej ku Niepodległości” (produkcja: Media Paweł Nowacki), zostało tak dobrze przyjęte, że właśnie pracujemy nad poszerzoną wersją plenerową. Po czwarte, opublikowałem niemal setkę tekstów, dziesiątki nagrań wideo i... – uwaga – zostałem stałym felietonistą „Do Rzeczy”. Ludzie! Jest życie poza telewizją! ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Groźny precedens

Należą nam się jakieś wyjaśnienia? 1 marca tego roku niezaszczipionym pracownikom medycznym groziło wyrzucenie z pracy. Na zbite bezrobocie. Groziło, że jeśli się nie zaszczepią, to będą niezaszczepieni oraz bez środków do życia. Nie rozsądzam, czy słusznie czy niesłusznie. Wirus był ponoć straszliwy, a epidemia jeszcze „straszliwiejsza”. Na podstawie rozporządzenia pracownicy medyczni musieli być zaszczepieni wszystkimi dawkami. Na Twitterze trwał na śmierć bój szczepionkowców z foliarzami. Wszyscy mieli rację, każdy swoją. W sprawie wywalania z roboty wypowiadał się minister Adam Niedzielski, a wielu polityków, także z opozycji, popierało go w całej, że się wyrażę, myśli koniecznie ponoć brutalnej.

Minął miesiąc i jeszcze trochę i ten sam minister obwieszcza, że nie będziemy już kupować i płacić za szczepionki przeciw COVID-19, bo są nam niepotrzebne. Nie rozsądzam, czy słusznie czy niesłusznie, czy możemy sobie tak nie płacić, jeśli mamy umowy i w ogóle. Chodzi o coś innego. O czas. Epidemia trwała dwa lata, miała z nami podobno mutować na zawsze. Kroki wyrzuceniowe z pracy były, jakby nie patrzeć, drażniące, ale podobno niezbędne. I teraz po miesiącu z hakiem okazuje się, że szczepionki są nam niepotrzebne? Że wirus prawie zdechł?

Stracił zębiska? Tak nagle? Ja nie mówię, że epidemii nie było, że niekupowanie szczepionek to zły ruch. Jednak trawi mnie pytanie: Czy ktoś mnie nie robił w Pfizerze? Mnie i pół świata? Straszliwa choroba rujnująca życie narodom nagle się wyleczyła? Co ja mam o tym myśleć? Trudno kupić takie gwałtownie zmieniające narrację ruchy...

Natomiast Elonowi Muskowi łatwo przyszło kupić trochę Twittera. Chce kupić cały, gdyż ma pieniądze. Kupił 10 proc. i chociaż jest największym udziałowcem, to nie może kontrolować spółki. A mówi, że bardzo chce, że dokupi akcje i wtedy władze (rada nadzorcza) będą zarabiać zero dolarów, a obecnie zarabiają 3 mln dol. Musk mówi jednak, że nie o to mu chodzi, tylko o cywilizację i wolność słowa, która według niego jest na Twitterze ograniczana.

I tu lekko zabawna sytuacja, a może wcale nie. Amerykańska stacja telewizyjna MSNBC (ta sama, która dwa lata temu przerwała przemówienie Donalda Trumpa, gdy mówił, że wygrał wybory), komentowała na żywo całą sprawę. Komentatorką była córka Zbigniewa Brzezińskiego i siostra ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce Marka Brzezinskiego, która powiedziała m.in.: „Przejęcie Twittera przez Muska to groźny precedens. To jest nasza praca, by dokładnie kontrolować, co ludzie mają myśleć”. Dziękuję za uwagę. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Świnie w kosmosie

Małgośka – mówią mi – demokracja polega na tym, że trzeba wszystkim pozwolić się wygadać. Pod warunkiem – mówię – że opozycja mówi ludzkim, nadwiślańskim głosem, a nie przedrzeźnia Berlin, Brukselę czy Moskwę. Istnieje jednak pewna dawka przeżyć zafundowana przez Ochojską, Korwin-Mikkego, Tuska et consortes, po której jako obywatelka tego kraju domagam się kwarantanny, izolacji dla osób podejrzanych o działanie na szkodę państwa. I nikt tu nie mówi o więzieniach. Po prostu wystarczy stworzyć ośrodki z ciepłą wodą w kranie, trawnikiem do haratania w gałę, szczepić dużo na wszystkie aberracje, a przede wszystkim dostarczać antykoncepcję, aby się więcej nie rozmnażali.

Jakkolwiek by patrzeć, cały świat zaliczył wieki kosmicznej ewolucji i tylko u nas wciąż ziemia rodzi targowiczów. Założyłam się nawet z moją hiszpańską przyjaciółką (historykiem!), że nie znajdzie nic w historii Hiszpanii, co równałoby się ze zdradą polskich elit. Dłubała parę godzin, wysyłała nazwiska i historie, próbowała mnie marnie przeliczyć separatystami, terrorystyczną ETA, aż w końcu się poddała, twierdząc, że takich „Tuskos” to jednak im dobry Bóg oszczędził, bo w warunkach wojny u granic nikt by sobie nie pozwolił na jęczenie przeciw prawowicie obranej władzy i narażanie interesów narodowych.

Posiniałam z zachwytem, że my jedyni w Europie tacy oryginalni, gdzie elity mają obłeśne zamiłowanie do zdrady. I żebyż to była wina „zbyt dobrej wódki a złego klimatu”, jak próbowała mnie pocieszyć moja Amiga z Mursji, ale nic z tych rzeczy, bo u nas takie fenomeny zachodzą niezależnie od pogody i przyjmowanych płynów.

I jak zaradzić duchowo tym romansom polskich elit z obcymi? Czy wystarczyłby ruch biczowników? A może krucjata dziecięca do Jerozolimy? Duchowa adopcja europołów KO przez egzorcystów? Co robić w celu uwolnienia kraju od tej plagi? Moja przyjaciółka podpowiada, że Królowie Katolicy osiągnęli tak wiele, bo zakończyli rozdzierające wojny domowe, przekierowując wojowniczy ducha swojej szlachty na prowadzenie wojen za granicą. W ten sposób Hiszpanie położyli fundamenty pod ekspansję Nowego Świata.

Aż się rozmarzyłam, żeby wysłać naszą targowicę na podbój kosmosu, co rymowałoby się medialnie z odcinkami „Muppet Show” pt. „Świnie w kosmosie” i w ten sposób moglibyśmy dorobić polski sequel i sprzedawać w odcinkach do Netflixa. Na pytanie, jak ich wszystkich zmieścić w rakiecie, odpowiedział nam już dawno temu sam mistrz Mrozek: „Jak zmieścić większe w mniejszym? Pchać i nie słuchać, jak piszczy!”. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Suliko”

List z wyrokiem śmierci, telefony z »zakładu pogrzebowego«. Dziękuję, jeszcze nie reflektuję, odpowiadam. Ale smuga niepokoju pozostała. Gienia kupuje łańcuch do drzwi – pisała Zofia Nałkowska 15 kwietnia 1954 r. Podejrzewała Koło Młodych, groźny sowiecki implant przeszczepiony do wszystkich oddziałów Związku Literatów po Zjeździe Szczecińskim w styczniu 1949 r., dekretującym w polskiej literaturze socrealizm. Wzorem sowieckiego Komsomołu i „Proletkultu” do Związku Literatów wtargnęli nasi komsomolcy, Hunowie, janczarowie, jak ich nazywano. Bez żadnego wymaganego dotąd dorobku, wyższego wykształcenia, za to z czerwonymi krawatami i legitymacjami ZMP lub partii.

Wzorem sowieckiego Komsomołu do Związku Literatów wtargnęli nasi Hunowie. Bez żadnego dorobku, za to z legitymacjami ZMP

W wielu oddziałach utworzono więc wreszcie żądane przez władze organizacje partyjne, wcześniej nie było wystarczającej liczby chętnych. „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata” – śpiewali. I rzeczywiście stali się miotłą, którą wymiatano, wyrzucano za burtę pisarzy starych, przedwojennych, „reakcyjnych”: Bąka, Szaniawskiego, Makuszyńskiego i innych. To Hunowie komunistycznego już chowu mieli zająć ich miejsce. W Poznaniu było ich więcej niż dotychczasowych członków oddziału, bo jako kandydaci do ZLP mieli nawet więcej przywilejów od zwalczanych przez nich „starych przyków” – stypendia, bezzwrotne pożyczki, mieszkania, zjazdy,

czyli popijawy i wyżerki w pałacu w Nieborowie i Oborach.

Wswoich „Literatach” Jerzy Putrament wspominał o częstych wtedy konfliktach terenowych kół młodych ze „starymi przykami” z zarządów. Poznańscy Hunowie np. donosili zarówno na siebie, jak i na starych, walczyli bezpardonowo o kasę z tak częstych wtedy płatnych spotkań autorskich w terenie, podstawy bytu wielu pisarzy. Zarząd dzielił je więc między wszystkich. Hunowie natomiast, bez jego wiedzy i zgody, organizowali je sobie sami, nieźle zarabiając. Ku radości oddziału rozwścieczony zarząd rozwiązał więc Koło, przegnał precz! W imieniu „pokrzywdzonych” udał się wtedy do „centrali”, do warszawskiej egzekutywy partii, przewodniczący Koła, towarzysz Włodzimierz Odojewski, i według protokołu z 16 listopada 1954 r. oskarżył zarząd o „brak zainteresowania Kołem, któremu nie organizował ideologicznych szkoleń” itd. „Centrala” ujęła się za „pokrzywdzonymi”, nakazując natychmiastową reaktywację Koła.

Indoktrynację młodych powierzano gorliwym i zaufanym partyjniakom. Pierwszym, wieloletnim opiekunem warszawskiego Koła był Igor Newerly, przedwojenny komunistą i komsomolec, wierny członek PPR, PZPR, myśliwy i organizator polowań dla sowieckich pisateli, autor czołowego socrealistycznego powieściidla „Pamiętka z celulozy” – paszkwiłu na sanacyjną Polskę, wyzyskującą proletariusza Bidę, który dojrzewa do partii komunistycznej. Podobnego pisania uczył swoich podopiecznych, czego dowodem wydany w 1954 r. w 100 tys. egzemplarzy (!) almanach. Jego autorzy nigdy swoich zamieszczonych tam utworów nie wznawiali, wstydziła się ich. Edward Bernstein-Zebrowski

– wiersza „Pamięci przyjaciela z zetempowskiej brygady”; Włodzimierz Odojewski – produkcyjniaka „Dobrej drogi, Mario”, o chłopach, którym w akcesie do PPR przeskadzała leśna „banda Błyska”, jak nazywał Jana Kempańskiego, bohaterskiego Żołnierza Wyklętego. Jedynie Marek Hłasko nie musiał wstydzić się swojej „Bazy Sokołowskiej”, świadczącej, że już jako debiutant był lepszy od swego nieczytanego i zapomnianego opiekuna. Newerly bardzo się nim potem szczylił, choć zerwał z nim i potępił pryncypialnie za jakąś rozróbkę, pisząc do niego w 1954 r. w imieniu ZLP: „Nie będziemy i nie chcemy nadal się Wami zajmować dopóty, dopóki nie wylegitymujecie się rzetelną pracą lub nauką”. Milczał też, gdy Gomułka zabronił Hłasce powrotu do Polski.

Opiekunem krakowskiego Koła był również gorliwy komunistą – Adam Włodek, słaby poeta i tłumacz m.in. ukochanej, gruzińskiej pieśni Stalina „Suliko”. Po latach w swoim „Baltazarze” Sławomir Mrożek napisał o Włodku bardzo krytycznie, bo to właśnie on wciągnął go, 20-letniego, biednego, z Borzęcina, do Koła Młodych i partii, łapiąc na czerwony lep – pokój w Domu Literatów przy Krupniczej, etat w „Dzienniku Krakowskim”. Nie ukrywał też, że Włodek donosił na UB, za co obraziła się na niego ekszona Wisława Szymborska. Wiedziała więc o tym (w co powątpiewano), a mimo to ustanowiła nagrodę jego imienia. Zawieszoną początkowo po ujawnieniu przeszłości Włodka, potem jednak po cichu przywróconą. W Internecie wówczas zawrzało. Ale po co? Nagroda, której patronuje donosić, przypomina, czym były Koła Młodych i komu powierzano nad nimi opiekę. A podczas wręczania nagród powinno się śpiewać „Suliko”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Rancza na południu Arizony to strefa frontowa – mur graniczny nie został dokończony.

Z południa idą masy ludzi. Nikt na własną rękę – mają przewodników. Z rzadka ktoś próbuje iść samodzielnie. Przydatni idioci – leżą potem na szlaku, wyją i zdychają powoli z przestrzelonym kolanem lub obciętymi nogami – stanowią żywe ostrzeżenie, by jednak wynająć przewodnika.

Ceny są różne, ale wszystkie w tysiącach dolarów od osoby. I nikt się nie targuje, szczególnie gdy mu pokażą odrąbaną głowę delikwenta, który nie rozumiał, że cenę ustala przewodnik. Cena zależy od tego, ile mogą z ciebie wycisnąć teraz oraz potem, gdy w USA będziesz latami płacił haracz.

Nielegalni przybysze ze 194 krajów idą przez ziemię, którą kontrolują uzbrojone kartele. Kartele działają jak bandy UPA – zero hamulców, liczy się wynik. Porównanie do UPA jest równie dobre jak kilka innych, ale dla Polaka najbardziej czytelne – dlatego je stosuję.

Rząd meksykański nie ma na tym terenie nic do gadania. Za Trumpa miał, bo oba państwa dogadały się na wspólne akcje, wspierały nawzajem swoje działania i czasowo wyparły dominację karteli. Potem Biden kilkakrotnie zaprosił imigrantów, by przybywali na teren USA. No to przybywają. Wielu idzie w koszulkach z wizerunkiem Joe Bidena i cytatami dotyczącymi zaproszenia.

Po odejściu Trumpa nowa administracja cofnęła wszelkie restrykcje dotyczące granicy, otworzyła ją szeroko i porzuciła. Budowa muru zatrzymana, firmy budowlane opłacono i odesłano precz, a gotowe do montażu elementy leżą w pasie przygranicznym i niszczeją.



Imigranci robią sobie z nimi zdjęcia i zawiadamiają rodziny z dalekich krajów, że udało się przejść.

W Teksasie jest najgorzej – najdłuższy fragment granicy i trudny teren. Część ranczerów porzuciła swoje ziemie. Powstał pas ziemi niczyjej. Wyobraź to sobie – musisz porzucić swoje gospodarstwo rolne, bo państwo przestało pilnować granicy i zalewa cię fala ludzi prowadzonych przez bandytów z kartelu.

Teksas chce postawić własny mur, w głębi, poza ziemią federalną. Zagrożeni ranczerzy oddają na ten cel swoje prywatne grunty. Gubernator Teksasu złożył Bidenowi propozycję, że odkupi gotowe elementy muru porzuczone wzdłuż granicy. Biden odmówił. Gubernator Teksasu codziennie wysyła do różnych urzędników federalnych zapytania, co jego stan ma robić z setkami tysięcy nielegalnych imigrantów. Ekipa Bidena ignoruje wszelkie zapytania w tej sprawie. Urzędy federalne potajemnie wywożą „nadmiar” imigrantów do różnych stanów w głębi kraju. To przy okazji coś w rodzaju kary dla stanów niepokornych, takich jak Floryda, która pokazała całemu światu, że lockdown to zły sposób na COVID, i zastosowała własny, lepszy.

Stany, które poszły śladem Florydy, odkrywają teraz, że na ich teren organizowane są masowe przerzuty nielegalnych imigrantów, których nikt nie sprawdza na okoliczność zakażenia nie tylko COVID, lecz także żadną chorobą. W USA

pojawiły się choroby, których nie było od lat. Na lotniskach federalnych, do których nie mają dostępu władze stanowe, lądują w środku nocy samoloty pełne ludzi, którzy są następnie wypuszczani na teren danego stanu. Wśród tych, których udało się sprawdzić, w roku 2021 wyłapano 23 międzynarodowych terrorystów ze światowej listy ściganych przez ONZ.

Z powodu braku jakiegokolwiek odpowiedzi rządu federalnego gubernator Teksasu zaczął przewozić nielegalnych imigrantów do Waszyngtonu i wypuszczać ich na ulice w pobliżu Kapitolu i Białego Domu.

Od początku kadencji Joe Bidena przez amerykańską granicę przeszło nielegalnie ponad 2 mln ludzi. Przy takiej liczbie należy mówić, że to inwazja lądowa niezależnie od tego, jaką imigranci mają motywację – terrorystyczną, kryminalną czy zarobkową. Wśród tej masy ludzi wszyscy posługują się hasłem „prawo do azylu” i podają przeróżne powody w rodzaju: „W moim kraju nie da się żyć”, „W moim kraju wojna, nie mam do czego wracać”.

Tygodniowo granicę przekracza 10 tys. osób, czyli jedno miasto średniej wielkości. Są rozwożeni za darmo po całym kraju i od razu należy im się bezpłatna opieka zdrowotna, bo takie jest w USA prawo – albo masz ubezpieczenie, albo musimy cię leczyć darmo, bo gdy ktoś chory, to trzeba ratować. Dodatkowo we wszystkich stanach istnieją lokalne przepisy ustanowio-

ne kiedyś dla obywateli USA. Ale... jak odróżnić obywatela od nielegalnego imigranta, gdy przyprowadza dziecko do lokalnej szkoły i prosi, by zapisać? Każde dziecko w USA ma prawo do nauczania, czyli zapisać trzeba. A potem trzeba zatrudnić tłumacza, bo ta fala imigracji to 194 kraje. W większości stanów rodzina z dziećmi, nawet nielegalna, ma prawo do dachu nad głową, więc gdy masz dziecko, to musisz ci znaleźć lokum, a ponieważ jesteś tu nielegalnie, to nie mogą wymagać zapłaty.

Instytucje państwowe dawno się zatkały, więc rozdają pieniądze i dotacje, by pozbyć się problemu. Za pieniądze, które budżet bierze znikąd (pożyczka, drukuje), wynajmowane są hotele, by gdzieś „czasowo” umieścić bezdomne rodziny.

Część imigrantów rozplywa się i znika na terenie ogromnego kraju, bo najprawdopodobniej mieli już w USA rodzinę lub znajomych, lub kartel wyznaczył im miejsce pobytu. Recepta demokratów jest taka: rozdajmy im amerykańskie dowody osobiste, aby mogli legalnie pracować i płacić podatki. To dobre dla gospodarki.

Gdy postawisz pytanie, czy coś, co jest dobre dla gospodarki, jest jednocześnie dobre dla obywateli USA i kraju jako całości, wówczas zostaniesz oszczekany przez media jako osoba bez serca. Gdy bronis się, że, owszem, masz serce i dlatego martwisz się o los rodaków płacących podatki i o stan ojczyzny, której nie stać na przyjęcie tak ogromnej fali imigrantów, wówczas zostajesz ksenofobem i świnią.

Populacja Stanów Zjednoczonych to Polska razy dziewięć i są od nas dużo bogatsi. Mimo to nie stać ich, by nagle przyjąć ponad 2 mln imigrantów. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~1083~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

**KRZYSZTOF MASŁOŃ
„W PISARSKIM CZYŚĆCIU. SYLWETKI
DWUDZIESTOWIECZNYCH PISARZY”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

362,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 721 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4397f64803



30. rocznica powołania Straży Granicznej

MONETA KOLEKCYJONERSKA NBP



*Ślubuję stać nieugięcie na straży
niepodległości i suwerenności oraz
strzec nienaruszalności granicy
państwowej Rzeczypospolitej Polskiej,
nawet z narażeniem życia*

Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „30. rocznica powołania Straży Granicznej”. Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom i pracownikom Straży Granicznej, którzy strzegąc granic Polski dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 11 maja 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym:
kolekcjoner.nbp.pl